

MARIA KANN

GÓRA CZTERECH WIATRÓW



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA • 1964

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZAŁOGA

Dał porywisty wiatr. Szare, bezgwiazdne niebo wisiało nisko nad ziemią, za ruchomą zasłoną padającego nieustannie deszczu nie widać było linii horyzontu, a wycie wichru głużyło wszystkie odgłosy świata.

Było pusto. Nawet bezdomny pies nie błąka się w taką noc po gościńcu, ale zaszywa w najzimniejszy bodaj i cudzy ką, aby przetrwać do rana. A jednak z lasu ciemniejącego na tle szarzyzny wynurzyły się dwie postacie.

— Nareszcie jakaś droga, Małgosiu — powiedział chłopak do skulonej, drobnej figurki, ubranej dziwacznie w przydługą kurtkę i płócienne spodnie, które owijały się za każdym podmuchem wiatru dokoła jej szczupłych nóg.

— Mamy drogę! — zawołał starając się przekrzyczeć wicher.

— Czy słyszysz mnie?...

— Słyszę! — odrzyknęła dziewczynka. — Ale w którą stronę pójdziemy?

Wędrowcy przystanęli niezdecydowani. Pogodny, kwietniowy dzień nie zapowiadał wcale powrotu zimy. Liczyli na ciepły, wiosenny wieczór, ogarnęła ich nieoczekiwanie chłodna noc. Nie wiedzieli, gdzie mają teraz iść. Wprawdzie przed nimi bieleł się odcinek jasnej szosy, ale z prawej i z lewej strony zniknęła ona w lesie, jakby pochłonięta przez ciemność. Była to z całą pewnością szosa, o której im mówiono, że prowadzi do najbliższej wsi, a stamtąd do stacji. Mieli nią iść na północ.

Ale gdzie znajdowała się północ?

W zawierusze, jaka ich otoczyła, zagubili strony świata i kierunek swej drogi. Na próżno wypatrywali łun pożarów, na próżno usiłowali w gwizdach i łomotach wichru odróżnić odgłosy toczącej się bitwy. Szara płaszczyzna ciągnęła się jednolicie dokoła nich i ginęły w niej nawet zarysy lasu, a wiatr jęczał i wył naśladując to gwizd przelatującego pocisku, to płacz małego dziecka.

Chłopak zamknął zmęczone oczy. Usiłował sobie uprzytomnić, z której strony świata przyszedł na tę nieznaną szosę i gdzie mogła znajdować się północ. Rozumiał doskonale, iż w razie pomyłki czeka ich całonocna wędrówka.

— Adaś, światło! — zawołała dziewczynka szarpiąc go za połę kurtki. — Adaś, patrz!

Wichura wpychała jej słowa z powrotem do gardła, tamowała oddech, ale Małgosia krzyczała coraz głośniejsze:

— Adaś, patrz!

Adam przetarł oślepione deszczem oczy.

Na lewo od nich mignęło jakieś drobne, żółtawe, światełko. Zjawiło się jeszcze raz, nieco wyżej, i znikło jak zdmuchnięte.

Bez namysłu ruszyli w lewo. Tam musiało być jakieś osiedle. Może nieostrożny gospodarz niepomny na wojenne czasy obchodził swoje zabudowania z latarką w ręku?

Szli milcząc. Droga zmieniała co pewien czas kierunek. Wiatr dał w plecy, popychając naprzód, albo też kłuł w prawy policzek kroplami deszczu jak ostrymi igłami.

Stracili poczucie czasu. Szli całą wieczność, walcząc o każdy krok, a teren podnosił się wciąż pod ich nogami.

Naraz droga skręciła pod górę dość ostrym łukiem. Adam zatrzymał się.

— Do nieba nas prowadzi! — zawołał.

Oboje byli już u kresu sił. Wędrowali długo wąską ścieżką, która miała ich wyprowadzić na szosę, a wiodła godzinami przez las, zdawałoby się, że donikąd. A teraz znów, odnaleziona, pewna, budząca zaufanie, twarda szosa wciąż skręca, myli, prowadzi ich na nieznaną szczyt.

— No i cóż, Małgorzato, czy masz siły udawać turystkę?

Ręka, której dotknął, była zimna i wilgotna, ale drżący, dziecinny jeszcze głos odpowiedział mu z dumą i wyrzutem:

— Jeszcześmy się nie cofali. Chodźmy do tego „nieba”, Adasiu.

Droga powiodła ich w górę. Chłopak szedł długim, równym krokiem, przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę. Za nim dreptała dziewczynka. Deszcz przestał padać. Drzewa osłaniały przed wiatrem, ale kołyszące się gałęzie strząsały im na głowy i ramiona zimne krople. Przemoczone do nitki ubranie przylegało do skostniałego ciała jak żelazny pancerz. Wyziębłe czubki palców przenikał dotkliwy ból. Łzy napływały same do oczu i zastygały na rzęsach.

— Będzie mróz — powiedział Adam, z trudem rozwierając szczęki.

Dziewczynka leciutko pochyliła głowę. Nie miała siły na odpowiedź.

— Teraz już blisko. Zupełnie blisko — powtarzał chłopak dygocącymi wargami, chociaż nikt go o pociechę nie prosił.

Drzewa przerzedziły się nieco i pomiędzy nimi prześwitywał szczyt niewyraźną plamą. Jeszcze kilka kroków — serce biło mocno — i wyszli z lasu. Owionął ich gwałtowny poryw wichury. Pierwszym odruchem cofnęli się przed nim do zaciszniejszego kręgu drzew. Adam opanował się jednak natychmiast i pociągnął Małgosię za sobą. Wiedział, że za chwilę już nie ruszą z miejsca...

Przed nimi wyrosły jakieś zabudowania, ale przekonali się, że drewniana szopa jest zamknięta na głucho. Chcieli ją obejść dokoła, kiedy bystre oczy Adama wypatrzyły w ciemności zarysy dużego budynku. Z trudem stawiając krok za krokiem, walcząc z wichrem i własną bezsiłą, podeszli do niego. Był to piętrowy dom. Adam zapukał do drzwi. Odpowiedziała im cisza.

— Która godzina? — spytała dziewczynka.

Zasłaniając rękawem przegub dłoni odczytał na zielonkawo świecącym cyferblacie: dwunasta.

— Śpią — powiedział — o ile tu ktokolwiek mieszka — mruknął ciszej i naraz tknięty jakąś myślą poprowadził ręką dokoła framugi drzwi.

— Małgorzato, te drzwi ktoś wyważył, a potem zabił na mur.

— Wchodzimy przez okno? — spytała rzeczowo.

Adam sięgnął ręką okna i trafił na wybitą szybę.

Wspiąwszy się na palce otworzył od wewnątrz zasuwę.

— Właż — nakazał — i zaczekaj na mnie. Ależ ty masz mokre buciska!

Dziewczynka znikła w ciemnym otworze. Adam podciągnął się z trudem na rękach i skoczył za nią. Zapalił latarkę i zasłaniając krążek światła ręką, omiótł nim ściany niedużej sionki.

Otworzył cicho najbliższe drzwi, a wtedy latarka nagle odmówiła posłuszeństwa. Blask jej przyćmił się, czerwone druciki rzucały światło tylko na rękę. Potrząsnął nią energicznie. Latarka rozbłysła na chwilę i zobaczyli duży, umeblowany pokój. Potem ciemność stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Małgosia ruszyła naprzód z wyciągniętymi rękoma, podłoga trzeszczała pod jej nogami. Naraz dziewczynka zatrzymała się.

— Tu ktoś śpi...

Jakaś ciemna sylwetka poruszyła się w mroku.

— Kto tam? Stój, bo strzelam!

— Daj pokój strzelaniu, po co kurz w domu niepotrzebny robić — odezwał się Adam.

— Czego szukacie po nocy?

— Pewnie tego, co i ty: noclegu.

— Skąd idziecie? Ilu was jest?

— Długo by się tłumaczyć po nocy. Rano się przedstawimy najformalniej. Teraz chcemy spać. Są tu jakieś wyrka?

— Sienniki leżą w drugim końcu pokoju.

— A coś do przykrycia? Zmarzliśmy na kość. Mnie nic nie będzie, ale dziecko jest ze mną.

— Adam!

— No, już dobrze, nie dziecko. Dziewczyna. Piętnaście lat.

Ktoś na tapczanie westchnął:

— Ma pan towarzysza. Ja sam idę.

— Jest się czym przykryć w tej chałupie czy nie? — przerwał mu Adam.

— W kącie leżą mundury poniemieckie, zaraz za siennikami. Na prawo. Trafił pan? — a słysząc, że Adam szeleści słomą, nieznajomy zwrócił się do dziewczynki:

— W termosie pozostała mi kapka herbaty. Weź, mała, wypij, zmarzłaś na pewno. Małgosia nie poruszyła się. Jej krótkie „dziękuję” zabrzmiało jak „dziękuję, nie”.

— Schowaj pan swoją herbatę — powiedział Adam — Małgorzata nie będzie piła sama.

— Dobry towarzysz na wojenne tarapaty. Wypijmy więc wszyscy po trochu. Gdzie jesteś mała? Podziel sprawiedliwie herbatę. A jeśli nie chcesz, żebym ci mówił „mała”, to już nigdy nie będę. Zgoda?

Wtedy uczuł ostrożne dotknięcie zimnej jak lód ręki, a w cichym „dziękuję” zabrzmiała głęboka wdzięczność. Herbata chlupnęła w termosie, widocznie dziewczynka usiłowała obliczyć jego zawartość. Potem zabulgotał płyn.

— Proszę pić — powiedziała Małgosia.

— Goście najpierw — zaprotestował. — Jestem już ogrzany — dodał. — Pędzej, bo ostygnie! — krzyknął wreszcie. Posłyszał cichutki śmiech. Małgosia łyknęła swoją porcję już bez protestów.

— Adaś, teraz ty — powiedziała.

— Dobra nasza, Małgorzato. Los jeszcze raz darował nam życie, a już myślałem, że uświerkniemy pod drzewkiem. Stokrotne dzięki za pomoc, kolego.

Adam mówił to z zadowoleniem, czując, jak ciepło rozchodzi mu się po ciele.

— Oddaj termos i zrzucaj już te mokre łachy. Małgorzato!

Rozebrali się w milczeniu. Szeleściła słoma w układanych siennikach. Ciężko spadały na podłogę plecaki i mokre ubrania. Potem dźwięczny głos Małgosi powiedział:

— Dobranoc, Adasiu! — I po chwili: — Dobranoc, panie!...

— Józek mi na imię — rzekł nieznajomy. — Dobranoc, panno Małgosiu, dobranoc, kolego!

— Śpijmy — sennym głosem wymamrotał Adam.

Zatrzeszczała słoma i zapadła cisza. Oddechy dwojga przybyłych stawały się coraz równiejsze. Józek słyszał pochrapywanie Adama, który pogwizdywał przez nos, i lekki oddech Małgosi. Oczy mu się kleiły. Sen mieszał się z rzeczywistością.

Mała, czupurna Małgosia jest przy nim czy też Ewa? Adam czy też Wojtek, małomówny, czasem opryskliwy Wojtek, najlepszy na świecie przyjaciel. Ewa i Wojtek!

Zdawało się Józkowi, iż przez całe życie był razem z nimi, bo też prawdziwe życie rozpoczęło się dla niego na kursie szybowcowym w Stokłosach. Tam z nieśmiałego Józka-„panieneczki” przemienił się w Józka-szybownika. Tam właśnie zdobył najcenniejszą rzecz

na świecie: wierną przyjaźń Ewy, Wojtka i Jacka *.

Odtąd już nie był sam. Po powrocie do Warszawy razem chodzili na Pole Mokotowskie śledzić loty samolotów i szybowców, razem przygotowywali się do kursu w Bezmiechowej **. Stanowili nierozłączną czwórkę przyjaciół. Nawet wojna ich nie rozdzieliła. Jacek wprawdzie dostał się za granicę, ale wrócił któregoś dnia, spadając dosłownie z nieba jako skoczek spadochronowy. Ewa zaś, Wojtek i on pracowali przez cały czas we trójkę w konspiracji. Byli małą załogą, jedną z wielu, które opasywały ciasną siecią cały kraj dając cierpiącemu narodowi poczucie własnej siły. Byli częścią walczącej Warszawy, której zranione mury wołały: Polska zwycięży! Pawiak pomścimy! — w dniach straszliwych, kiedy ludzie musieli milczeć.

Dobrze im było ze sobą, bo ufali sobie bezgranicznie. Nieomal w przededniu wybuchu powstania zdarzyła się katastrofa. Aresztowano go razem z Wojtkiem. Józek zdążył tylko strącić z okna wazon z kwiatami, ustawiony tam jako znak umowny, że „wszystko w porządku i można wejść”. Otrzymał za to od Niemca cios w twarz, ale nie czuł bólu. Myślał o tym, że Ewa już nie wejdzie do mieszkania i nie wpadnie w pułapkę, i o tym, że Wojtka nie uda się już uratować. W więzieniu nie zobaczył Wojtka. Tylko listy Ewy — „grypsy” na cienkich bibułkach — donosiły mu, co się dzieje z przyjacielem na Pawiaku, a z jego rodziną na wolności. Dzielna, kochana Ewa!

Jakże tęsknił za przyjaciółmi w więzieniu, a potem w Oświęcimiu, tęsknił za nimi równie silnie, jak za własną rodziną. To dla nich, dla najbliższych sercu zdobył się na skok z pociągu, który wywoził go z Oświęcimia w nieznaną — do Niemiec. Padając złamał rękę. Uratowany przez polskiego robotnika, jeszcze chory, osłabiony, powędrował do kraju, jak tylko weszły wojska radzieckie. Nie zatrzymywał się nigdzie dłużej, szedł przy akompaniamencie odgłosów bitwy, a ziemia kołysała się pod jego nogami. Chciał przekonać się jak najprędzej, że jego rodzina wyszła żywa z płonącej Warszawy, chciał znaleźć Wojtka, którego na próżno poszukiwał w Oświęcimiu, pragnął dotknąć ręki Ewy, posłyszeć jej niski głos. Tęsknił za nimi, także za ciszą, spokojem, za dobrym słowem i uśmiechem. Bezsilny, obolały, wędrował do nich przez mrok, głód, wśród obcych, nieraz wrogich mu ludzi. Gdybyż bodaj na chwilę znaleźć się w kręgu przyjacielskich ramion lub w zaciszu rodzinnego domu. Odzyskałby siły na dalszą walkę z losem.

Może na tej dziwnej górze, dokąd trafił przypadkiem, znajdzie towarzyszy dalszej wędrówki? Może od tej chwili pójdzie razem z nimi? Z małą, czupurną Małgosią i szorstkim, ale być może zacnym Adamem?

Myśli płynęły coraz wolniej. Usypiał.

Nagle coś ciężkiego zważyło się na niego, zaboląła złamana ręka. Równocześnie w pokoju zawrzała walka. Rozległy się krzyki.

— Puść, idioto — syknął Józek usiłując się uwolnić.

— Puść! Rękę mi złamiesz po raz drugi!

— Ty Niemiec? — w oczy uderzył go blask latarki.

— Sam Niemiec. Puść, mówię!

— Co tu robisz po nocy?

— A któż ty jesteś, żebym ci się tłumaczył? — zawołał Józek. — Kim jesteś?

— Polskim harcerzem — odpowiedział mu z powagą młody głos i teraz dopiero Józek dojrzał w świetle migającej latarki zieleń harcerskiego munduru i pochyloną nad sobą głowę w rogatywce podpiętej pod brodą.

— Patrz na rękę — powiedział już spokojnie — znak widzisz? Jestem byłym więźniem Oświęcimia. Uciekłem z transportu do Niemiec. Jak dotąd pomagali mi prawie wszyscy napotkani Polacy, a tu harcerz napada w nocy jak bandyta. Wstyd!

* Patrz: powieść „Pilot gotów”

** Bezmiechowa — najstarsze w Polsce szybowisko, zwane przed wojną <Akademią Szybownictwa”.

Harcerz zwolnił nieco uścisk.

— Jeśliś Polak, po co zadajesz się z Niemcami? — powiedział zmieszany. I zaraz odwrócił się. — Druhu! — zawołał służbiście — to Polak. Były więzień z Oświęcimia.

— Puścić wolno i przeprosić — odpowiedziano mu wśród gwaru.

Harcerz dopomógł Józkowi usiąść.

— Czy nie zrobiłem panu przypadkiem krzywdy? — dopytywał się troskliwie. — Przepraszam. Ale niech pan nie rusza się na razie z tapczanu, dobrze?

Józek rozcierał obolałą rękę rozglądając się dokoła. Kilka ruchomych świateł wędrowało w ciemności. Panował gwar. Na chwilę z cienia wynurzyła się ogromna postać, tuż obok niej zarysował się młodzieńczy profil innego harcerza.

„Ten wygląda jak rzymski żołnierz” — przemknęło Józkowi przez myśl.

Potem w powietrze wyleciała peleryna czy też szeroki płaszcz. Światelka zupełnie oszalały, a ponad gwar wybił się głos Adama klnącego napastników.

— Masz ty pojęcie o życiu! — ryczał Adam. — Więc każdy, kto musi włożyć niemieckie łachy, jest Niemcem! Masz mundur harcerza, a widzę, żeś frajer!

— Przestańcie go tarmosić — wtrącił Józek głośno. — On i ta dziewczynka mieli na sobie przemoczone ubranie, Poradziłem im przebrać się w niemieckie mundury. A co tu robimy? Chcieliśmy odpocząć i przespać spokojnie noc. Ale skoro jest to teren zakazany — trudno... Pójdziemy dalej. Choćby zaraz. Lepiej w polu pod krzakiem — niż tu...

Słowa Józka zrobiły wrażenie. Harcerz o rzymskim profilu, widocznie dowódca grupy, dał znak i wielkolud rozciął sznury na Adamie, a mały harcerzyk wypuścił wyrrywającą mu się Małgorzatkę. Trzy latarki oświetlały pobojowisko: rozrzucone w nieładzie kurtki i płaszcze, wysypaną słomę z sienników. Harcerze otrzepywali mundury. Adam mruczał pod nosem jakieś niegrzeczności, a dziewczynka płacząc się w przydługim niemieckim płaszczu zbierała z podłogi mokre ubranie, zrzucone, podczas szamotania się, ze stołu i krzesel.

— Śledziliśmy Niemców, a trafiliśmy na swoich — tłumaczył dowódca harcerzy — przepraszamy więc bardzo i już nie będziemy przeszkadzać w odpoczynku.

— Ale żeście śpiąc na odludziu warty nie postawili! — krzyknął ciekim głosem mały harcerzyk.

Adam zachnął się niecierpliwie.

— Nie wiem, kim jesteście i co tu robicie, zresztą wcale nie jestem ciekaw. Nie mieszajcie się także do naszych spraw. Czemu i czemu? Bo tak nam się podobało! — I tracąc widocznie panowanie nad sobą krzyknął gniewnie: — Gdybyś, smarkaczu, szedł godzinami w mokrym ubraniu, głodny, zmęczony jak bezdomny pies, tobyś o wszystkim na świecie zapomniał. Zasypiałem już idąc. Rozumiesz!

Harcerz, który przed chwilą dusił Józka, a teraz siedział obok niego na tapczanie, porwał się nagle z miejsca.

— Stefku — powiedział żywo do dowódcy — wyszperałem tu niedaleko schowek z suchym drzewem. Może przynieść trochę i napalić. Kominek jest w pokoju.

— Ależ oczywiście — przystał druha Stefan — skocz, Radek, szybko. Ale nie sam. Idź, Maciej, z nim i zabierzcie pelerynę na drzewo. Tomek — zwrócił się surowo do najmłodszego z druhów — a ty, zamiast mówić za dużo, oczyść kominek.

Chłopcy szybko wykonali rozkazy. Stuknęły buty harcerzy zeskakujących z parapetu okna. Tomek zachrobotał patykiem w popielniku, przyświecając sobie latarką.

— Zaraz będzie tu ciepło i jasno — przyjacielskim głosem powiedział Stefan — a może i pomiędzy nami wszystko się wyjaśni?

Nikt mu nie odpowiedział. W ciszy jak mysz chrobotał tylko patyk Tomka, a za oknami wył wiatr.

Po dłuższej chwili milczenia rozległy się głosy powracających chłopców. Stefan wybiegł, aby im dopomóc. Skrzypnęły otwierane drzwi. Wysoki Maciej wszedł z pękata pelery-

na na plecach i wysypał jej zawartość przed kominkiem.

Z suchym trzaskiem błysnął ogień zapalki i ze stosu drewniaków, ułożonych szybko przez Radka, strzeliły żółte języki płomienia.

— Dobrze — pochwalił Stefan i zgasił latarkę.

— Suche jak pieprz — odpowiedział mu na to czarnowłosy Radek podrzucając więcej drzewa. Tę prostą pracę wykonywał z powagą i skupieniem. Małe, czarne jak paciorki jego oczy były lekko zmrużone, a każdy ruch rąk celowy.

W pokoju było teraz widno i przytulnie. Józek przyjrzał się uważnie nieoczekiwanym gościom. Maciej przystanął obok kominka przyglądając kędzierzawą, niesforną czuprynę. Józkiowi podobał się ten młody olbrzym o małej główce osadzonej na szerokich ramionach. Z przyjemnością patrzył na jego brzydką twarz o szerokich ustach i niewielkich oczach na wpół zasłoniętych ciężkimi powiekami.

Przymknięte oczy nie przeszkadzały widocznie Maćkowi dostrzec tego, co się działo w pokoju, bo zerknął w stronę Józki, po czym wstał i podszedł do małego Tomka, który wdrapał się na stół i usiłował zawiesić na ścianie duży łuk.

— Tu będzie dobrze? — spytał olbrzym wskazując na gwóźdź wbity w ścianie pod samym sufitem.

Tomek założył ręce z tyłu, rozstawił szeroko szczupłe nogi i przyglądał się z powagą.

— Pewnie trochę za wysoko — stwierdził wreszcie — będę musiał stawiać krzesło na stole, żeby go zdjąć.

— Nigdzie nie uciekam, pomogę ci w razie czego.

— To wieszaj, brachu! — zgodził się Tomek.

„Po co ci harcerze zabrali ze sobą takiego malca — dziwił się Józek — przecież ten Tomek ma najwyżej dziesięć lat. Taki skrzat powinien siedzieć w domu”.

A tymczasem „skrzat” przykucnął obok Małgosi, która zwinięta w kłębuszek, suszyła przy ogniu mokre kurtki, i zaczął coś szeptać jej na ucho z dziecinnym ożywieniem. Dziewczynka uśmiechała się słuchając i spoglądała na Adama. Ale jej towarzysz nie zwracał na nikogo uwagi zajęty zeskrobywaniem błota z butów.

„Ile on może mieć lat? — pomyślał Józek patrząc na szczupłą twarz Adama o zapadniętych policzkach i podłużnych bruzdach, ciągnących się od orlego nosa do zaciśniętych gniewnie ust. — Ma twarz młodą i starą zarazem”.

Adam uniósł głowę i na Józka spojrzały głęboko osadzone, niebieskie oczy.

Józek uśmiechnął się, ale Adam odwrócił wzrok. Tak oto ziściły się Józkowe marzenia o ciepłym, zacisznym kącie i o przyjaznym uśmiechu. Cóż. Ogień płonie. Są dokoła ludzie: tajemnicza para wędrowców i harcerze, którzy wpadli tu jak huragan i odejdą swoją drogą. Czuje się obco wśród nich. Jest sam.

„Trzeba iść dalej zaraz rano — postanowił. — Pędzej odnajdę swoich. Ale gdzie ich szukać? — zakołatała natrętna myśl. — Gdzie oni są? Czy żyją? Żyją — odpowiedział sam sobie. — Odnajdę ich na pewno”. — I chcąc odpędzić niepotrzebne myśli i wątpliwości spojrział na dowódcę harcerzy.

Stefan zdjął już rogatywkę. Ciemne, falujące włosy otaczały jego głowę jak hełm. Teraz nie wydawał się tak piękny jak w chwili, kiedy w blasku latarki wyłonił się z ciemności jego kształtny, jakby wyrzeźbiony profil. Twarz szpeciła mu sina blizna przecinająca policzek i jedną brew. Wzrok Józki spotkał się ze spojrzeniem piwnych oczu.

— Winniśmy wam kilka słów wyjaśnienia — odezwał się Stefan — bo napadliśmy was w nocy jak bandyci. Jesteśmy harcerzami z Krakowa. To znaczy, przybyliśmy tu z Krakowa, a pochodzimy z Warszawy. Może przedstawimy się po kolei. Maciej, pokaż się w całej swej okazałości! To jest właśnie Maciek, student polonistyki tajnego uniwersytetu. Ma lat dziewiętnaście i metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Powstaniec, „parasolarz”. A teraz Radek. Wzrost mniej niż średni, ale nadrabia ten brak dowcipem i zręcznością. Na wszystko zna

najlepsze sposoby. Maturzysta. Też powstaniec. A to mój brat Tomek...

— Cóż nas mogą obchodzić te koligacje! — przerwał mu Adam. — Mieszkać z wami nie mamy zamiaru, a do rana przecierpimy siebie nawzajem i bez przedstawiania się. Po co tyle gadania...

Stefan pochylił głowę. Wędrowcy nie chcieli mu darować mimowolnie wyrządzonej krzywdy. Spodziewał się poparcia od byłego więźnia z Oświęcimia, ale ten patrzył milcząco na stos drewniaków leżących przy kominku. Radek rzucał je po kawałku w huczącą, czerwoną gardziel kominka, a ogień pożerał drobne, jasne trzaski zamieniając je natychmiast w skręcone, czerwone wióry. Stos zmniejszał się z każdą chwilą i Stefan już chciał polecieć Maćkowi, aby przyniósł nowy zapas trzasek ze składziku, kiedy Józek wstał z tapczanu, podszedł szybko do kominka i pochylił się nad zaróżowionymi od ognia kawałkami drzewa.

— Po co druh porąbał szybowiec? — zwrócił się surowo do Radka, a jego bladą twarz okrył rumieniec gniewu. — Jak można! Lepiej marznąć niż niszczyć bezmyślnie cenny sprzęt!

— Ja... — Radek znieruchomiał ze zdumienia — ja... szybowiec... porąbałem?...

Józek potrząsnął trzymanym drewniakiem, z boku którego zwisał strzęp białego płótna.

— To jest przecież kawałek steru wysokościowego!

— Ja nie rąbałem — zapewnił gorąco Radek, kiedy zrozumiał nareszcie, o co Józkowi chodzi. — Znalazłem składzik pełen tych kawałków. Nie wiedziałem, że to są części szybowca.

Józek zapomniał o zmęczeniu, jego oczy lśniły podnieceniem.

— Idziemy — powiedział sięgając po płaszcz. — Może niektóre części uda się uratować. Trzeba je odłożyć. A resztę... Cóż... będziemy dalej palić...

— Pan jest lotnikiem? — spytał z zainteresowaniem Stefan.

— Szybownikiem — odparł Józek wychodząc za Radkiem.

Stefan krążył po pokoju zamyślony.

— Historia — powiedział przeciągle.

Nagle za oknami rozległ się krzyk. Tomek uchylił okiennicę. Błysnął płomień na tle aksamitnej czerni. Chłopcy jeden za drugim skoczyli do drzwi.

— Małgorzata! — zawołał Adam chwytając kurtkę z jej rąk. — Pilnuj ognia! — I wybiegł, a za nim Maciej, który zdążył strącić na podłogę łuk Tomka, i Stefan wołający:

— Tomek, przy mnie!

Małgosia została w pokoju sama. Podrzuciła kilka drewniaków do ognia i podeszła do okna. W ciemności rozległy się gwizdy, błyskały światła latarek. Potem padł strzał. Nadsluchiwała bacznie, uchyliwszy okna, ale dolatywały do niej tylko urywane słowa. Podeszła znów do kominka, podrzuciła kilka większych kawałków. Tymczasem za oknami okrzyki zmieniły się w przyciszony gwar. Poznała głos Adama.

— To dziwne, że harcerze nie postawili warty w nocy, na odludziu.

Uśmiechnęła się. Adam nie byłby sobą, gdyby puścił płazem zaczepkę...

— Maciek! — zawołał Stefan tuż pod domem — zostań na warcie i uważaj! Gwizdek masz?

Nie słuchała dłużej. Szybko podbiegła do kominka, pogrzebała w nim Tomkowym patykiem, który zapalił się na końcu jasnym płomieniem. Zgasiwszy patyk o podłogę wyjęła z plecaka surowe kartofle i włożyła je do gorącego popiołu. Z boku pozostawiła kilka płonących szczap.

W przyległym pokoju już tupotały buty Tomka, za nim gęsiego wchodzili chłopcy.

— No i co — spytała — napad?

— Jakiś Niemiec usiłował podpalić hangar i udusić Radka — odpowiedział Adam — bądź samarytanką, Małgorzato, i opatrz rannych.

— Ciebie? — przyjrzała się jego usmolonej kurtce i uczernionej sadzami twarzy.

— Nie.

— Więc kto ranny: wystąp!

Nikt się nie poruszył.

— Tomku, chodź tu — rzekła widząc, że chłopczyk chowa rękę poza siebie — pokaż się.

— Nic mi nie jest — odburknął spoglądając nieżyczliwie na jodynę.

— Nie lubisz jodyny — domyśliła się — nie bój się, mam coś lepszego. Wspaniałą maść czarodziejską, która goi natychmiast.

Tomek zbliżył się zaciekawiony. Na głowie sterczał mu rozwichrzony czub jasnych włosów. Z dziecinnej twarzy znikła sztuczna powaga.

— Ja wiem, jak się robi maść czarodziejską — zaczął tajemniczo, a w jego okrągłych oczach rozblęskły ogniki — trzeba serce żaby i mózg nietoperza ugotować z ziołami o północy na uroczysku. A skąd masz tę maść?

— Od czarownicy — odpowiedziała wpadając od razu w jego ton.

— Czy zrobiłaś już opatrunek? — przerwał im zabawę Adam. — Spójrz, Radek ma rozcięte czoło.

Tomek nie upierał się, żeby Małgosia opowiadała o czarownicy. Potrząsnął potarganą głową i oznajmił z powagą:

— Ty, Radek, żeby nie nasz szybownik, byłoby już po tobie, brachu!

Wszyscy skupili się dokoła Radka. Małgosia zajadynowała mu czerwoną pręgę na czole, a on opowiadał:

— Idę ja, wiecie, i toból z drewnem taszcę na plecach. A nasz szybownik został trochę z tyłu i składzik zamyka. Aż tu, patrzę ja, pali się róg hangaru. Zdażyłem tylko krzyknąć i toból cisnąć na ziemię, a tu ktoś skacze mi do gardła. Ale już Józek biegł od składziku.

— Zły jestem, że mi się wyrwał — powiedział Józek — rękę mam złamaną i tylko jedną mogłem trzymać tego zbója. On posłyszał, że biegniecie nam na ratunek, rozpiął płaszcz — i w nogi.

Józek mówił z wysiłkiem, zatrzymując się. Wyglądał jak roślina zbyt długo trzymana w piwnicznym dole, bez słońca. Walka z Niemcem wyczerpała go widocznie, bo pod oczyma, które lśniły gorączkowym blaskiem, pogłębiły się ciemne podkowy.

— Usiądź, Józek, odpocznij — rzekł Stefan zaniepokojony — a my tymczasem obejrzymy zdobycz wojenną. Maciej, gdzie płaszcz tego Niemca?

Olbrzym podał drużynowemu zielony płaszcz wojskowy. W kieszeniach, które Stefan przejrzał starannie, znalazły się: dwie paczki zapalek, zapalniczka, trochę pakuł i zapisany kawałek pakowego papieru. Wszyscy otoczyli Stefana, który powoli odczytywał i tłumaczył tekst listu:

— *Fritz — szybko uciekaj w góry, czekamy na ciebie w Ziegenhals, skąd już pójdziemy razem. Uważaj, żeby na szybowisku nie pozostało nic. Czego nie zdążysz przenieść — zniszcz.*

Rudi

Na dole był jeszcze niewyraźny i zamazany dopisek, który zaczynał się od słów: *żałuje, że nie zobaczę... ich lichy...*

— Nie potrafię odczytać — powiedział Stefan — ale wygląda na to, że Rudi nie zobaczy, jak kogoś lichy będzie brało, i bardzo tego żałuje. Czy tak? — Stefan ogarnął gromadkę pytającym spojrzeniem.

— Chcieli wszystko zniszczyć przed ucieczką — rzekł Józek. — Cały róg hangaru oblał naftą ten Niemczura i wszystkie zabudowania mogłyby spłonąć, gdyby nie Adam, który zgasił ogień własną kurtką. Co za szczęście, żeśmy się tu spotkali przypadkiem.

— Przypadkiem? — powtórzył Stefan. — Myśmy tu przyszli właśnie po to, żeby ocalić szybowisko. Może zechcecie wysłuchać naszej historii.

Tym razem nikt nie zaprotestował. Stefan przysiadł na tapczanie, reszta osób grzała się w ciepłe kominka, siedząc na niemieckich płaszczach. Mówił do nich jak do serdecznych przyjaciół, z którymi nie dzieliły go nigdy żadne gniewy i nieporozumienia.

— Mój dobry znajomy, Karol, jest lotnikiem i brał udział w walkach na Górnym Śląsku. Jego zadaniem było obserwować cofającą się armię niemiecką, w którą wbijały się klinem z kilku stron wojska radzieckie. Po upadku Głubczyc Karol przelatywał nad terenami na południe od Prudnika i spostrzegł z lotu ptaka nasze szybowisko, oczywiście zainteresował się nim. Ktoś z miejscowej ludności powiedział mu, że na tej górze znajduje się hangar pełen maszyn podobnych do samolotów, tylko bez motoru i o długich, bardzo długich skrzydłach. Latała na tych maszynach podczas wojny młodzież niemiecka z Hitlerjugend *. Nazwy szybowiska nie pamiętano.

Bodaj że w Wielki Piątek, w dniu kiedy zdobyto nareszcie bombardowany okrutnie Racibórz, Karol otrzymał postrzał w nogę i wywieziono go do krakowskiego szpitala. Myśl o szybowisku nie opuszczała Karola i usiłował porozumieć się w tej sprawie ze znajomymi. Trafił na mnie. Z trudem unosząc się na łóżku tłumaczył mi, że muszę jechać tam natychmiast, zanim Niemcy zniszczą sprzęt, a okoliczni złodzieje „wyszabrują” resztę.

Nie chciałem zgodzić się na tak nie przemyślaną, wariacką wyprawę. Proponowałem, że porozumiem się z krakowskimi harcerzami, którzy na pewno by nam pomogli, ponieważ, jak słyszałem, sami wybierali się do Grunowa, aby zabezpieczyć znajdujący się tam sprzęt. Ale Karol nawet o tym nie chciał słyszeć, z wypiekami na twarzy zaklinał mnie, żebym nie zwlekał.

„To nic, że nie masz dużego zespołu ludzi. Grunt — to pośpiech! Na miejscu dopomoga ci władze cywilne i wojskowe, zobaczysz! Jedź! Jedź! Zaraz, jutro, inaczej będzie za późno!”

Łatwo powiedzieć: jedź. Ale z kim i z czym! Miałem wprawdzie w Krakowie dwóch znajomych harcerzy, towarzyszy ucieczki z niewoli, ale obaj spieszyli do domu. Radek ma rodziców w Mińsku Mazowieckim, a Maciej spodziewał się, że jego jedyny, szesnastoletni brat, zabrany do obozu po upadku powstania, będzie go poszukiwał po powrocie — właśnie w Warszawie. Obaj zresztą pragnęli od razu stanąć do odbudowy stolicy. W Krakowie znalazł się także jeden z chłopców z mojej drużyny; ten ma wprawdzie szesnaście lat, ale jest bardzo chorowity. Nie wiedziałem też, jak pozostawić swoją matkę samą z dwojgiem dzieci, z dziesięcioletnim Tomkiem i ośmioletnią Lusią.

Naradziliśmy się z matką, a ona powiedziała tak:

„Skoro sprawa szybowiska jest tak ważna, jak powiadacie, nie ma innej rady, tylko trzeba jechać, aby ocalić, co się da. Maciej i Radek muszą odłożyć swój wyjazd do Warszawy. Postaram się przy najbliższej okazji zawiadomić rodziców Radka i poproszę, aby zajęli się także sprawami Macieja. Krzysztof ostatnio czuje się lepiej, to rozsądny chłopiec, sądzę, że rodzice mu pozwolą iść z wami. Co do mnie... W godzinach biurowych Lusią zaopiekuje się nasza gospodyni... tylko co zrobić z Tomkiem?...”

Zdobyłem się na szaleńczy krok. Zebrałem małą ekipę z dodatkiem Tomka, który podczas powstania zachowywał się jak prawdziwy harcerz, więc spodziewałem się, że i teraz nie zrobi mi zawodu. Wyruszyliśmy w nieznaną, na tajemnicze szybowisko, o którym wiedziałem tylko tyle, że znajduje się na południe od Prudnika, na zachód od Głubczyc, w pobliżu jakiejś wsi Maczki...

W tejże wsi zaczęła się nasza tragedia. Piąty z zespołu — Krzys — zwichnął nogę i na dodatek zaziębił się. Musiałem go odstawić na stację kichającego i zrozpaczonego. Nazajutrz przekonałem się, że władze cywilne do wsi jeszcze nie dotarły, a wojsko ma dość swoich

* Hitlerjugend — faszystowska organizacja młodzieży niemieckiej.

kłopotów i nie może zajmować się w tej chwili zabezpieczeniem obiektów niewojskowych.

I tak pozostaliśmy tuż za linią frontu sami, bez żadnej pomocy. Trudne zadanie spadło na barki trzech osób i jednego dziecka...

Na górę dotarliśmy dopiero wczoraj. A tu nowa przykrość. W hangarze znaleźliśmy tylko dwa szybowce. Przyszło nam do głowy, że jacyś złodzieje wynoszą sprzęt. Zaczailiśmy się w nocy, aby ich wyśledzić. Raz zamigotało światelko. Ale tajemniczy „ktoś” szedł sobie tylko znaną ścieżką i zgubiliśmy go szybko z oczu. Potem minęły nas dwie osoby. Ruszyliśmy za nimi. Znikły w oknie tego domu. Odczekaliśmy godzinę, a potem ostrożnie weszliśmy tą samą drogą... Dalszy ciąg znacznie...

I przepraszamy za pomyłkę...

Małgosia, zajęta grzebaniem w popiele, skinęła tylko głową, Adam coś mruknął niewyraźnie, a Józek, zamyślony, nie słyszał zapewne nawet tych nieważnych w tej chwili przeprosin.

— Gdzie jest reszta szybowców? — spytał nagle, wstając. — Twój znajomy pilot mówił o tym, że w hangarze było pełno szybowców, a teraz są tylko dwa. Cóż więc się z nimi stało? Wywiezione do Reichu? Zniszczone?

— Niemcy nie mogli ich wywieźć do Reichu — odezwał się Adam — nie tak łatwo transportować szybowce przez tereny zajęte nieprzyjacielskimi wojskami. Spalone też nie są, bo pozostałyby ślady, a poza tym Niemcy baliby się rozpałać ogień na szczycie. W tym liście do Fritza uderza mnie jedno zdanie: *Czego nie zdążysz przenieść — zniszcz.* Czy zwróciliście na to uwagę?

— A co ty myślisz, Adam? — spytał Stefan. Nawet nie zauważyli, jak z oficjalnego „pan” i „kolego” przeszli na poufale i serdeczne „ty”. — Co o tym sądzisz? Powiedz.

— Myślę, że to było tak: Niemcy myśleli, że wyjadą stąd na krótko, i wynieśli szybowce do jakiejś kryjówki, potem przekonali się, że sprawa poważna, więc postanowili wszystko zniszczyć, a myśmy ich spłoszyli...

— To wygląda zupełnie prawdopodobnie — potwierdził Józek. — W takim razie szybowce są w pobliżu i trzeba je koniecznie odnaleźć! — Twarz młodego szybownika ożywiła się, zdawało się, że myśl o ratowaniu sprzętu dodała mu sił.

— Postaramy się odnaleźć — powiedział Stefan. — Ale... tylko ty jesteś szybownikiem... tylko ty orientujesz się w tych sprawach...

Ogień płonący na kominku oświetlał gromadkę, która przybyła bronić tej góry. Szczupła to garstka, choć zdecydowana na wszystko. Radek wlepił w Józka szpareczki czarnych, trochę skośnych oczu; już zapomniał pewnie, że przed paroma zaledwie godzinami dusił go na tapczanie i wyłamywał mu, zdrową na szczęście, rękę. I mały Tomek utkwiał w nim szeroko otwarte oczy. Cała jego różowa, dziecinna twarz o zabawnym, perkatym nosku wyraża głęboką pewność, że Józek ich nie opuści. Tylko ciemne, mądre oczy Stefana patrzą z niepokojem i niemą prośbą.

Ta mała gromadka, która potrzebowała jego pomocy i opieki, stała się naraz bliska i droga Józkowi, a pokój oświetlony blaskiem płonącego kominka — cichą przystanią, o której marzył w nocy.

— Zostanę — rzekł krótko.

Stefan wyciągnął rękę. Krótki, mocny uścisk scementował tych ludzi, wrogich i obcych sobie przed godziną.

— A wy, czy porzucicie nas? — pytał Stefan Adama.

Dziwnych słów używał młody drużynowy. Adam poczuł, że nie może powiedzieć mu: odchodzę, nie może pozostawić bez pomocy tych chłopców, którzy wszystko rzucili, aby ratować szybowisko. Był im potrzebny. Józek, chociaż najstarszy, już dwudziestokilkuletni, i szybownik — niewiele im dopomoże w walce swoją złamaną ręką. A jemu, Adamowi, czy to pierwszozna tropić Niemców po lasach, uciekać, kiedy gonią, wymykać się z pułapek, kąsać

kulami uciekających...

— Właściwie musimy iść dalej... — powiedział niepewnie.

— Dokąd, czy wolno wiedzieć?

— Do... Krakowa.

Tomek zamrużył oczyma ze zdumienia.

— A wy skąd wracacie, że idąc do Krakowa tu trafiliście? — zapytał.

Adam zmarszczył się z niezadowoleniem, a Stefan widząc to odpowiedział z pośpiechem:

— Teraz wojna i różnymi drogami ludzie wracają do domu. Ty zresztą, Tomek, nie wtrącaj się do naszej rozmowy... Adam, a może byś jednak został z nami, chociaż na parę dni. Zostań, Adam!

— A czemu Małgosia nic nie mówi? — spytał Józek patrząc z sympatią na dziewczynkę.

Małgosia zerknęła ku niemu, dłużyąc coś przy kominku. Na osmaganej wiatrami twarzy błysnęły błękitne oczy.

— Czemu? — przeciągając każdą sylabę powtórzyła z godnością. — Bo jej o zdanie nikt nie pytał. — I zaraz odwróciła się do Tomka. — Tomek, czy masz menażkę?

Tomek potrząsnął aluminiowym naczyniem.

— A jakże!

— Dziękuję. Adaś, masz sól w plecaku, wyjmij, proszę... — i z miną dobrej gospodyni powiedziała do oszołomionej gromadki: — Proszę na kolację... a raczej na śniadanie. Kartofle już są gotowe.

Ręce trzech harcerzy równocześnie złożyły się do oklasku.

— Rakiet! Porcja uznania dla Małgorzaty!

Józek przyłączył się do nich, z uciechy bił dłonią o kolano. Wszyscy zapomnieli na chwilę, że są na nieznaną górę, zagubieni wśród ciemności, że na zachód i na północ od nich grają jeszcze armaty. Wesoły okrzyk wypełnił pokój.

Małgorzata stała trzymając menażkę pełną czarnych osmolonych kartofli.

— Dziękuję — ukłoniła się leciutko, nie zmieszana wcale — i proszę jeść, a ja skoczę do wartownika.

— Jesteś także harcerzem? — pytał Józka Adam. — Z taką wprawą klaskałeś, wyłeś, syczałeś.

— Nie jestem harcerzem, ale tak się składa, że od chwili wybuchu wojny, a nawet i wcześniej jeszcze, wciąż z nimi byłem. Nauczyłem się różnych harcerskich obyczajów i zwyczajów. A rakieta — uśmiechnął się do swoich wspomnień — harcerze nas kiedyś w pociągu witali...

— Kiedy, kiedy i czemu? — dopytywał się Tomek, któremu oczy zapłonęły z ciekawości. — Jak to było, proszę pana, niechże pan opowie!

— Proszę opowiedzieć — przyłączyli się do jego próśb Stefan, Adam i Radek.

— Było to w sierpniu 1939 roku — zaczął Józek — wracaliśmy z Ewą, moją narzeczoną, z szybowiska w Bezmiechowej. Nasi przyjaciele, Wojtek i Jacek, którzy mogli jeszcze pozostać przez miesiąc, odprowadzali nas na stację. Pociąg był natłoczony, ale Jacek wypatrzył pusty przedział w zamkniętym wagonie, do którego weszliśmy trochę nieformalnie: przez okno. Ewa wdrapała się na jedną półkę, a ja na drugą. Jacek i Wojtek krzyknęli nam przez okno „Dobranoc!” i pobiegli z powrotem — na start.

Józek opowiadał, a przed jego oczyma przesuwały się obrazy. Zielone, lasem porośłe góry Bezmiechowej. Mała stacyjka. Pusty wagon. Ewa drzemiąca na półce i on sam już senny, usypiający. Naraz obudził go gwar wesołych głosów. Wagon wypełniły zielone mundurki, kolorowe chorągiewki. Widział opalone, roześmiane twarze. Ciężkie plecaki z równo zrolowanymi kocami ze stukiem opadały z prostych, chłopięcych pleców.

Piosenki. Nawoływania. Krzyki. Tupanie nóg. Beztroska radość promieniująca z gromadki — to wszystko wróciło do Józka z niespodziewaną siłą.

— Weszli harcerze — opowiadał dalej — jeden z nich chciał zarzucić plecak na półkę, gdzie spała Ewa.

Mówiąc to Józek widział znów gumową, nadymaną poduszkę w niebieskie, drobne kwiaty, na której poruszane oddechem unosiło się pasemko jasnych włosów. Twarz Ewy zasłaniał grantowy uczniowski płaszcz.

— „Druhu drużynowy — zawołał harcerz z przerażeniem w głosie — tu leży jakaś kobieta, co mam z nią zrobić?”

Drużynowy szarpnął lekko rękaw płaszcza i odsłonił drobną twarz, opaloną na złocisty brąz. Ewa poruszyła niespokojnie ręką, jakby odganiając natrętną muchę, ale nie otworzyła oczu.

„Dzielnie śpi! — stwierdził z uznaniem drużynowy pociągając mocniej za płaszcz. — Proszę pani! Proszę pani!”

Ewa otworzyła brązowe oczy.

„Co się stało?” — spytała sennym głosem.

„Pani trafiła do zarezerwowanego wagonu. Proszę przejść do innego...”

„Jak się ociepli!” — odmruknęła.

„Pani musi wyjść!”

„Muszę spać”.

„Dlaczego?” — zdumiał się rozbawiony drużynowy.

„Bo jestem zmęczona”.

„A czemu pani jest taka zmęczona?” — dopytywał się jakiś mały, ciekawski harcerzyk wdrapując się na ławkę.

„Bo latałam”.

„A na czym, na czym? — zawołał już cały chórek i chłopcy otoczyli ławkę Ewy. — Na RWD? Na Douglasie? Na PZL?”

„Na Sroce *...”

Wybuchł śmiech. Mały harcerzyk aż przysiadł na ławce.

A Ewa dodała:

„Sroka jest bardzo nerwowa...”

„Ojej! — śmieli się. — Ona latała na nerwowej sroce. Ojej! I na czymże jeszcze?”

„Na Komarze. I dajcie mi już spać!”

Józek opowiadał, a trzech chłopcy skupieni dokoła niego zaśmiewali się serdecznym, młodzieńczym śmiechem.

— Ojej! — wykrzykiwał Tomek. — Fajna ta Ewa.

Stefan, Radek i Tomek byli tak bardzo podobni do harcerzy z pociągu. Józkowi wydawało się, że wrócił do tamtych, odległych czasów. Może lada chwila wejdzie Ewa i powie znów:

„Nie nudźcie mnie. Chcę spać. Mój kolega ma mnóstwo ciekawych przygód. Józek, opowiedz, jak to było kiedyś z lądowaniem w hangarze...”

Tak właśnie powiedziała niedobra Ewa i harcerze dopiero wtedy zauważyli, że mają dwu intruzów w swoim zarezerwowanym wagonie. Ale nie gniewali się wcale, a wreszcie zrobili rakietę na cześć latających gości. Morowi to byli chłopcy!

— Niektórzy z nich byli później w „Parasolu”. Radek, ty podobno też jesteś z tego batalionu? — zwrócił się Józek do Radka, który ostrożnie wydobywał pachnący, biały miąższ kartofla z czarnej skorupy.

— Przyłączyłem się do nich podczas powstania, kiedy mój oddział wybito do nogi.

* „Sroka” i „Komar” — szybowce konstrukcji inż. Antoniego Kocjana.

— Czy to prawda, że Warszawy już nie ma? — spytał Józek cicho.

Różne opowieści krążyły wśród warszawiaków, którzy przybyli do Oświęcimia po upadku powstania. Tak różne, iż Józek przestał wierzyć wszystkiemu. Ci harcerze budzili jednak zaufanie.

— Zniszczona — odpowiedział Radek podnosząc głowę — ale się odbuduje.

— Tak sądzisz? — rozjaśnił się Józek. — A jak wygląda, jak wyglądała Warszawa, kiedy ją widziałeś po raz ostatni?

— Wychodząc widziałem, że kościół Zbawiciela ma strąconą jedną wieżę i wygląda jak ponura karykatura kościoła Mariackiego. Stare Miasto w gruzach... Ale po co o tym mówić i rozżalać się! Wrócimy do Warszawy i odbudujemy piękniejszą.

Skrzypnęły drzwi i weszła Małgosia z kotem na ręku.

— Co to? Co to? — podskoczył do niej Tomek.

— Kot — wyjaśniła uprzejmie.

— Przecież widzę, że kot.

— A myśmy z Maćkiem nie od razu poznali. Coś świeciło oczyma w ciemności.

— Myśleliście: „czy to bies, czy to pies” — wtrącił Stefan.

— Tak. A okazało się, że głodny kotek.

W pokoju zapanował gwar. Radek wybiegł zmienić Maćka na warcie. Tomek wypytywał Małgosię, jak to było z kotem. Adam z hałasem rozkładał sienniki zastanawiając się, jak ułożyć siedem osób na trzech siennikach i na jednym tapczanie. Adam i Józek rozmawiali z ożywieniem. Stefan cofnął się do drzwi. Chciał zobaczyć, co się dzieje na podwórzu. W progu doleciały do niego słowa Adama:

— Warto im pomóc. To dzielna wiara. Zostaniemy z nimi przez kilka najtrudniejszych dni. Prawda, Małgorzato?

Skinęła ciemną główką.

Głęboka radość wypełniła serce Stefana. Wrogowie zamienili się w przyjaciół. Tajemnicza góra miała swoją załogę obrońców.

ROZDZIAŁ DRUGI TAJEMNICE GÓRY CZTERECH WIATRÓW

We wszystkich zabudowaniach szybowiska rozbrzmiewały młode głosy. Na pustym szczycie stał z naręczem klocków Tomek i obracał się dokoła jak kurek na dachu za podmuchem wiatru. Wiatr był rzeczywiście silny i jak Tomkowi się wydawało, dał z dwu stron naraz. Nisko nad drzewami pędziły szybko lotne, lekkie chmury, a wyżej powoli i majestatycznie odpływała w przeciwnym kierunku druga warstwa chmur, jaśniejszych, ale jakby cięższych.

Porywisty wiatr szumiał w wierzchołkach jodeł. Słońce wyrzało niechętnie i rozbłysło na chwilę w wodzie jeziora, które widać było u podnóża południowo-zachodniego stoku.

Dalej na zachód, za polem wzlotów sphywał ze zbocza las i rozlewał się po sąsiednich wzgórzach kosmatą, ciemną zielenią. Od strony północy stał rozłożysty hangar, a na jego szczycie powiewał pasiasty „rękaw” wskazujący kierunek wiatru. Pomiędzy hangarem a ciemną ścianą lasu widać było błękitniejącą w oddali wieś. Dachy domków były czerwone, a wieża kościelna — wyniosła i prosta. Hangar i las zasłaniały od wschodu miasteczko i Górę Świętej Anny, widniejącą na horyzoncie jak stożek jasnej zieleni.

Tomek spojrział na wschód przez wycięty pomiędzy drzewami pas pola wzlotów. Z tej

strony ciągnęła się równina ożywiona gdzieniegdzie kępą drzew. Tuż u podnóża góry stały dwa domy. Nad jednym z nich białą chmurą unosiło się stado gołębi. Z komina walił rudawy dym, rozwiewany przez wiatr.

„Tam ktoś mieszka” — stwierdził Tomek i obrócił się znów.

Na południu z obu stron białego, piętrowego domu wysuwały się szczyty górskie, oplatające wieńcem cały horyzont.

„Pola wzlotów są z każdej strony — rozmyślał chłopiec. — Wszystkie cztery wiatry mogą tu hulać do woli. I dlatego Józek mówił, że z tej góry można latać przy każdym wietrze”.

W otwartym oknie mignął zielony mundur, błysnęły spadające narzędzia. W ślad za nimi wyskoczył Stefan i nie zwracając uwagi na młodszego brata usiadł na stopniach ganeczku.

— Wiesz — zawołał Tomek idąc do niego — stary Andersen miał rację!

— Kto taki? — zdziwił się drużynowy unosząc głowę znad stosu różnych narzędzi.

— Andersen. Ten od bajek. Pisał, że wiatry mają swoją jaskinię. Myślałem, że to bujda. A tymczasem mają. Może nie jaskinię, ale górę na pewno. Naszą górę. To jest góra czterech wiatrów, mówię ci...

— Nie zawracaj głowy — zaczął Stefan i naraz przerwał. — Góra Czterech Wiatrów — powtórzył odkładając siekiere — G ó r a C z t e r e c h W i a t r ó w! Doskonałą nazwę wymyśliłeś dla naszego szybowiska!

— Pewnie, że doskonałą — zgodził się Tomek. — Wieje tu od rana do nocy, każdego dnia z innej strony, a dziś nawet z dwu stron naraz. Już mnie przedmuchało na wylot — jak model w tunelu aerodynamicznym.

Ostatnie słowa Tomek wygłosił z naciskiem, dumny, że zdobył już wiadomości lotnicze od Józka.

— Nie narzekaj na wiatry — zażartował Stefan — nie narzekaj, bo nie będą ciebie nosiły.

— Wcale nie narzekam i wcale nawet nie marznę — żywo odpowiedział Tomek i wyprostował się, ale jego twarz, wymalowana przez wiatr na kolor dojrzałej śliwki, przeczyła tym słowem. — Maciej mówił — opowiadał dalej nie zrażony tym, że Stefan zajął się znów porządkowaniem narzędzi. — ...Maciej mówił mi, że jego patron w tym roku „zimę tracił”, więc niedługo będzie znów ciepło i pójdziemy na wyprawę po szybowce. Szkoda czasu na te hocki-klocki i inne deski, z których mamy robić prycze. Spać można i na podłodze.

Stefan spojrział na brata. Nie przerywał potoku jego przemowy, a jednak Tomek umilkł od razu. Patrząc w przezroczyście, brązowe oczy brata przypomniał sobie poranną, jednogłośną uchwałę, że pójdą na poszukiwanie szybowców dopiero po zbadaniu i zabezpieczeniu szybowiska.

— Zapomniałem — powiedział zmieszany.

— To nic, wyrośniesz z tego — pocieszył go starszy brat — idź teraz pomóc Radkowi.

Ale Radek już szedł ku nim, a właściwie szła jego wypchana peleryna, którą Radek dźwigał na grzbiecie jak olbrzymi garb.

— Wracaj! — wołał do Tomka. — Maciej i Adaś niosą stojak i piłę: przytną nam deski.

W pokoju, gdzie spali tej nocy, na kominie buzował ogień. Szyby w oknach lśniły czystością. W rogu stał tapczan, obok sienniki przykryte szarymi kocami. Ułożone starannie, tkwiły jeszcze w kacie za stołem poniemieckie mundury, przyczyna nocnego nieporozumienia.

— Nie będziemy tu śmiecić — zawyrokował Radek. — Pustych pokoi nie brak na szczęście. Chodź, wybierzemy sypialnię i pracownię.

Ale Tomek, który właśnie wyrysował kota z długim ogonem na czarnej tablicy, wiszącej przy drzwiach, zauważył zegar ścienny. Jedna chwila i na stole stało krzeselko, a na nim Tomek sprawdzał maszynię zegara.

— Chyba elektryczny — powiedział sobie — do bani z takim zegarem, który potrzebuje elektrowni! — i zeskoczył na podłogę. Na korytarzu otworzył wszystkie drzwi po kolei i zajrzał do środka pokoi.

— Małgosiu — powiedział wchodząc do kuchni — czemu tak wzdychasz? Wilgoć zaprowadzisz!

Dziewczynka w spodniach i wypłowiałej, zielonej bluzce uwijała się przy płycie w kłębach pary. Już otwierała usta, żeby godnie odeprzeć zaczepkę, kiedy za drzwiami rozległy się szybkie kroki Stefana.

— Tomek — wołał — czemu Radek sam pracuje?

— Zapomniałem! — Tomek rzucił kota, którego już zdążył podrapać pieszczotliwie za uchem, i skoczył do drzwi.

— Poradzisz sobie sama? — spytał Stefan dziewczynki, która, zaróżowiona od ognia, grzebała drutem w popielniku.

— Poradzę... ale chciałabym już iść do lasu, szybowców szukać — odpowiedziała przechylając wiaderko, z którego spłynęły do żaru pod blachą lśniące kawałki węgla. Małgosia nasunęła parujący kociołek na pociemniały otwór i odgarnęła spadające na czoło brązowe włosy. Była cała brunatna, podobna do laskowego orzeszka.

— Lubisz las, Małgosiu?

— Tak. W leśniczówce mieszkałam od dzieciństwa — wyjaśniała — a potem... partyzantka... też w lesie.

Stefan pamiętał niezadowolenie Adama, kiedy Tomek usiłował dowiedzieć się, skąd i dokąd on idzie. Ale Małgosia mówiła tak szczerze, że spytał po chwili wahania:

— Wracasz z bratem do rodziny?

— Do rodziny? — powtórzyła. — Nie wiem jeszcze... i gdzie jest mój brat, też nie wiem; Adaś nie jest moim bratem... ani kuzynem nawet. Byliśmy razem w lesie, potem oddział rozbito... i zostaliśmy sami...

Stefan nie chciał pytać o nic więcej. Upewniwszy więc tylko Małgosię, że jutro dyżur w kuchni obejmie Radek, wyszedł na korytarz.

Z podwórka dochodziło granie piły. Maciej z Adamem piłowali deski. Radek też nie próżnował, bo wystukiwał energicznie młotkiem. Co robił Tomek, trudno było dociec, bo wyciągał na dziadowską melodię wysokim, dzieciennym dyszkantem:

— *Dzięki Ci, Boże, żeśmy bałwaaanyyyyyy...*

Stefan zatrzymał się w pół kroku nasłuchując. Był to zaiste dość dziwny powód do składania dziękczynienia. Ale już Radek podjął dalszy ciąg pieśni przyjemnym barytonem:

— *Morza Czerwonego przebyliiii...*

— Dzięki Ci, Boże, żeśmy bałwany Morza Czerwonego przebyli! — powtórzył Stefan. — Ach, ten Tomek!

Skrzypnęły drzwi. Potem stuknęła kłapa zamykająca wejście do piwnicy.

— Radek, czy to ty? — spytał Stefan wychodząc do przedpokoju. Nikt mu nie odpowiedział.

Stefan uniósł kłapę i zsunął się w dół. Obaj z Józkiem podjęli się dziś sprawdzenia wszystkich zakamarków w domu i w zabudowaniach. Józek oczywiście wybrał sobie składzik i hangar pozostawiając mu strych i piwnice.

Oczy Stefana szybko przyzwyczyły się do ciemności i odróżniły drzwi po obu stronach korytarza z czerwonej cegły. Nie zapalał latarki, baterię trzeba było oszczędzać. W pierwszym składziku, do którego zajrzał, leżały puszki z konserwami.

Jak na początek wcale niezłe odkrycie — powiedział sobie zadowolony i zatrzymał się przed następnymi drzwiami. Były zamknięte. Stefan pchnął je i stanął w progu zdumiony.

W mdłym świetle, wpadającym przez brudne, piwniczne okienko, zobaczył małą komórkę, w której stało łóżko i koślawy stolik. Na widok Stefana z łóżka zerwał się chłopak i

jak przestraszone zwierzę zaszył się w kąt izdebki. Prawą rękę wsunął do kieszeni błyskawicznym ruchem. Miał tam zapewne broń albo nóż.

Stefan słyszał piłowanie i stuk młotka. Jego przyjaciele byli tak blisko, spokojni, pewni bezpieczeństwa. A on stał sam i bezbronny wobec tego chłopaka, który sprężony jak do skoku nie spuszczał z niego gniewnych, czarnych oczu.

— Dzień dobry! — powiedział głośno.

Chłopak milczał patrząc spod konopiastej czupryny.

— Czy mieszkasz tu?

— Tak.

— Nie wiedzieliśmy o tym. Pozwolisz, że usiądę? Skoro mieszkamy w jednym i tym samym domu, musimy się porozumieć, prawda?

— Siadajcie — rzucił nieznajomy z lekceważeniem.

Dziwny wydał mu się ten przybysz w harcerskim mundurze. Nie wykorzystał swej przewagi, nie zawołał nikogo na pomoc, nie zamknął go w komórce. Nie pytał właściwie o nic. Zachowywał się spokojnie, jakby obecność jego, Jasia, w pustej piwnicy nie zdziwiła go wcale. Był lekkomyślnym wrogiem. Utracił przewagę, którą zyskał przez zaskoczenie, a siadając zajął znacznie gorszą pozycję do walki.

A „lekkomyślny wróg” opowiadał właśnie o dziejach gromadki, która tu przybyła, aby zabezpieczyć szybowisko.

Źle ukrywany, ironiczny uśmiech przemknął po twarzy chłopaka.

Już teraz wiedział, że ten „naiwniak” chce go wziąć „na bajer”. Jasiak słyszał już nieraz taką gadkę o „zabezpieczeniu”, a potem zabezpieczający odjeżdżali ciemną nocą wywożąc fury pełne cennych rzeczy. Przed tak głupim wrogiem nie warto było niczego udawać. Przerwał więc gburowato:

— Szkoda gadać! Lepiej od razu kawę na ławę! Co chcecie stąd wywieźć i kiedy?

— Nie będziemy niczego wywozić. Wszystko pozostanie na swoim miejscu do czasu, kiedy tu przybędą władze lotnicze, prawy właściciel szybowiska.

— Jakie władze! Jaki właściciel! To niczyje, ponemieckie!

— Ponemieckie — zgodził się Stefan — ale wiesz, że Niemcy zniszczyli nasz sprzęt lotniczy. Słuszna więc będzie rzeczą, jeśli na tej górze i na tych szybowcach będzie latała młodzież z całej Polski.

— A wam co do tego?

— Chcemy pilnować szybowców do czasu, kiedy je przekazemy władzom lotniczym.

— Po co?

— Ktoś może zniszczyć cenny sprzęt. W składziku już pełno połamanych kawałków. Latać nie będzie można. Będzie to krzywda, wielka krzywda. Rozumiesz?

Wyraz niezyczliwości walczył na twarzy chłopca ze zdumieniem. Odkleił się od ściany i usiadł na łóżku przy Stefanie. Prawej ręki nie wyjął jednak z kieszeni. Stefan zobaczył teraz, że tajemniczy gość ma oczy siwe, a nie czarne, tylko o rozszerzonych nadmiernie źrenicach. Twarz jego, o wystających kościach policzkowych, była jakaś jakby nie wykończona, ale oczy patrzyły bystro.

Stefan uśmiechnął się.

— Masz już pewnie siedemnaście lat — powiedział życzliwie — prawda? Jesteś w tym wieku, co Radek, jeden z chłopców z mojej gromadki.

— No to co?

— Zostań z nami.

— A po co?

— Będziesz miał towarzyszy, a nam pomożesz w pracy, a kiedy naprawimy wszystkie szkody, może polatamy na szybowcach. Chciałbyś połatać?

Jasiak przejechał ręką po gęstej czuprynie. Z trudem zbierał myśli. Słowa Stefana były

równie nieoczekiwane, jak i jego wejście. Dawno już nikt nie mówił do Jasia tak grzecznie. Ten przybysz niczego nie żądał, niczym nie groził, a w sierocym życiu Jasiak spotykał się tylko z żadaniami i groźbą. A może to jest tylko podstęp?

Jasiak przyjrzał się bacznie mówiącemu. Gdyby nie szeroka blizna na policzku, lekceważony przez niego przeciwnik miałby twarz „jak z obrazka”. Jaś nie mógł jednak odszukać w jego regularnych rysach ślamazarności, przeciwnie — twarz zdradzała stanowczość, a nawet upór.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Możesz nie decydować się od razu — przyszedł mu z pomocą Stefan. — Poznaj nas najpierw. Tylko pamiętaj, jeśli zdecydujesz się pozostać, to...

— To co? — spytał Jasiak spoglądając znów nieufnie i wrogo.

— Jeśli zostaniesz z nami — wyjaśniał Stefan — będziemy chcieli ci ufać. Bo my wszyscy ufamy sobie wzajemnie. Więc nie wolno ci nas oszukiwać.

— A jak oszukam, to co?

— Będziesz musiał odejść.

„Też ma czym straszyć” — pomyślał Jasiak z lekceważeniem, a głośno zapytał: — A jak zostanę, to czego jeszcze mi nie będzie wolno?

— Niczego więcej. Tylko bądź nam dobrym towarzyszem w pracy i w nieszczęściu — gdyby się zdarzyło... i mów prawdę.

Półotwarte usta chłopca poruszały się łowiąc każde słowo. Wyglądał jak zasluchany uczeń.

Stefan więc zaryzykował:

— I cóż — rzekł — będzie zgoda pomiędzy nami?

Jaś skinął głową, ale spoglądał z ukosa i usta miał znów mocno zaciśnięte.

Stefan wstał.

— Skoro tak, chodźmy stąd: do roboty i na obiad.

„Przekonałem go czy też nie?” — zapytywał siebie wychodząc na korytarz. Drzwi od schowanka z konserwami były otwarte. Stefan przechylił się i sięgnął po dwie puszkę. „Jeśli nie uwierzył, skorzysta z okazji i czmychnie” — pomyślał i odwrócił się szybko. Ale Jaś stał spokojnie na tym samym miejscu, w panującym półmroku nie można było odczytać wyrazu jego twarzy.

— Pomożesz mi nieść? — spytał Stefan podając mu obie puszkę.

Jaś zawahał się, potem wyjął prawą rękę z kieszeni. Bez słowa wziął konserwy i ruszył naprzód. Stefan odetchnął z ulgą. Już wiedział, że pierwsza runda walki, jaką stoczył, była wygrana.

Blask słońca oślepił ich, kiedy wychynęli z piwnicy na światło dzienne. Wiatr uspokajał się. Na przejaśnionym niebie słońce świeciło pogodnie i życzliwie. Nic się nie zmieniło w ciągu tego czasu. Tak samo z „pracowni” dochodziło stukanie młotka, a z podwórka tylko ostre dźwięki piły. Głos Tomka rozlegał się już poza domem.

Tomek dokazywał z kotem wywijając gałgankiem na sznurku. Kot gonił czerwony gałganek, podskakiwał, nie trafiał i spadł śmiesznie na ścieżkę przejeżdżając po niej czterema łapami.

— *Pod bo-rem, pod bo-rem zielona mu-rawka* — śpiewał Tomek.

— *Pa-sła pan-na zielonego paw-kaaa* — tu wrzasnął przeraźliwie, naśladowując do złudzenia głos pawia.

— *Urwa-ła mu, urwa-ła mu ogonek nie-chcący.*

— *Paw u-cie-kał do lasu krzyczą-cyyyyy* — znów krzyk pawia rozdarł powietrze.

Maciej przerwał piłowanie.

— Hej, Tomek — krzyknął — przestań raz mordować tego „pawka”! Na takie tempo można piłę w drzazgi połamać i uszy od słuchania puchną.

— A czego chcesz, polonisto? — spytał Tomek podskakując na jednej nodze — może: „Umarł Maciek, umarł i leży na desce” albo zaraz... — Przystanął i wywijając w takt gałgan-kiem przed nosem kota zaśpiewał:

*Cieele uoogoon maa, matuulu,
Cieele uoogon maaa.
Aaa czym byy sięę uooganiaalo,
żeby uogonaa nie miaało...*

- Tomek! Mówię ci, pókim dobry, żebyś się uspokoił.
- A czego chcesz wreszcie? — pytał Tomek przerywając śpiew.
- Żebyś się zabrał do roboty. Biegasz tylko i biegasz...
- Kiedy ja muszę pobiegać. Stefan mówi, że z tego wyrosnę.
- Ty, uważaj — zaczął Maciek prostując olbrzymią postać — uważaj, bracie, żeby ci się nie zdarzyło to samo, co jednemu chłopcu, który rósł bez końca.
- Czy to bajka? — spytał Tomek ciekawie.
- Może i bajka, a może i prawda.
- A czemu on nie przestawał rosnać?
- Bo robił dużo, dużo głupstw, a dobre ciocie mówiły: mały, głupi, on z tego wyrośnie. Więc kiedy zrobił jakieś głupstwo, czym prędzej z niego wyrastał. Ale już robił następne... I tak wciąż rósł i rósł, i wreszcie...
- I? — pytał Tomek patrząc na Maćka, który ruchem ręki pokazywał, jak wielki był już ten chłopiec.
- ...wyrósł na olbrzyma. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jadąc w aucie osobowym musiał się składać jak scyzoryk.
- W piwnych oczach Tomka błysnął łobuzerski uśmiech.
- Bujasz, Maciek, że to bajka, ty o sobie opowiadasz. A co będzie, jak będziesz rósł dalej i nie zmieścisz się nawet w ciężarówce?
- Tomek, do roboty! — huknął Maciej odwracając twarz, żeby chłopiec nie zauważył, że on się śmieje.
- Co mam robić?
- Miałeś pomagać Radkowi.
- Prawda. Zapomniałem! — i Tomek pogalopował na przelaj przez trawnik. Porzucony przez Tomka kot poruszył łapą nieruchomy gałganek i posunął go po ścieżce, po czym z obrażoną miną, na sztywnych łapach zawrócił do domu. Usiadł na ganeczku, zmrużył ślepią, tak że mu pozostały turkusowe szpareczki. Niby spał, ale zezował na wróble niefrasobliwie klójące się koło rynny. Zanim jednak zdążył rzucić się na nie, spłoszył je Tomek, a z okna zeskoczył Stefan.
- Radek! — zawołał i czarna głowa Radka ukazała się natychmiast w oknie obok jasnej czupryny Jaśka. — Radek, widzę, że nie masz pociechy z pomocnika, daję ci więc innego. Jaśku, czy chcesz dopomóc Radkowi przy zbijaniu prycz?
- Jasiek skinął głową potakująco.
- Chodź — powiedział Radek biorąc go za rękę.
- A ja? — pytał speszony Tomek.
- Biegaj dalej, z czasem z tego wyrośniesz...
- Już nie chcę więcej biegać. Radek, ja ci pomogę!
- No to włącz — pozwolił łaskawie i Tomek ucieszony, że go nie odtrącono, znikł w oknie.
- Cóż to, dopasowujecie deski do drzwi? — powiedział Stefan podchodząc do piłujących. — Jeśli w takim tempie pójdzie praca, gotowiśmy jutro zakończyć porządkowanie. A ja

tymczasem znalazłem coś cennego!

— Szybowce?

— Jeszcze nie. Na razie nie coś, tylko kogoś. Nowego pomocnika.

— Gdzieś go znalazł?

— W piwnicy.

— Cóż on tam robił?

— Spał, a może jadł, bo konserwy leżały na stole...

— Stefan — przerwał mu Adam — co ty za bajeczki opowiadasz? Na jedzenie on tu przecież nie przyszedł, a zresztą czemu chowa się w piwnicy jak złodziej. Coś tu nie jest w porządku. Spytałeś go, skąd on się tu wziął i po co?

— Nie.

— Zrobiłeś głupstwo!

Stefan uparcie potrząsnął głową.

— Nawet złodziejowi trzeba okazać zaufanie, jeśli chcemy go zmienić na uczciwego człowieka — powiedział. — A temu chłopcu dobrze patrzy z oczu. Nie mogę ostro postępować z ludźmi, a ty sam też nie lubisz, żeby ciebie wypytywano...

— Jakież to może mieć dla nas znaczenie, czego nie lubię — głucho powiedział Adam — ja z lasu, a wy z miasta. Trudno nam się porozumiewać. Pójdę niedługo i będzie spokój...

Stefan nie dosłyszał tych słów. Szedł dróżką w stronę hangaru. Po obu stronach ścieżki, na grządkach, tkwiły jakieś badyle. Trawniki okrywała brązowa trawa, gęsta jak włosie starego materaca. Rozrzucone kępkami krzaki wyglądały jeszcze jak kostropate miotły, ale gałęzie ich pojaśniały, czuło się, że gotowe są lada chwila trysnąć zielenią. Z prawej strony hangaru za ścianą drzew skręcała w dół asfaltowa szosa. Tędy przyszli wszyscy mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów. Ta droga wiodła ich zakosami polem i lasem, a potem w górę wśród prostych jak maszty świerków. Józek mówił mu, że szedł nią posłusznie, marząc o ciszy i spokoju, o blasku ognia i — o dobrym słowie. A o czym marzył zamknięty w sobie Adam, który miał szorstkie słowa na ustach, a ręce gotowe do pomocy? Czego chciał i po co przybył tu Jasiek? Czego pragnęli jego chłopcy, których tu przyprowadził z Krakowa? Może wszyscy znajdą spełnienie swych życzeń. Tylko biedny Krzyś, który pozostał sam na stacyjce i teraz pewnie jest z powrotem w Krakowie — Krzyś nie może się spodziewać niczego. Nie ziści swych marzeń o wielkiej przygodzie i o lataniu.

— Cóż się tak zamyślił? — spytał Stefana Józek, który wyszedł ze składziku i na próżno usiłował otworzyć drzwi hangaru jedną ręką.

— Ciągłe mi Krzysztof stoi przed oczyma.

— Aha — domyślił się Józek — mówisz o piątym chłopcu z twojej gromadki, o tym, który nie doszedł na górę. Tak? Więc czemu się trapisz, dojechał sobie już spokojnie do domu i odpoczywa.

— Nie powinienem był zostawiać go samego. Nie wiem, jak sobie poradził. Nawet nie zczekałem na odjazd pociągu — spieszyłem się do chłopców.

— Ewa mówiła zawsze — powiedział Józek przytrzymując jedno ze skrzydeł drzwi zdrową ręką — że najlepiej można nauczyć pływania rzucając na głębinę. Człowiek zaczyna wtedy jak psiak grzebać czterema łapami w wodzie i wypływa.

— Ewa? Czy ta sama, która latała na „Sroce”?

— Ta sama.

— Ewa ma rację, tylko trzeba uważać na takiego „psiaka” i wyciągnąć go z wody, w razie gdyby się nie wygrzebał. A Krzyś jest sam.

— Nie przesadzaj, przecież Krzyś nie jest tak mały, jak Tomek.

— Tomek! O Tomka wcale bym się nie bał. Tomek najwyżej zapomni, że ma wracać do domu, i dojedzie do Afryki, aby zobaczyć, jak wygląda Krzyż Południa... A Krzyś — to dobry chłopiec, ale jakiś bezradny wobec życia.

— Niechże się nauczy zaradności.

Drzwi otwały się właśnie szeroko ze skrzypieniem. Od progu wionęło wilgocią. Józek wszedł pospiesznie i z niepokojem dotknął jasnych skrzydeł ułożonych na poprzeczkach. Były suche i pachniały sklejką. Wciągnął z przyjemnością znajomy zapach szybowców i hangaru.

— Jakieś garbate jak dromadery — posłyszał uwagę Stefana.

— A tak. Inne niż nasze „Wrony” *. Wiesz, nie chcę cię martwić, ale mogę je źle złożyć. Żeby tu był mój przyjaciel Wojtek, on by sobie poradził z każdą maszyną.

— A czemu ty masz sobie nie poradzić? Pomęczysz się może trochę dłużej nad tą łamigłówką.

— Żeby tylko z tego nie wynikała prawdziwa „łamigłówka” albo „łaminózka”.

— Co kraczesz!

— Nie przejmuj się. Przy kraksach częściej łamią się skrzydła i podwozia niż ręce i nogi i zaryzykowałbym lot, gdybyśmy mieli więcej szybowców.

— Będzie więcej, przecież ta kryjówka kiedyś musi się znaleźć. Adam to leśny człowiek, ma dobry węch, pójdzie do lasu i zaraz odszuka. Może pojutrze uda nam się zorganizować tę wyprawę. Ludzi mamy przecież więcej. Radek otrzymał nareszcie pomocnika.

— Jak to: więcej? Jakiego pomocnika? Skądżeś go wytrzasnął?

— Znalazłem chłopca w piwnicy. I wiesz, za kogo mnie wziął? Za szabrownika! Skoczył pod ścianę, rękę wsadził do kieszeni, myślał, że będę się z nim bił. Heca, mówię ci. Teraz już się uspokoił, ale jeszcze patrzy na nas zezem. Jak się zupełnie oswoi, opowie nam niejedno o tej górze. Czuł się tu jak u siebie w domu, więc pewnie zna niejedną tajemnicę.

— Więc spytaj go.

— Sam opowie, niech tylko przekona się, że może nam ufać.

Jasiek nie dał się jednak tak szybko oswoić, jak to sobie wyobraził Stefan. Wprawdzie pozostał na szybowisku i nie zdradzał chęci ucieczki, brał udział w pracach ku radości Radka, który nareszcie zdobył dobrego pomocnika, ale rozmowny wcale nie był. A kiedy posłyszał, że chłopcy chcą znaleźć ukryte w pobliżu szybowce, najeżył się i zamilkł na dobre. Radek tym się jednak nie przejmował wcale.

Tempo prac było szybkie i w ciągu dwu dni uporządkowano całkowicie teren na szczycie. Wprawiono drzwi i okna, zabezpieczając je ryglami i naprawiając okiennice.

Drugiego dnia Stefan z Maćkiem poszli do wsi, wrócili jednak z niczym. Wójt był już wprawdzie we wsi, ale zapowiedział, że rozpocznie urzędowanie dopiero nazajutrz. Władze wojskowe nie chciały i nadal zajmować się sprawą szybowiska.

Po powrocie Stefan zawołał Adama.

— Zastanówmy się razem — powiedział — jak zorganizować dalszy „gryplan” prac na szybowisku.

Adam wzruszył ramionami.

— Nie będę mógł wam dopomóc.

— A my właśnie liczymy na ciebie. Tylko ty potrafisz znaleźć szybowce.

Poprzeczna bruzda przecięła wysokie, uparte czoło Adama.

— Postaram się znaleźć szybowce jutro — powiedział po namyśle — a następnego dnia wyruszymy, oboje w dalszą drogę.

— Jutro? Jutro idziemy z Józką do wsi. Musimy wreszcie załatwić formalności w gminie.

— Idźcie. A mnie pozostawcie Małgosię i Maćka albo Radka.

— W porządku. — Stefan stał jeszcze niezdecydowany. — Adam — powiedział wreszcie — co cię tak goni? Zostań. Może Józek da się namówić na kurs szybowcowy? Polatamy

* „Wrona” — szybowiec szkolny konstrukcji inż. Antoniego Kocjana.

trochę. Źle ci z nami?

— Wszędzie mi źle — odpowiedział na to Adam — a o pozostaniu mowy nie ma...

Załoga rozpadała się. Stefan nie rozumiał zupełnie tajemniczego Adama. Małgorzatka była miła i spokojna, ale widocznie ze względu na Adama też nie chciała rozmawiać na temat dalszych planów. Stefan więc postanowił pozostawić ich w spokoju, a Jaškowi okazywać jak najwięcej zaufania. I teŹe nocy wyznaczył go jako wartownika, wprawdzie nad ranem, i dał mu do towarzystwa Tomka, ale Jasiak widocznie dobrze zrozumiał intencję Stefana, bo spojrział bystro i powiedział:

— Dziękuję...

*

W nocy było spokojnie, tylko na horyzoncie rozbłyskiwały łuny pożarów, a ziemia drżała leciutko, rozrywana gdzieś daleko pociskami. Raz przeleciały samoloty.

— Rosyjskie — powiedział Stefan wychodząc z domu — na zachód lecą.

— Kukuruźniki — dodał Józek ziewając. — Kiedy byłem w szpitalu, doktor, który składał mi rękę, opowiadał o tych samolotach. Podobno zabierają nawet bomby. Pilot wznosi się na znaczną wysokość, potem przymyka gaz i cicho nalatuje na cel. Bomby spadają nieoczekiwanie, artyleria strzela Panu Bogu w okno, a samolot wciąż jeszcze lotem ślizgowym ucieka, potem już bezpieczny zaczyna terkotać na nowo i nabiera wysokości.

— W Warszawie nazywano Kukuruźniki „Turkawkami”, bo tak terkocą...

— Tak — z roztargnieniem potwierdził Józek — podobno Kukuruźniki pilotowane były przez kobiety. Ciekawym, czy Ewa o tym wiedziała. Ona marzyła wciąż o lataniu. Zawsze mi mówiła, że za wcześnie wyjechaliśmy z Bezmiechowej. Gdybyśmy pozostali z Jackiem, byłbym kurierem jak on, a Ewa czwartą pilotką transportującą maszyny z fabryk na front.

Józek umilkł i zamyślił się.

— Józek — powiedział Stefan patrząc na majaczącą niewyraźnie wśród ciemności bladą twarz szybownika — Józek, dobrze mi tu z tobą, ale idź spać. I tak ledwo zipiesz po tym wartowaniu, a jutro idziemy do wójta...

— Skróciłeś moje wartowanie o pół godziny i myślisz, że nie zauważyłem. Ale już idę. Dobranoc!

Nad ranem Stefan obudził Tomka i Jaška. Obaj porwali się natychmiast na nogi.

— Tomek — szepnął Stefan bratu — pamiętaj, że masz wytłumaczyć Jaškowi, jakie są obowiązki wartownika. A jeśli wypatrzysz coś podejrzanego swoim „orlim-sokolim” wzrokiem, gwizdź. Nie zrób mi zawodu. Pamiętaj, że ci ufam.

— Ppppammmmiętttammm, brrrr — dzwonił zębami Tomek, który wylazł spod ogrzanego koca i trząsał się z zimna, usiłując opanować drżenie. Stefan gotów był pomyśleć, że on tak ze strachu...

Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno.

— Czy wiesz, o której godzinie słońce wstaje w kwietniu? — pytał Tomek wyłażąc przez okno. — Nie wiesz. To ci powiem. Najpierw o piątej, a po piętnastym o czwartej z minutami.

Jasiak nie ruszając się z miejsca patrzył w stronę wsi.

— Ty, Jaś — zagadnął znów Tomek — warta musi pilnować obiektów, a nie drzemać na stojąco. Przejdź się do hangaru i wróć, a ja obejdę dom dokoła. Potem się zmienimy.

Jasiak poszedł wolno w stronę hangaru. Tomek wzruszył ramionami z irytacją. „Rusza jak na spacer” — pomyślał i w teŹe chwili przypomniał sobie, że nie nauczył Jaška wszystkich obowiązków wartownika. Nie chciał krzycheć w nocy, a gonić Jaška też nie miałoby sensu, jego sylwetka stopiła się już w jedno z ciemnością nocy.

„Powiem mu wszystko, kiedy wróci” — postanowił Tomek idąc dokoła domu. Przydłu-

ga peleryna Radka przeszkadzała mu w sprężystym kroku, zarzucił więc poły jak skrzydła na ramiona i szedł trzymając gwizdek w pogotowiu. Drzewa stały ciemne i groźne na stoku góry. Łuny zgasły. Po niebie rozpełzły się liliowe chmury. Nadeszła najciemniejsza godzina przed świtem.

Tomek na próżno usiłował dojrzeć cokolwiek w aksamitnej czerni, chociaż miał znakomity wzrok.

Parę lat temu Tomek lubił bardzo się tym chwalić. Aż pewnego razu wyrwało mu się: „Mój orli-sokoli wzrok wszystko dojrzy”. Cała rodzina i koledzy Stefana zaczęli dokuczać mu tym „orlim-sokolim” wzrokiem. Dotąd jeszcze przypominano sobie: jaki to wspaniały wzrok ma Tomek, chociaż on od dawna odzwyczyił się od samochwalstwa.

„Teraz już się nie chwalę — rozmyślał Tomek — a Stefan jeszcze potrafił powiedzieć: »twój orli-sokoli wzrok«. Czy warto wobec tego odzwyczycać się od zapominania, wszyscy i tak będą mnie przezywać: Tom Kowalski — Słoń Trąbalski i nic mi nie pomoże, czy będę zapominał, czy nie... Ale Jaškowi, swoją drogą, zaraz wytłumaczę, jak ma się zachowywać wartownik”. — I Tomek przyspieszył kroku. Ale Jaška na ganku nie było... Gdzieś za hangarem Tomek dosłyszał ni to szept, ni to szamotanie się, ale takie ciche, iż mogły być złudzeniem. Może to zatrzepotał ptak na gałęzi...

Tomek nie wiedział, co ma robić. Zawołać Stefana? Ale Stefan śpi zmęczony po nocnym czuwaniu, śpi spokojnie, bo zaufał Tomkowi. Tomek obiecywał mu pamiętać o wszystkim i zapomniał... Co robić teraz? Może Jasiek stoi pod hangarem, może usiadł gdzieś w kącie i drzemie.

— Pójdę do hangaru, może go znajdę — postanowił chłopczyk. Zdjął pelerynę, ułożył ją na poręczy ganku i zaczął skradać się w kierunku hangaru. Trawa ślizgała się pod jego nogami. Dotarł do hangaru i stanął nasłuchując. Gdzieś na dole zatrzeszczały gałęzie, jak gdyby ktoś szedł... Tomek zamarł. Serce biło mu głośno, bał się, że to łomotanie słycać na całym szczycie. Coś zaszeleściło w drzewach, równocześnie poczuł dotknięcie na policzku. Padał deszcz. Ciepły, pachnący wiosną. Deszcz szeleścił coraz głośniej. Twarde krople klepały po ścieżce. Za kołnierz wlewała się Tomkowi woda. Chłopiec nasłuchiwał jeszcze, ale poza szmerem spadających kropel nie mógł pochwycić żadnego dźwięku. Wrócił więc ścieżką, głośno stukając nogami. Może Jasiek przeczuł, że spadnie deszcz, i ukrył się pod drzewem, może już wrócił na ganek. Ale na ganku było pusto. Tomek narzucił pelerynę na ramiona i znów wlepił oczy w ciemność. Świtało. Ciemność stawała się jakby lżejsza, nie tak przytłaczająca.

— Jasiek — powiedział półgłosem Tomek — Jasiek!

Nikt mu nie odpowiedział. Deszcz padał coraz ulewniejszy. Woda chlupała w kałużach, które szybko tworzyły się na ścieżkach, z dzwonieniem ściekała po rynnie, bębniła o dach. Co robić? Alarmować? A jeśli Jasiek wrócił do domu, przecież on nie wie, czego nie wolno wartownikowi... Ale może Jaškowi coś się stało? Może porwali go Niemcy, przyczajeni znów za hangarem, i teraz prowadzą go ze sobą, a Tomek stoi bezradnie i nie woła o pomoc. Gdyby Tomek nie zapomniał o tym, o co prosił go Stefan, teraz wiedziałby, co ma robić, a tak... O Boże, co się dzieje z Jašką, może go zabrali, a on nie zdążył nawet krzyknąć! Nigdy już, nigdy Tomek o niczym nie zapomni.

— Jasiek! — zawołał rozpaczliwie. — JASIEK, odezwij się! JASIEK!

— Czego się drzesz — posłyszał nad sobą i z okna wyjrzał Adam — co się znów stało?

ROZDZIAŁ TRZECI

HUCZY WODA PO KAMIENIACH

Ciepły deszcz, który spadł tej nocy, pozostawił na drzewach i krzewach lśniąca rosę zieleni. Niebo splukane, czyste i bez chmur — śmiało się przejrzystością błękitu, przecinanego tylko lotem śmigających w powietrzu ptaków.

Wszystkie odgłosy wojny zamarły nad ranem u podnóża góry, a jednak na rozstępcznionym szczycie czał się cień: nikt ani na chwilę nie mógł zapomnieć o Jaśku.

Czujnie śpiący Adam, zbudzony krzykiem Tomka, zawołał Małgosię i z nią razem przeszukał las dokoła zabudowań. Śladów jednak nie znaleźli: zmył je rzęsisty deszcz. Wrócili oboje już po śniadaniu, utytlani w błocie i zmęczeni bardzo.

— Co z Jaśkiem? — zatrzymał Adama Tomek. — Nie znalazłeś go, Adasiu?

— Znudzilo mu się na warcie i poszedł spać. Puść mnie, muszę umyć się przecież. Gdzie Stefan?

Stefan zbiegł ze schodów domu.

— Mówiła mi Małgorzatka, że nic z poszukiwań. Zmęczyłeś się, Adam, i Małgosia też... Zrezygnujcie z dzisiejszej wyprawy po szybowce. Pójdziemy jutro razem, dobrze?

— Nie. Jutro odchodzimy.

— Widzę, że ci źle z nami...

— Ja wam nie towarzyszę — odparł na to Adam — zresztą: komu w drogę, temu czas... — i machnąwszy z rezygnacją ręką poszedł do domu, skąd nawoływała go Małgosia.

Stefan nie zatrzymywał Adama, nie było czasu na dłuższe rozmowy. Spieszyli obaj z Józkiem do gminy i Józek już czekał przy hangarze.

— Idziemy? — spytał Stefan, ale Józek stał nasłuchując.

— Samochód — powiedział po chwili — słyszysz?

— Samochód — potwierdził Radek — wali do nas.

Umilkli w oczekiwaniu. Już gdzieś całkiem blisko pracował z wysiłkiem motor samochodu. Pyrkał, sapał, zatrzymywał się, jakby dla nabrania tchu.

— Jakiś dychawiczny wóz — zauważył pogardliwie Hudek.

Terkotanie motoru urwało się nagle. Nastąpiło kilka prychnięć. Buchnął gwar młodych głosów niespodziewanym, wesołym śmiechem.

Józek, Stefan i Radek patrzyli na zakręt drogi. Drzewa w tym miejscu osłonięte cieniem stały ciemne i tajemnicze. Nagle na osłoneczniony asfalt wyszło kilku młodych ludzi. Na przedzie, lekko kulejąc, biegł szczupły chłopak w granatowym uczniowskim ubraniu.

— Krzysztof!

Chłopiec zatrzymał się przed Stefanem i nie ujmując wyciągniętych serdecznie rąk powiedział służbiście:

— Druhu drużynowy, melduję posłusznie niewykonanie rozkazu. Do Krakowa nie dojechałem. Przywiozłem na szybowisko towarzyszy z OMTUR-u...

Do Stefana podeszli trzej rośli, młodzi ludzie w modrych koszulach z czerwonymi krawatami, a najstarszy ściskając go za rękę powiedział:

— To jest nasza zasługa czy też wina, że Krzyś nie dojechał do Krakowa, a właściwie, że nie czeka dotąd na stacji na odejście pociągu...

Krzyś tymczasem z ramion Radka wpadł w objęcia Macieja, który wyskoczył jednym susem z domu i uniósł go do góry jak małego psiaka wołając potężnym głosem:

— Górą Krzysztof, nie spodziewałem się po tobie tak kawalerskiej fantazji!

I Tomek wybiegł ze składziku, gdzie ukrył się, aby nikt nie widział jego niemęskich łez, wylewanych z powodu Jaśka.

Nikt nie gniewał się na niego tego dnia, tylko Stefan strzepnął ręką i rzekł jakby do siebie: „Strzeliłem głupstwo”. Tomek wolałby jednak największą burę niż te słowa.

Czwarty z omturowców stał z boku. Był znacznie niższy niż jego trzech koledzy i różnił się nieco ubraniem. Szafirowa koszula była ledwie widoczna spod nowego, skórzanego płaszcza; grube, solidne buty lśniły, jak gdyby ich właściciel wychodził właśnie z domu, a nie wracał z męczącej podróży. Józek przyglądał mu się z boku. Znał dobrze tę chudą twarz o ironicznie zmrużonych oczach, znał pogardliwe wydęcie ust. Ale gdzie go spotkał w życiu i kiedy? Naraz przypomniał sobie. Prawda. Przecież to Olek Bukara zwany przez wszystkich uczestników kursu szybowcowego w Stokłosach „Kategorią A”. Przyjechał na kurs z odznaką w klapie kurtki i jakże imponował im przechwałkami o swoich lotach. A jak potrafił kpić z nowicjuszy! Aż pewnego dnia podczas „pokazowego lotu” rozbił najgłupiej w świecie CW-Jotkę*. Oczywiście, że to Olek, jakże mógł nie poznać go po tej zarozumiałej minie.

— Olek! — zawołał rad, że ktoś wraca do niego z tych dawnych, słonecznych czasów, kiedy był razem z Ewą, Wojtkiem i Jackiem. — Olek, a ty skąd tu, bracie? — I biegł ku niemu z wyciągniętymi rękoma.

Olek drgnął i cofnął się jakby zmieszany.

— Józek, to ty żyjesz!

— A niby po co miałem umierać? Nie spieszy mi się.

— Hm... tak mówiono...

— Kto mówi? — dopytywał się Józek, a jego oczy pociemniały. — Kto mówił? Spotkałeś może kogo z naszych? Wojtka... Ewę...

— Nnnie — cofał się przed nim Olek — ależ nnie...

— Więc kto?

— Bo ja wiem. Czy mogę pamiętać. Także masz wymagania. Tyle się ludzi zna i spotyka. Mówili, żeś zginął w Oświęcimiu — już pewniejszym głosem tłumaczył Olek. — A ty, widzę, masz rękę na temblaku. Musiałeś już sobie łapę przetrącić. Nie wymawiam ci, Józek, ale zawsze byłeś za ofiarę losu... Cóż u ciebie słyhać? Przynajmniej masz już kategorię „C”? — pytał protekcjonalnie.

— Mam.

— Gdzie zdobyłeś?

— Bezmiechowa.

— A ja mam „D” z Tęgoborza — oznajmił Olek z dumą. — Prześcignąłem ciebie! Ale co tak patrzysz na mój krawat? Do OMTUR-u się zapisałem. A może uważasz, że jeszcze nie warto? — pytał zniżając głos.

— Nie wiem — przerwał mu Józek ostro. Nie chciał obrażać gościa, ale nie wierzył ani w Tęgoborza, ani w kategorię „D”, ani w to, że przekonania Olka były zgodne z kolorem jego krawata. Olek nie zmienił się w ciągu lat wojny.

— Chodź — powiedział — wszyscy ruszają na śniadanie.

Adam z Małgosią nie czekając na koniec przywitali skoczyli do kuchni, aby podgrzać poranną kartoflankę, której potrójną porcję pozostawił Radek dla Jaśka.

Trzej omturowcy siedzieli już przy stole i opowiadali o spotkaniu z Krzysiem. Dziewczynka uwijała się podając parującą kartoflankę. Zaofiarował się jej z pomocą Tomek, ale ugrzązł przy stole i zapominając o wszystkim na świecie, nawet o zniknięciu Jaśka, słuchał opowieści chłonąc każde słowo. Już miał gotową nazwę dla tych trzech rosnących jak dęby chłopaków.

— Wyobraź sobie, że nasi Trzej Budrysi nie są wcale braćmi — szepnął na ucho wchodzącemu Józkowi. — Możesz w to uwierzyć?

Trzej Budrysi nie byli właściwie do siebie podobni. Czesław miał pociągłą twarz,

* CW-Jotka — polski szybowiec szkolny.

smagłą cerę, ciemne włosy i oczy. Jasnowłosy i niebieskooki Witek, z piegami na mięsistym nosie, chętnie żartował pokazując w uśmiechu białe zęby. Najstarszy, Lech, o przenikliwym spojrzeniu siwych oczu, miał twarz opaloną na czerwono i wyglądał jak Indianin. Byli różni, a pomimo to, patrząc na nich, wszyscy myśleli: bracia.

— Opowiedzcie, jak znaleźliście się tutaj? Jak spotkaliście Krzysia? — pytał Stefan podsuwając Krzysiovi kromkę chleba, jaka pozostała im z zabranych zapasów.

— Wybraliśmy się tu z ramienia OMTR-u, żeby sprawdzić, jakie prace są najpilniejsze, ile ludzi potrzeba przysłać... Objechaliśmy już szmat tej ziemi ugadując się z miejscowymi władzami. Aż tu na małej sennej stacyjce, tak sennej, że tam nawet pociąg usnął i nie wyruszył wcale w drogę, zobaczyliśmy jakiegoś chłopca w granatowym ubraniu. Witek go pierwszy dojrzał i krzyczy do Czesława: „Stój, stój, tam ktoś kiwa do nas ręką!” A to był właśnie Krzys. Pyta, dokąd auto jedzie, bo on musi zdążyć do Krakowa z pilnymi listami, a pociąg rozmyślił się i nie jedzie...

— Spytałem, skąd on jest — wtrącił Olek, nierad, że mówią o kim innym — słyszę, że wraca z szybowiska, oczywiście jako szybownik zainteresowałem się tą sprawą i — jesteśmy.

— Nie tak łatwo poradziłem sobie z Krzysiem — zauważył Witek. — Nie chciał wcale jechać na szybowisko. Mówił, jak wierny Soroka, że nie ma rozkazu. Tłumaczyliśmy mu długo, że będziemy wracać do Krakowa, więc zabierzemy ze sobą te pilne listy, a i Krzysia także, jeśli drużyna nie pozwoli mu zostać. Poskutkowało wreszcie argument, że bez niego nie pojedziemy na szybowisko i nie dostarczymy tam szybownika kategorii „D”. — Tu wskazał na dumnie spoglądającego Olka Bukarę.

Krzysztof słuchał z napięciem, patrząc na Stefana, a przed nim stygła kartoflanka.

— Wszystko w porządku, Krzychu — zapewnił go Stefan. — Cieszę się, żeś wrócił. Tylko jak tam z gorączką?

— Przeszła — powiedział Krzys i dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. Szybko zabrał się do jedzenia. Potem ogarnęła go senność.

— W najbliższym miasteczku — opowiadał dalej Lech — okazało się, że Krzys nie wie, jak się nazywa szybowisko. Pojechaliśmy więc do wsi Maczki, która, zdaniem Krzysia, znajdowała się obok waszej góry. Pytamy o szybowisko wszystkich dokoła. Nikt nie wie. A tu tłok. Ludzi pełno. Jedni powiadają, że dopiero co przyjechali, inni, że właśnie jadą dalej. A reszta — to Niemcy. Szwargocą po swojemu, nie rozumieją czy nie chcą rozumieć po polsku. Czyżby tu nie było wcale miejscowych Polaków?

Maciej zaprzeczył energicznym ruchem ręki.

— Na pewno są. Tu od wieków siedzieli Ślązacy. Teraz są zaskoczeni zmianami. Lud to nieufny, w ciągu wieków krzywdzony...

— Może — przyznał Lech. — Na razie nie spotkaliśmy żadnego Ślązaka ani też nikogo, kto by słyszał o waszym szybowisku.

— Jak to? — przerwał mu Witek. — A ten chłopak?

— Prawda. Spotkaliśmy chłopaka, który chciał nam pokazać drogę. Staliśmy przy jakimś domku. Nagle furtka się otworzyła, na szosę wypadł jakiś drab i z krzykiem na nas...

— Zasunął nam mowę jak się patrzy — śmiał się Witek błyskając białymi zębami w uśmiechu: „Felczer jezdem — powiada — i na lotniskach się nie wyznaję, a wam też nie radzę wsadzać nosa nie do swojego sosa”. Po czym sklął nas na czym świat stoi, dał biednemu chłopakowi po uchu i obaj weszli do wnętrza tego domku.

— Jak wyglądał ten chłopiec?

— Jak? — przypominał sobie Lech. — Czesławie, prawda, że miał gęstą, jasną czuprynę i bure oczy?

— Tak — potwierdził Czesław odwracając się od Adama, z którym prowadził ożywioną rozmowę. — A ubrany był w szarą kurtkę i wysokie buty.

— To Jasiek! — krzyknął Tomek porywając się z miejsca.

— Cicho, Tomek — Stefan położył mu rękę na ramieniu — wielu chłopców nosi szare kurtki i buty z cholewami.

— Oczywiście — poparł go Lech. — A powiedz mi, Stefku, jak się właściwie nazywa wasze szybowisko.

Stefan rad był, że rozmowa schodzi na inny temat. Nie chciał uwierzyć w ucieczkę Jaśka. Obaj z Radkiem szukali wszelkich pozorów, aby go przed sobą i innymi usprawiedliwić. Teraz jednak Radek siedział zaszępiiony, a i Stefan nie wiedział, co myśleć o dziwnym spotkaniu. Wolał więc mówić o czym innym.

— Tomek — rzekł siląc się na wesołość — jak nazwałeś naszą górę?

— Góra Czterech Wiatrów. Bo tu wieją ze wszystkich stron świata.

Adam pochylił się do Małgosi.

— Wyjdź ze mną na chwilę — szepnął — i zabierz ze sobą Krzysia, patrz, drzemie biedak nad stołem. Ułóż go spać i przyjdź do kuchni, będę tam na ciebie czekał.

Wyszli na korytarz, a za nimi biegły głośne okrzyki, wyrażające uznanie dla pomysłu Tomka.

— Mam osobny pokój — mówiła Małgosia do ziewającego Krzysztofa. — I tapczan mam. Pośpij sobie na nim. Ale najpierw umyj się ździebko w łazience.

W kuchni przez otwarte okno wlewało się słoneczne światło. Adam przemierzał pokój od wyłożonego błyszczącymi kaflami pieca do słonecznej plamy na podłodze. Małgosia usiadła na stołeczku pod oknem i patrzyła na niego wyczekująco.

— Rozmawiałem z Czesławem — zaczął wreszcie. — Część Czechosłowacji zajęta przez armię radziecką. Walki toczą się już na ulicach Wiednia. Z drugiej strony zdążają wojska anglosaskie. Więc myślę... więc zmieniłem nasz plan. Pójdziemy przez Czechosłowację. Rozumiesz? Cofniemy się do Zakopanego, tam przejdziemy granicę. Teraz tłumy ludzi będą wracać do własnych krajów z obozów, z robót — utoniemy łatwo w tej wędrówce narodów. Do Zakopanego droga stąd wprawdzie daleka, ale do Krakowa dojedziemy autem omturowców. Czesław obiecał, że nas ze sobą zabierze. A potem... jakoś sobie poradzimy. No, czemu milczysz?

Podszedł do niej bliżej.

— Małgorzato, co tobie? — A kiedy nie odpowiedziała, dotknął z lekka dłonią jej ozłoconych słońcem włosów. — Co się stało? Gadaj!

— Adasiu, ja... ja nie pójdę za granicę — szepnęła.

— Co się stało? — powtórzył zaniepokojony.

Zmarszczyła brwi szukając odpowiedzi.

— Widzisz — zaczęła niepewnie — ludzie wracają z obozów do Polski. Może tatuś i Włodek nie zginęli i wracają także. Jeśli pójdę z tobą, mogę ich nigdy nie spotkać. I... — urwała spoglądając ku niemu, jak gdyby czekała, że domyśli się nie wypowiedzianych słów.

Chłopak chwilę nie odpowiadał, wreszcie potrząsnął głową i rzekł chmurnie:

— Cóż. Trudno. Pójdę sam.

— Zostań.

— Nie.

— Czemu?

— Nie pytaj, Małgorzato. Powinnaś rozumieć sama.

— Nie rozumiem — szepnęła ze skrucą. — Naprawdę pozostać nie możesz? Pomyśl, co zrobi bez ciebie Stefan. On tak liczy na twoją pomoc.

Adam zamyślił się, na jego twarzy pogłębiły się bruzdy, które ją tak postarzały.

— Zawracacie mi głowę — rzekł już łagodniej. — Ja przecież nie odejdę, zanim nie odnajdziemy kryjówek z szybowcami. Zajmie nam to dwa dni najwyżej. Potem wyjedziemy do Krakowa, oddam ciebie pod opiekę ciotki, a sam wyruszę dalej. Tylko gdzie teraz jest twoja ciotka: w Krakowie czy też w Bielsku?

— Nie trzeba mnie zawozić do ciotki. Zostanę tu.
— Zwariowałaś. Za granicę nie — bo musisz czekać na ojca, a do ciotki nie — bo co? Jakże ojciec ciebie tu znajdzie? Coś kręcisz, nie lubię tego.

Westchnęła.

— Ach, Adasiu — rzekła cicho. — Tak mi trudno wytłumaczyć... ale ja wcale nie kręcę. Do ciotki wrócę później, a teraz napiszę tylko do niej. Budrysi obiecali list doręczyć osobiście. Tatuś i Włodek będą mogli mnie łatwo odnaleźć.

— A czemu nie chcesz jechać od razu?

— Nie mogę, naprawdę nie mogę. Tyle roboty, a chłopców tak mało. Zanim Budrysi sprowadzą więcej ludzi, muszę pozostać.

— Cóż. Rób, jak chcesz.

— Adasiu... Ty przecież wiesz, że ja chciałabym z. tobą, nie gniewaj się, naprawdę bym chciała. Zrozum, ja tak muszę, będę się czuła w porządku.

Adam zachnął się niecierpliwie.

— Więc uważasz, że ja nie jestem w porządku?

— Nie wiem. Ale tu na pewno jesteś potrzebniejszy...

— Masz ty pojęcie o życiu! — przerwał jej gwałtownie. — Siadaj lepiej i pisz list do ciotki. I to zaraz, bo jutro nie będzie na to czasu. — I wyszedł trzaskając drzwiami.

Małgosia chwilę jeszcze siedziała nieruchomo. Adam gniewa się, odejdzie w gniewie — może na zawsze. Adam, którego kochała jak rodzzonego brata. Ale co robić. Przecież iść z nim — nie może. A wytłumaczyć mu niczego nie potrafi, bo ciągnie go ku sobie — daleki, tajemniczy świat.

„Kiedy nie wiesz, co robić — przyszły jej na myśl nagle słowa ojca — przypomnij sobie wtedy, co zrobić powinnaś...”

„Powinnam napisać list do ciotki” — odpowiedziała sobie natychmiast. Wstała i przeszła do swojego pokoju, gdzie na tapczanie spał z otwartymi ustami Krzyś. Wyjęła ze stolika kilka pogiętych kartek papieru i ołówkę.

Kochana Ciociu! — zaczęła. — Jestem sama. Tatusia i Włodka zabrali Niemcy. Leśniczówka spalona. Ocalałam wtedy, bo mnie tatuś wysłał z meldunkiem do swojego dowódcy. Dowódca był bardzo dobry dla mnie i Adaś też. Kiedy nasz oddział rozbito, zostaliśmy we dwójkę i Adam opiekował się mną jak rodzony brat...

Małgosia pisząc te słowa zobaczyła znów leśniczówkę. Dom obrośnięty winem. Wilczury leżące przed gankiem. Te wilczury nieraz ją budziły w nocy szczekaniem. Ktoś pukał wtedy w okno. Ojciec i Włodek z pośpiechem narzucali ubrania i ojciec pytał: „Kto tam?”

„Panie leśniczy, przyjechaliśmy po śrut”.

Na to hasło drzwi otwierano. Ojciec z Włodkiem przemykali się do schowka po broń dla oddziałów partyzanckich.

Nieraz Małgosia błagała ojca, aby ją także wziął do roboty konspiracyjnej.

„Poczekaj — odpowiadał jej na to głaszcząc różowy policzek — masz jeszcze czas, córeczko”.

„Przyjmij ją, tato — wtrącał się Włodek — mam dla niej nawet dobre pseudo: «Pulcheria» albo jeszcze lepiej: «Otylia»”.

Rzucała się na niego z zaciśniętymi pięściami. Największą obrazą dla niej w tym czasie było przypomnienie, że jest różowa i grubiotka. Uważała za osobistych wrogów tych wszystkich, którzy nazywali ją „pączkiem w maśle”, „różyczką” lub „jagódką”. Łzy same napływały jej do oczu, które od śmierci matki miała na „mokrym miejscu”. Włodek dokuczał jej bardzo za tę skłonność do płaczu i potrafił godzinami chodzić za nią, powtarzając: „Królowa Ryksa, królowa Ryksa, królowa Ryksa...”

Włodek uspokoił się z czasem; spoważniał, odkąd go ojciec wciągnął do pracy konspiracyjnej, wydorosłał nagle.

I Małgosia płakała rzadziej. Starła się opanowywać, aby ojciec uznał, że ona może także nosić broń i listy.

Pewnego dnia ojciec przywołał ją do siebie. Sądziła, że zacznie rozmowę o tym, że czas myśleć o powrocie do Krakowa, że najważniejsza jest nauka... Ale ojciec trzymał w ręku jakieś papiery, nie uśmiechał się, nie żartował, zaczął od razu, bez wstępów, urywanymi zdaniami:

„Małgosiu, tu meldunek do dowódcy. Adres na kartce. Naucz się na pamięć idąc. Naucz się jak najszybciej i zniszcz kartkę. Gdybyś spotkała po drodze Niemców, powiedz, że jesteś z Krakowa. Przyjechałaś na lotnisko na wieś. Wracasz z jagodami. Koszyk zabierz ze sobą — wskazał na kobiałkę, którą postawiła na biurku. — Tu masz legitymację. Jest fałszywa. Data urodzenia ta sama. Zamiast imion ojca i matki imiona wuja i ciotki. Adres i nazwisko też ich. Masz, dziecko, i już idź”.

„Tatusiu!”

„Nie mam czasu. Idź. Dowódca ci wszystko wytłumaczy”.

„A ty?”

„My z Włodkiem przyjedziemy później. Idźże” — powtórzył niecierpliwie. Przytulił ją mocno i wypchnął za drzwi. Oszołomiona, nic nie rozumiejąca, wyszła przed dom, pobiegła ścieżką wydeptaną wśród trawy. Przy drzewach odwróciła się jeszcze. Ojciec wchodził właśnie do składziku pochylając czarną głowę. Za nim zobaczyła wysoką, giętką postać brata.

„Pulcherio! — krzyknął wygrażając jej ręką. — Nie stój jak żona Lota. Dymaj na jednej nodze!”

Szła z pośpiechem leśną dróżką, powtarzając adres dowódcy. Z daleka zaterkotał karabin maszynowy. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że to strzelano do jej ojca i brata.

Kiedy dotarła do kwatery dowódcy, oddała kartkę jakiemuś groźnie wyglądającemu chłopcu. Natychmiast zaczął się ruch. Oddział wymaszerował.

Czekała na ich powrót kilka godzin. Wreszcie, zmachani, wrócili chłopcy. Dowódca, starszy już, siwy człowiek, zawołał ją do siebie.

„Zostaniesz z nami” — powiedział.

„A tatuś?”

„Przybyliśmy za późno. Nie wiem, co się z nimi stało. Bronili się podobno. Leśniczówka spalona... Nie myśl o tym. Musisz wierzyć, że ocaleją”.

Usłuchała. Nie mogła nie usłuchać. Musiała wytrzymać wszystko, co życie niosło. Musiała być silna, nie mogła myśleć o niczym, co osłabia.

Oddział kluczył, wymykał się Niemcom. Znienacka wpadał na wroga, kłuł boleśnie, zaszywał się w gęstwinę. Umiała opatrywać rany, więc mianowano ją sanitariuszką. Nigdy nie przyznawała się do zmęczenia, chociaż zasypiała idąc. Czasem zatrzymywano się na postoju we wsi. Wtedy robiła pranie, a ileż razy umykała z mokrą bielizną w plecaku... Kiedyś w szopie znalazła kawałek lustra. Ze srebrnego trójkąta spojrzała ku niej obca twarz bez rumieńca, brązowa jak rzemień. Zdziwiła się, że mogły ją kiedykolwiek martwić nazwy: „rózyczka” czy „pączek w maśle”. Teraz nazywano ją po prostu: Małgorzatą i tylko dowódca dodawał żartobliwie, że ona umie przemieniać się z Małgosi brązowej w Małgosię błękitną.

W tym czasie przebywała najczęściej z Adamem.

„Nie zrażaj się do niego — mówił dowódca — to złote serce i rzadka dzielność. Można mu zaufać”.

Przywykła słuchać dowódcy, więc znosiła cierpliwie szorstki ton Adama. Potem przywiązała się do niego jak do brata. Aż przyszedł dzień, kiedy zostali tylko we dwoje...

Nie chciała, nie mogła przypominać sobie tej chwili, kiedy wracając z wyprawy po broń zobaczyli oboje swego kolegę Staszka. Leżał martwy w pyle drogi, rozrzucony ramiona.

Płonęła sąsiednia wieś. Zakopali broń i wymykali się Niemcom. Ze wschodu zbliżała się ofensywa. Ziemia jęczała głucho.

„Dość tego telepania się po lasach — powiedział Adam któregoś dnia. — Naszego oddziału już nie znajdziemy. Może zginęli wszyscy. Wracamy”.

Pamiętała dobrze mroźny wieczór i małe miasteczko zatopione w błękitnym mroku.

„Tu stał mój dom — wskazał Adam jakieś spalisko. — Ojca i matkę rozstrzelano” — dodał ciszej.

Minęli jeszcze kilka uliczek i zapukali do drzwi starego, pochylonego domku. Długo nie otwierano, wreszcie rozległ się starczy kaszel.

„Kto tam?”

„To ja, Adam”.

„Jaki Adam?”

„Kolega Jurka”.

Drzwi otworzyły się z pośpiechem.

„Tu nie ma żadnego Jurka” — zawołał ktoś od progu, ale równocześnie pomarszczone ręce wciągnęły już Adama do wnętrza domu. Kiedy weszli do ciasnej sionki, starzec zamknął starannie drzwi i pochwycił Adama w objęcia.

„Już myślałem, że ciebie nigdy nie zobaczę. Jurek powiadał, żeś zginął”.

„Jurek żyje? Kiedy wrócił? Gdzie on jest?!”

„Wrócił, wrócił z panem Średnickim, z waszym dowódcą — zaszeptał stary — i razem do Anglii ruszyli. Zmówili się jeszcze z Kujawskim Bolkiem, z Bartkiem Sójką i z tym Michałem z młyna i poszli...”

„Nie zaczekali na mnie?”

„Myśleli, że nie żyjesz, ale Średnicki powiedział, że gdybyś wrócił, żebyś za nimi szedł i jego szukał. Kartkę ci zostawił z jakimś hasłem czy adresem”.

„Dobrze. Pójdę”.

„Pójdiesz? — westchnął stary. — Jurek poszedł. A ja tak myślę i myślę, czy dobrze robicie. Adaś, czy dobrze?”

„Bo ja wiem — odpowiedział Adam chmurnie. — Pójdę. Nie mam już rodziny. Nie mam nikogo”.

Tego wieczoru Adam rzekł do Małgosi:

„No, Małgorzato, jutro wstań wcześniej. Idziemy za granicę”.

Poszła za nim. Wydawało jej się wtedy, że cały jej dawny świat zapadł się już na zawsze. Ze nikt nie powróci. I dopiero dziś poczuła, iż odejść nie może. Nie tylko dlatego, że ojciec i Włodek mogą zjawić się nagle i szukać jej na próżno...

Tu zaczynało się budowanie życia na nowo. Musi pozostać, chociaż tak bardzo lęka się rozstania z Adamem. Jak wytłumaczyć Adasiowi, że ich miejsce jest tu? Nie wiedziała...

— Małgosiu — postyszała szept Józka zza uchylonych drzwi. — Czy masz jakąś kartkę i ołówek? Chcę napisać list.

— Mam — odparła — wejdź, Józek, i zczekaj chwilę. Zaraz skończę i odstąpię ci swój ołówek i stolik na dokładkę.

Józek usiadł ostrożnie na brzeżku tapczanu, a Małgosia pisała szybko:

...Po drodze wstąpiliśmy na szybowisko i tu pozostaniemy przez pewien czas. Mamy szybownika, który nauczy nas latać. Potem wrócę.

Ciociu kochana, poszukaj tatusia i Włodka, a jeśli ich znajdziesz, napisz do mnie prędko. Nie wiem, jaki jest nasz adres, ale najlepiej pisać tak: Powiat prudnicki, Gmina Maczki. Szybowisko: Góra Czterech Wiatrów. A może trafi się okazja i ktoś będzie tu jechał, niech wstąpi do nas. Znaleźć nas łatwo. Górę podobno widać z daleka.

Za parę dni napiszę do Ciebie, Ciociu, długi list. Powiedz, czy mieszkasz w Krakowie,

czy też już w Bielsku, w starym domku?

Czy bzy są jeszcze? Czy żyje stara Stasiowa? A nasz sąsiad, fryzjer Zeflik?

Całuję Cię mocno

Twoja Małgosia

— Skończyłam — powiedziała i spojrzała na Józka. Czy chcesz napisać do domu?

— Do dooomu — powtórzył przeciągle, a jego blada, niemal przezroczysta twarz zaróżowiła się nieco. — W domu miałem siostrzyczkę Jadzię. Teraz będzie już w twoim wieku. I brata miałem. Wicka. Urwis. Ani chwili nie usiedział spokojnie. Ale nie napiszę teraz do nich, bo nie znam adresu. Zawiadomię tylko Departament Lotnictwa Cywilnego, że zabezpieczamy tu szybowisko, i poproszę o pomoc. I do narzeczonej napiszę — dodał po chwili — bo jeśli żyje, na pewno zgłosiła się do lotnictwa.

— Pisz, nie przeszkadzam.

Dziewczyna znikła za drzwiami, a Józek wyprostował zgniecione karteluski i zaczął:

Do Departamentu Lotnictwa Cywilnego

Niniejszym zawiadamiam, że na południe od miasta Prudnika, koło wsi Maczki, znajduje się ponemieckie szybowisko, które otrzymało nazwę: „Góra Czterech Wiatrów”. Góra ma wysokość względną około 150 m. Pola wzlotów są ze wszystkich stron, tak że startować można przy każdym wietrze. Na południu, u podnóża góry, znajduje się lotnisko ze zniszczonym hangarem. Na zachodzie góra sąsiaduje z niższym nieco, podłużnym wzgórzem (około 2 km), które można wyzyskać do lotów żaglowych. Na lotnisko prowadzi szosa, łącząca je ze wsią i ze stacją.

Zabudowania: dom piętrowy o 12 pokojach, kuchni i 4 łazienkach. Pokoje częściowo umeblowane. Brak łóżek. Okna i drzwi już naprawiono.

W hangarze (o wymiarach ca 20/35 m) stoją dwa rozmontowane szybowce szkolne niemieckiego typu. Należy przypuszczać, iż w pobliżu powinna znajdować się kryjówka z resztą szybowców. W najbliższym czasie odbędą się poszukiwania tej kryjówki. Szybowisko zabezpiecza 8-osobowa grupa (w tym jeden tylko szybownik).

Uprzejmie proszę o jak najszybsze przejście szybowiska przez personel fachowy. Zaznaczam, że na szybowisku brak żywności.

Józek podpisał się i sięgnął po drugą kartkę. Ale następny list nie wypłynął tak szybko spod ołówka... Krzyś rzucił się we śnie. Józek okrył go kocem i powrócił do listu.

Kochana Ewo — zaczął.

Nie wiem, czy mój list dotrze do Ciebie, ale jeśli jesteś w kraju, zgłosiłaś się na pewno do lotnictwa, więc może Cię odnajdę...

Ewo, czy jesteś z Wojtkiem? Nie znalazłem go w Oświęcimiu, nie było go też w transporcie. Szukałem ciągle, a teraz będę szukał Was wszystkich.

Kiedy wywożono mnie do Niemiec — wyskoczyłem z pociągu. Złamałem rękę. Jakiś polski robotnik znalazł mnie nad ranem, idąc wzdłuż toru. Byłem w pasiaku obozowym. Powiedziałem podobno do niego półprzytomnie: „Przyjacielu, jestem więźniem Oświęcimia. Idę na wolność”.

Zabrał mnie ze sobą. Nie wiem, jak tego dokonał. Pamiętam tylko jak przez sen jakieś zakamarki, gdzie przechowywał mnie aż do wkroczenia wojsk radzieckich. Ruszyłem wtedy z powrotem do kraju. Nie pamiętam, kto mnie ubierał, wiem, że zarówno życie, jak i to wszystko, co mam, zawdzięczam dobroci ludzkiej.

Szedłem na przelaj. Chciałem dotrzeć do Krakowa. Powiedziano mi, że Warszawy już nie ma, sądziłem więc, że najprędzej odnajdę Was w Krakowie. Ciebie, Ewo...

Józek przerwał list. Przyszło mu nagle na myśl, że do Ewy mogła dotrzeć wieść o jego śmierci. Może Ewa wyszła za mąż za innego? Odepchnął te niepotrzebne myśli. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Byli zawsze razem od czasu, kiedy poznali się na kursie szybowcowym w Stokłosach. I nie wątpił nigdy ani przez chwilę, iż będą zawsze razem. Ale jak bardzo kochał Ewę, kapryśną Ewę, dzielnego, niezawodnego towarzysza, przekonał się dopiero w więzieniu. Przez kilka pierwszych dni nie miał żadnej wieści i nie wiedział, kogo można prosić o pomoc. Naraz do celi wszedł strażnik. „Józef Biela!” — zawołał głośno.

Porwał się z siennika pewien, że idzie na badanie. Ale milczący strażnik zaprowadził go na żeński oddział, do tak zwanej Serbii. Józek stwierdził ze zdumieniem, że każą mu usiąść na fotelu dentystycznym

„Który ząb boli?” — spytała dentystka. Coś w to nie głosu tej kobiety nie pozwoliło Józkowi odpowiedzieć, że go wcale zęby nie boją. Wskazał któryś na chybił trafił.

Pani doktor z powagą opukała zdrowy ząb, strzykała na niego zimną to gorącą wodą, pytając cierpliwie:

„Boli? Tak boli? A tak?”

Odpowiedział na wszelki wypadek, że boli, czekając, co będzie dalej. Nie zdziwił się też zupełnie, kiedy uczuł, że pani doktor wsuwa mu do ręki jakiś karteluszek.

„Na razie skończyłam — powiedziała. — Wezwę pana jutro”. Ciasno zwinięta bibułka, którą otrzymał, była pokryta drobnym pismem Ewy. Ile uczucia umiała włożyć w proste pytania i rady! Jakże tęsknił do niej wtedy!

Ewuniu — pisał dalej — odezwij się. Teraz już nie rozstaniemy się nigdy w życiu. Co z Wojtkiem, Ewo? Tak bardzo jestem o niego niespokojny. Czy wypuszczono go z więzienia, a jeśli był w obozie, to w jakim?

I pomóż mi odszukać moją rodzinę, Ewuniu.

*A może będziesz mogła przyjechać tu do nas? Zabezpieczamy w tej chwili szybowisko. Załogę Góry Czterech Wiatrów to dzielna wiara. Nie zraża jej to, że brak nam wszystkiego od certusu * poczynając, do chleba włącznie.*

Czy nie zagubiłaś w tej zawierusze Jacka? Pozdrów go ode mnie.

Aha! Spotkałem tu Olka Bukarę, pamiętasz, „Kategorię A” ze Stokłosów? Nie zmienił się wcale. Powiada, iż krążyły o mnie plotki, że zginąłem. Czy słyszałaś o tym? Może uwierzyłaś, Ewo?

Bądź zdrowa, odezwij się — przyjeżdż.

Twój Józek

Krzyś obudził się i usiadł na tapczanie, spoglądając na Józka trochę mętnym ze snu wzrokiem.

— Śpij — powiedział Józek — dziś u nas na Górze święto z powodu waszego przyjazdu, piszemy listy i nie pracujemy.

Ale w tejże chwili odezwał się donośnie warkot samochodu. Józek wstał i wsunął listy do kieszeni.

— Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje — rzekł — Jeśli chcesz, chodź ze mną.

— A gdzie są wszyscy?

Józek wyjrzał oknem. Przed hangarem grupka ludzi otaczała niewielką ciężarówkę, która stała w cieniu z otwartą maską.

— Co się tam dzieje? — dopytywał się Krzyś.

* Certus — klej używany w szybownictwie.

— Patrz, jak Radek majstruje przy aucie. Chodźmy popatrzeć także.

Wyszli na ganek.

— Józek, gdzie byłeś? — zagadnął go Stefan.

— Pisałem listy.

— Nasi goście zgodzili się pozostać z nami dwa dni. Pomogą jutro Adasiowi przy odszukiwaniu szybowców, a ciebie i mnie zawiozą do gminy. Może zdążymy także pojechać do miasteczka?

— A co z autem?

— Nasz Ford jest bardzo poczciwy, ale pasjami lubi zatrzymywać się znieca — tłumaczył wesoło skory do śmiechu Witek. — Musi po każdej podróży trochę wypocząć. Potem go huśtamy, kołujemy tam i z powrotem, naprzód i w tył, z górki w dół i z dołu na górkę. Po takiej gimnastyce zwykle idzie dobrze aż do następnego zatrzymania się...

— Doobre auto, staare auto — mruknął Radek nie przerywając pracy.

— To coś dla ciebie, Radek — powiedział Maciek kpiąco — wdzięczne pole do dłubania...

— Kpij sobie, a ja znajdę sposób i auto będzie chodziło jak złoto!

— Wiadomo, ty na wszystko znajdziesz sposób!

— Cóż ty sobie myślisz, humanisto, pewnie, że na wszystko. Nawet żeby być szczęśliwym, trzeba znać sposoby — odciął się Radek, a z jego miny widać było, że te sposoby zna albo też je znajdzie z całą pewnością.

Olek słuchał rozmowy z niesmakiem. Nieoczekiwanie znalazł się poza nawiasem życia na tym szybowisku. Nawet ten ciekawski malec Tomek zignorował go i nazywając kolegów „nasi trzej Budrysi” pominął go zupełnie. Nikt się nim nie zajmował. Zawód był tym dotkliwszy, że jadąc tu Olek spodziewał się znaleźć ludzi niefachowych, którym mógłby udzielać łaskawie rad i wskazówek. Tymczasem wyskoczył jak Filip z konopi ten Józek i on jest tu wyrocznią. Że też właśnie Józka musiał spotkać. Teraz żałował poniewczasie, że kiedyś zmyślił Ewie historię jego śmierci. Ale Ewa sama go sprowokowała, dopytywała się o Józka nie interesując się wcale przygodami Olka. Więc jej opowiedział, że w Oświęcimiu on, Olek, zorganizował bunt, że Niemcy nie odnaleźli sprawców i rozstrzelali co dziesiątego, jak to Niemcy czynić zwykli. Józek miał pecha. Znalazł się wśród skazanych na śmierć, chociaż w buncie nie brał udziału. Któż mógł przypuścić, że Ewa tak bardzo weźmie do serca wiadomość o śmierci Józka, że zamiast podziwiać bohaterstwo Olka, wykrzyknie gniewnie:

— To świństwo, Olek! Powinieneś być przyznać się. Jak mogłeś pozwolić, żeby za ciebie ginęli inni!

A teraz znów okazało się, że Józek żyje. Przetrzywał Oświęcim ten wąty Józek, którego nazywali w Stokłosach „panieneczką”. „Jak się teraz wymigać z tej historii? Jakie znaleźć dyplomatyczne wyjście?!” — rozmyślał przyglądając się mieszkańcom Góry z naganą w oczach. Narwańcy jacyś! Poszukiwacze przygód na terenach przyfrontowych. I to harcerze z Krakowa. Inaczej sobie wyobrażał statecznych mieszkańców podwawelskiego grodu. Obok dwóch harcerzy płacze się jakiś kędzierzawy olbrzym w cywilnym ubraniu. A ten znów skąd? Ma powolne ruchy i senny wyraz twarzy. Jakaś niezgara! Nieco życzliwości czuł Olek tylko do Krzysia pamiętając wyraz podziwu w jego oczach, kiedy mu opowiadał o swoich wyczynach szybowcowych.

— Cóż — spytał go — druh zostaje tutaj, prawda?

— Tak — odpowiedział Krzys z zapalem — i strasznie się cieszę. Nareszcie będę miał prawdziwe przygody.

Olek skrzywił się.

— Widocznie druh jeszcze nie doznał prawdziwych przygód — wycodził przez zęby — dla nas, parasolarzy, to nie przygody, nie...

Maciej zwrócił w ich stronę kędzierzawą głowę ogarniając Olka przeciągłym spojrze-

niem.

— Pan był w „Parasolu”! — wykrzyknął Krzyś. — Doprawdy?

— Tak. Tak — mówił dalej Olek, rad z wywołanego wrażenia. Nareszcie pokazał tym krakowiakom, kim jest. Teraz zaczną go cenić.

— Pan jest kolegą Maćka! — mówił Krzyś z ożywieniem. — Maciek z powstania wyszedł jako „ranny cywil”, a pan?

I nie otrzymując odpowiedzi Krzyś zwrócił się do olbrzyma:

— Maciej, słyszysz, co pan mówi? To twój kolega, Parasolarz!

— Słyszę — zimno odparł Maciej — ale nigdy tego pana nie widziałem.

— Maciej! — krzyczał Tomek biegnąc ku niemu. — Czy ty byś przeskoczył ten krzak, bo Witek nie może

Olbrzym rozpędził się, jego nogi odbiły się lekko od ziemi i ze zręcznością, o jaką trudno go było podejrzewać, przesadził wielki krzak.

— Ohooohoo! — zawołali Budrysi. — Górą Maciek!

Olek patrzył na to zaciskając wargi. Znów pomyłka. Ten senny, niezdarny cywil skakał jak cyrkowiec, a co gorsza, nie pochodził wcale z Krakowa, tylko z Warszawy, i na domiar złego był parasolarzem. Stanowczo nie wiodło się Olkowi na tej górze.

Wieczorem Maciek z Radkiem weszli do świetlicy.

— Co ci, Stefanie? — spytał półgłosem Maciek patrząc z niepokojem na pogodną zwykłe, a teraz zasmuconą twarz drużynowego.

— Adam odchodzi. Tłumaczyłem, prosiłem, nic nie pomaga... Uparł się jak osioł: nie i nie. Bez żadnych tłumaczeń: po prostu nie, i koniec! Małgorzata zostaje, ale ja tak wierzyłem, że uda mi się namówić i Adama. Źle mu z nami i nie wiem — czemu?

— A może tak zatrzymać drugiego szybownika, pana Olka Bukarę? — wtrącił Radek.

— Kogo? — spytał Maciek. — Tego „parasolarza”? Już daj spokój, Radek, także masz pomysły. Rozumiem, żebyś zatrzymał Budryśów, to chłopcy na schwał, Ale ten czwarty im się nie udał.

— Czego chcecie od niego? — upierał się Radek, który nie lubił, kiedy krytykowano jego zdanie. — Bojowy gość. Szybownik! Mucha nie siada!

Słyszając to powiedzenie, które służyło Radkowi do wyrażenia największej pochwały, Maciej wzruszył ramionami, cofnął się do tablicy, znalazł kredę i zamiast odpowiedzi napisał dużymi literami:

*Huczy woda po kamieniach,
a na głębi cicho płynie...*

ROZDZIAŁ CZWARTY BURZA NAD SZCZYTEM

Grupa Adama ruszyła pierwsza. Jej dowódca dawał ostatnie wyjaśnienia Stefanowi i Józkowi zataczając dłonią szerokie koło.

— Obejdziemy szybowisko — mówił — idąc tyralierką to w górę, to w dół, tym sposobem nie ominiemy żadnego krzaczka i jeśli tylko szybowce są w pobliżu, odnajdziemy je z pewnością. A muszą być, bo Niemiec pisał o „przenoszeniu” sprzętu do kryjówki, a nie o „wywożeniu”.

Józek poszedł wzrokiem za jego ręką. Błękitna przestrzeń nieba, zawieszona nad ziele-

niejącymi polami, była porysowana jak marmur delikatnymi żyłkami. Na twarzy czuł Józek dotyk wiatru. I nagle zapragnął oderwać się od szczytu, zagarnąć pod skrzydła wiatr, pod nogami mieć ziemię daleką i obojętną, a ponad sobą przyjazne niebo, którego milcząca wymowa wyznacza ścieżki szybownika...

— Masz jakieś wskazówki? — dosłyszał głos Adama.

— Idzie front burzowy — odpowiedział. — Spiesz się, Adam.

Adam ruszył naprzód długim, równym krokiem, prosty i zgrabny w swej poczemniałej od sadzy kurtce. Za nim jak Waligóra z Wyrwidębem posuwali się obok siebie Witek i Maciej. Z tyłu za nimi szła Małgosia, która w spodniach i wiatrówce wyglądała jak chłopiec. U jej nóg, ostrożnie unosząc łapki, krok za krokiem posuwał się pręgowaty kociak. Tomek na próżno go nawoływał obiecując mu podróż autem i podwójną porcję konserw przy obiedzie.

— Adam — krzyknął jeszcze Józek — uważaj!

— Dobrze — odpowiedział Adam zanurzając się w lesie. Pod jego nogami lśniło rdzawo zeszlóroczne igliwie. Cienie drzew przecinały złote pasy prześwietlone słońcem. W górze błyszczące nici pajęczyn kołysały się pomiędzy konarami świerków. Owady jak lśniące cętki przelatywały w smugach światła. Las wypełniony był wesołym rozgwarem ptaków, które nawoływały się w górze lub przelatywały nisko pomiędzy krzakami.

Tak niedawno jeszcze szedł Adam lasem, a przy nim wędrowała Małgorzatka. Jutro pójdzie dalej sam. Dotychczas nie przywiązywał wagi do jej towarzystwa. Dopiero teraz, kiedy miała odejść, zrozumiał, jak bardzo będzie samotny bez niej.

Gniew i żal wypełniły jego serce.

— Hej, koledzy — zawołał głośno — czy pamiętacie, jak mamy się porozumiewać? Maciej, odezwi się.

— Ku-ku, ku-ku — rozległo się pomiędzy drzewami.

— Kukułka kuka czy nasi? — spytał Lech krzątając się przy samochodzie, który popychano tam i z powrotem przy akompaniamencie okrzyków Tomka.

— Czy kukułki zimują u nas, czy też odlatują do ciepłych krajów? — pytał Tomek. Nikt mu nie odpowiedział, bo samochód odezwał się nagle przerywanym pyrkaniem. Kierowca Czesław ruszył, a Stefan krzyknął z auta:

— Krzych, kiedy zostaniesz sam, nie wchodź do budynków, a w razie niebezpieczeństwa gwizdź. Rewolweru Józka używaj tylko w razie koniecznej potrzeby.

— Dobrze!

— A ty, Radek, uważaj na gwizdki Krzysia...

— Tak jest.

Auto ginęło już za zakrętem.

Obaj chłopcy słuchali przez chwilę jego grania, które stopniowo stawało się coraz cichsze i równiejsze.

— Dobrze idzie — pochwalił Radek — nie powinno stanać.

— Już jak ty sprawdziłeś, to nie stanie — rzekł Krzyś z przekonaniem.

— Chodź, ugotujemy obiad, żebym mógł po południu iść z Adamem na wyprawę.

Krzysztof rad z zaufania, jakie mu okazał Stefan, chciał jak najprędzej już pozostać sam na szczycie. A po cichutku marzył o przygodzie, która by pozwoliła mu wystrzelić chociaż raz z powierzonego rewolweru.

Szybko rozpalili się ogień pod sprawnymi palcami. W kociołku przyjemnie zbulgotała kartoflanka. Cieniutkie strużki obierzyn wysypano do wiaderka. Krzyś zgodnie z nakazami Stefana, co chwila wyglądał przez okno, a co pewien czas obiegał budynki. Na szczycie jednak panował spokój.

— Radek, jak tu ślicznie! — zachwycił się, kiedy ukończywszy gotowanie wyszli obaj przed dom. — I drzewka owocowe są. Chyba jabłoń i czereśnia, a te cienkie drzewka — to jarzębina.

— I tak tu spokojnie — dodał po chwili z nutką zawodu w głosie. — Cóż to za wojna. Trochę huków słyhać, a poza tym spokojnie.

— Nie tak spokojnie, jak myślisz — odpowiedział Radek, który zabrał się do przekopywania grządek. Wolałby co prawda majsterkę, ale roboty w domu były skończone, a szybowców Józek ruszać nie pozwolił. Radek nie umiał siedzieć beczynnie, więc zabrał się do kopania.

— Niece — zaciekawił się Krzyś — niespokojnie, mówisz?

— Wczoraj w nocy nam chłopiec zginął, Jasiek. Stał na warcie.

— Co się z nim stało?

— Nie wiem — odparł Radek. — Na wszelki wypadek zostawiamy dla niego obiad. Wczoraj zjedliście jego porcję. — Radek zatrzymał się, łopata trafiła na szczoteczkę zielonych łądźek. Ominął je i kopał dalej.

— Myślę, że go Niemcy porwali — powiedział wreszcie.

— Niemcy? — zdumiewał się Krzyś coraz bardziej. — Pleciesz, Radek! Niemcy są daleko. Lech opowiadał wczoraj, że na trzecim froncie białoruskim zdobyto Królewiec, a na Zachodzie — Dortmund i Essen.

— Co ty tam wiesz, Niemcy siedzą w lasach. Zaraz pierwszej nocy nas napadli. Udusiłby mnie pewnie szkop, gdyby nie pomoc Józka. I hangar podpalili! Adam kurtką ogień zagaścił i dlatego ma kurtkę tak posmaloną...

— Ach! — wyrwało się Krzysiovi. — I to wszystko beze mnie. Teraz cicho jak na złość. Zawsze muszę mieć pecha!

— Rad głupi, że oszalał — stwierdził Radek krótko.

— Któż to był ten Jasiek? — zmienił temat Krzyś, niezadowolony z wątpliwego komplementu.

— Stefan go znalazł w piwnicy na szybowisku. Ty wiesz, że on zawsze umie zdobyć pomocników do pracy. Już pierwszej nocy namówił Józka-szybownika, który tu przypadkiem przenocował, żeby pozostał z nami. I Adam z Małgosią też zatrzymali się na parę dni, chociaż szli z lasu i bardzo się śpieszyli.

— Z jakiego lasu? — nie mógł zrozumieć Krzyś.

— Bo ja wiem „z jakiego”? Z partyzantki wracali — a Jaśka szkoda — zakończył nieoczekiwanie i zaczął kopać energicznie, jakby chciał zasypać głęboko swój żal za kolegą.

Krzyś westchnął. Ze też on nigdy nie ma szczęścia! Podczas wojny nie brano go do roboty konspiracyjnej, tłumacząc, że jest za mały. Tymczasem okazuje się, że Małgosia, która na pewno jest młodsza, była w partyzantce, o której on tylko marzył. Naprawdę ma pecha. Podczas wyprawy po szybowce, na którą zabrał go Stefan po długich wahaniach, wszystkie przypadki musiały spaść na głowę właśnie jego, Krzysia. Okułał, zaziębił się. Sprawiał tylko kłopot Stefanowi...

Tu przypomniał sobie, że przez dziwne zrządzenie losu spotkał omturowców i przywiózł ich na górę. Wojna jeszcze się nie skończyła. Przygoda mogła się zdarzyć, a gdyby nawet ominęła go przygoda wojenna, pozostawały loty na szybowcach. Krzysiovi od razu poprawił się humor i chłopiec zagwizdał jak ptak.

— Nasi wracają na obiad — powiedział Radek odkładając łopatę.

Rzeczywiście od zachodniego pola wlotów, otoczonego z obu stron ścianą lasu, dochodził zmieszany gwar głosów. Zza półokrągłego wzniesienia wyskoczył kot i okręcił się na trawniku za własnym ogonem, Potem ukazały się głowy chłopców i Małgosi.

— Są szybowce? — pytał Krzyś.

— Nie ma jeszcze — wołała dziewczynka wybiegając na szczyt — ale może są tam — i pokazała ręką na zachodni stok.

— Wiesz! Nad jeziorem spłoszyła bociany! Ciekawam, czy to są te same, co mają gniazda na pustej chałupie pod wschodnim zboczem.

— Na obiad! — nawoływał Radek.

— Co dostaniemy?

— Kartoflankę z koń-serwami pierwszej klasy — odparł Radek poważnie.

Ze śmiechem wbiegli po schodach do domu. Obiad minął szybko. Zmęczeni uczestnicy wyprawy wyciągnęli się na posłaniach. Adam z Radkiem wyszli przed dom.

— Co za lichy? — powiedział Adam, uważnie patrząc w niebo. — Patrz, Radek, ten ciemny wał chmur pędzi na nas z zachodu, a wiatr wieje z południowego wschodu. Tylko spójrz na rękaw!

— Prawda. Może tak bywa przed burzą?

— Halo, bractwo — zawołał Adam — burza idzie! Prędszej w drogę. Musimy wrócić, zanim deszcz nas zleje. Małgorzata, nie zdejmuj wiatrówki!

— Gorąco, Adasiu!

— Od jutra będziesz robiła, co zechcesz. Dziś ja dowodzę grupą i musisz mnie słuchać. Radek, zabierz pelerynę!

Spojrzała rozzalona. Ale Adam odwrócił się od niej.

— Idziemy, prędszej! — zawołał i ruszył naprzód, a za nim kot w wesołych podskokach. Wszyscy przyspieszyli kroku.

Krzyś został sam. Zatoczył duże koło na ścieżce, podzielił je na dwanaście części i wetknął w środek ostro zakończony patyk. Z uwagą spojrzał na błękitny jego cień.

— Piąta godzina — odczytał Krzyś rad ze swego słonecznego zegara. Cień zamazał się i znikł. Chłopiec spojrzał w górę. Pierzaste chmury, zarzucone jak sieć na niebo, zagęściły się i okryły całą kopułę białą powłoką.

„Znów pech — pomyślał Krzyś — mam dwa zegary, jeden w świetlicy, drugi na ścieżce, i nie będę wiedział, która godzina”. Już miał się zabrać do roboty, pozostawionej mu przez Radka, kiedy nad jego głową odezwał się melodyjny ptasi głos: ci-ci-bi, ci-ci-bi.

— Co ci dam, co ci dam — powtórzył Krzyś zadzierając głowę. Na ciemnej gałęzi jabłoni siedziała sikorka jak skrawek stężonego błękitu. Przekrzywiła łepkę i nie zrażona wcale przedrzeźnianiem, odezwała się przeciągłym dzwonieniem.

A wiiiiiiiiisz — zawołał Krzyś — a widziiiiisz — i zagwizdał naśladowując do złudzenia jej głos. Zapomniał o całym świecie i nawoływali się oboje: chłopiec i ptak, a czyste ich głosy dzwoniły na szczycie.

Nagle coś zaszeleściło wśród drzew. Ptak przeciął powietrze błękitną kreską, a Krzyś odwrócił się szybko, chwytając jedną ręką za gwizdek, a drugą za rewolwer.

Przy hangarze stał chłopak w szarej kurtce, w butach z cholewami i patrzył na Krzysia spod płowej, spadającej na czoło czupryny.

„Niemiec — przemknęło przez głowę Krzysia — przyszedł hangar podpalić, a ja tu ładnie wartuję!”

W zachowaniu chłopca nie było jednak wrogości. Patrzył nieśmiało, jakby oczekując na coś.

Krzyś przyjrzał się jeszcze raz szarej kurtce nieznanego i jego butom. „Może to Jasiek — przyszło mu do głowy — wrócił i dziwi się, że ktoś obcy pilnuje szybowiska?”

— Czy ty Jasiek? — zapytał.

— Jasiek — odpowiedział tamten po namyśle. — A bo co?

— Gdzie ty przepadłeś, gdzie ty się podziewasz! A my na ciebie czekamy. Możesz ty głodny, kartoflanka dla ciebie stoi w piecyku.

Jasiek patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Dla mnie obiad zostawiliście? — spytał jakby nie dowierzając własnym uszom. — A po co?

— Jak to: po co — roześmiał się Krzyś — pewnie po to, żebyś się najadł.

Jasiek wciąż stał i patrzył. Czekano na niego. Czekano bez gniewu. Z niepokojem. A

on...

— Ty sam? — spytał Krzysia.

— Sam. Stefan z Józkim w mieście, a druga grupa poszła szybowców szukać.

— Czego?

— Szybowców, mówię przecież. Obeszli całą górę, a teraz są tam — i pokazał ręką na las spływający zieloną lawiną z zachodnio-północnego stoku.

Twarz Jaśka pobladła.

— Gdzie?! — krzyknął. — Tam, do tamtego lasu poszli? Bujasz!

— Głupiś — zaczerwienił się z gniewu Krzys — jak nie wierzysz, to sprawdź. Niedługo pewnie wróca, bo się śpieszą. Burza idzie, wiesz.

Jasiek stał chwilę jak ogłuszony.

— O Jezu! — zawołał nagle i zanim Krzys zdołał go zatrzymać, porwał się z miejsca. Mignęła pomiędzy świerkami jego szara kurtka, zatrzeszczały gałęzie.

Wszystko ucichło, nawet wiatr. Tylko rozkołysane drzewa poruszały się jeszcze z lekka. Złowróźbna cisza zaległa szczyt.

Z zachodu pędził szybko po niebie gruby zwał chmur, wypiętrzonych ku górze groźną bielą. Coś błyskało, kłębiło się w szarym jego wnętrzu. Ukośne smugi deszczu zasnuły horyzont. Na przedzie wiatr gnał szybko drobne, jaśniejsze chmurki, zwisające ku ziemi jak podarta wichrem pajęczyna. Niepokój Krzysia wzrósł. Co się stało? Czemu z takim pośpiechem odbiegł Jaś? Może coś grozi Adamowi i jego gromadce?

Gdzieś w dole, na niewidocznej za lasem drodze, wzbil się tuman kurzu. I nagle uderzył wiatr. Drzewa zachwiały się. Równocześnie rozległ się ogłuszający huk.

Z lasu, dokąd poszedł Adam i dokąd pobiegł Jaś, trysnął ku górze wielki słup dymu.

Wybuch!

Czy ktoś rzucił granatem? Czy wybuchła mina? Co się stało z Adamem, z Małgosią, z nimi wszystkimi? Krzys zagwizdał na alarm. Nikt nie odpowiedział. Wiatr przycichł znów. Chmury pędziły z zachodu, kłębiąc się w potwornych zwojach, prześwielanych czerwienią błyskawic. Groźne pomruki grzmotów stawały się coraz głośniejsze.

„Jak zawiadomić Stefana?” — biedził się Krzys. Jego wzrok błędząc dokoła trafił na stertę chrustu przy hangarze.

Rzucił się do składziku, wygarnął suche wióry, szybko ułożył z nich przewiewny stos, który zapalił się od razu. Podrzucił więcej trzasek. Płomień strzelił wysoko i jakby tańcząc wspinał się ku niebu. Jeszcze trzasek. Jeszcze. Drobne, jasne kawałki drzewa, chwytane żarłocznie przez płomień, zwijały się w ogniste zwoje. Snop iskier wzbil się wysoko ponad nimi.

Krzys spojrział na las. Dym już rozwiął się, rozpełzł pomiędzy wierzchołkami drzew, które pochylały niespokojnie kędzierzawe głowy, jakby dziwiąc się czemuś, na co patrzeć musiały. Szara płachta deszczu wisiła nad lasem.

Szła ulewa.

Krzys nasłuchiwał. Wydało mu się, że pomiędzy głuchymi pomrukami burzy słyszy znajomy warkot samochodu. Podrzucił więcej trzasek. Ale wraz z trzecim uderzeniem wichru lunął deszcz i z sykiem zgasało rozpalone ognisko.

Gdzieś blisko długi, oślepiający zygzak błyskawicy połączył niebo i ziemię. Niebo zostało rozdarte z ogłuszającym łoskotem grzmotu, który zdawał się toczyć po ziemi, odpowiadającej mu długim echem.

Krzys stał nieporuszenie. Deszcz bił w niego, porywisty wiatr szarpał mokre ubranie...

Burza rozszalała się nad szczytem.

*

Auto „omturków” zjechało z góry, minęło las i wypadło na pola przed wsią. Z obu stron

drogi rosły drzewa nieregularnymi rzędami, drzewa otaczały też rozrzucone na polach chałupy. Jadącym wydawało się, że i drzewa, i krzewy chodzą w kółeczko, tańcząc w takt niedo-słyszalnej melodii. Bliższe — szybko, dalsze — coraz wolniej, aż zatrzymywały się na grani-cy nieba i ziemi w nieruchomą linię horyzontu.

Coraz gęściej wyrastały domy. Zbliżała się wieś.

— Bocian — zauważył Józek — patrz, Tomek, tam gdzie biała kapliczka, pomiędzy drzewami. Widzisz? Widocznie tam jest jakaś mokra łączka i bociek szuka żab.

— Jeśli po raz pierwszy widzisz bociana — oznajmił Olek takim tonem, jakby się spo-dziewał pochwały za dowcip — nie zmienisz domu. Zmiana domu — to bocian w locie. Tak mówią stare wróżby.

— Widzę bociany codziennie na sąsiednim domu — odpowiedział Józek — a zresztą..

„Jak można zmienić to, czego nie ma — pomyślał z goryczą — może nie mam już domu, do którego mógłbym powrócić”. Niezręczne słowa Olka przypomniały mu jego dom. Zapracowany ojciec. Zakłopotana matka, zajęta gospodarstwem, oszczędzająca każdy grosz. Nie narzekała jednak, że Józek zamiast zdobywać pieniądze czas ma zajęty „sprawą” i nauką. Kiedyś biadoliła, że latając na szybowcach naraża życie. Podczas wojny nie mówiła nic. Uważnie śledziła tylko, czy nie pozostawia przypadkiem jakiegoś świstka, karteczki z adre-sem. Sprawdzała troskliwie, czy naprawdę niewidoczna jest skrytka z bronią. Dzielne, kocha-ne matczyisko... Widział, z jaką ulgą witała codziennie jego powrót, jak chodziła od okna do okna wieczorami, czekając, kiedy zjawi się Wicek, z rękoma i kieszeniami umazanymi kredą lub w ubraniu pochłapanym czarną farbą. Nie wyrzucała jednak Wickowi tego, że pracuje w „Małym Sabotażu”.

A jego siostra Jadzia dziś jest pewnie tak duża, jak Małgosia. Wtedy była ponad swój wiek dojrzała, chociaż równocześnie tak bardzo dziecinna. Nieładna jest jego Jadwiżka, ale jakże miła.

Wszyscy w domu ją kochali, ale — za mało okazywali swoją miłość. Nie żądała nicze-go dla siebie.

Kiedyś przyszła Cyganka. Wzięła dziecinną rękę, popatrzyła w oczy i pewnie w tych oczach wyczytała więcej niż na wąskiej ręce, bo powiedziała śpiewnie:

— Oj, umiesz ty dużo zrobić, ale nie dla siebie, nie dla siebie, dziecino... — I więcej nie chciała wróżyć, odeszła szybko, kołyszając kwiecistą, szeroką spódnicą.

Kiedyż odnajdzie swoją najmilszą siostrzyczkę, o której wciąż zapominał w nawale prac i zdarzeń? Teraz zajmie się nią. Znajdzie, musi znaleźć czas na wszystko: na miłość i na przyjaźń, i dla rodziny. Zaraz, natychmiast pojechałby do nich tym autem, które pędzi po białej szosie, tylko trzeba by skręcić w rozwidlenie drogi, które prowadzi do stacji, tam gdzie jak wąż wiją się teraz posuwające się po drodze wojska.

Ale Czesław minął zakręt i wjechał do wsi. Białe domy, kryte czerwoną dachówką, sta-ły zwrócone do szosy szczytową ścianą, na której widniał krzyż lub figura świętego. Nieomal wszystkie domy łączyły się w jedno z gospodarskimi zabudowaniami tworząc prostokąt zakończony małym, mieszkalnym domem, budowanym dla starych rodziców. Ten prostokąt opasywał podwórze, w środku którego królowała gnojówka. Po drugiej stronie zza opłotków wyglądały owocowe drzewa.

Tomek patrzył z ciekawością na domki i pola widne jeszcze poza domami. Tylko niektóre pasy zieleniły się szczytką oziminy. Na rozległych przestrzeniach, jakie minęli, nie krzatali się ludzie. Wojna przetaczała się jeszcze przez te drogi i pola. Głucho dudniły przejeżdżające armaty. Z czerwonymi gwiazdami na czapkach przejeżdżali autami żołnierze radzieccy. Z boku płynęła piechota niepowstrzymaną falą. Żołnierze szli równo, lekko koły-sząc się, a przeciągłe, melodyjne pieśni niosły się w takt ich kroków. Czasem „zapiewajły” podejmowały wysokim tonem nową zwrotkę, podchwytywał ją potężny chór. Tomek odróż-niał tylko słowa: „krasnyj mołodiec”. Nie znane to były dla niego pieśni, nie znany rytm.

„Szkoda, że Krzysia nie ma — pomyślał znów — ten zaraz by każdą piosenkę zapamiętał”. I Tomek odwrócił się do Stefana, aby mu o tym powiedzieć. Auto miało właśnie niewielki, czerwony domek, otoczony niebieskimi sztachetami, inny niż wszystkie sąsiednie domy. Furtka otworzyła się i na ulicę wyjrzała jasna, konopiasta czupryna.

— Jasiak! — krzyknął Tomek zrywając się z siedzenia. Trzasnęła zamykana furtka. Jasna czupryna znikła.

— Czego krzyczysz? — powiedział Stefan.

— Tam Jasiak, powiedz, żeby Czesław stanął.

— Cicho siedź, skąd wiesz, że to Jasiak.

— Takiej wiechy jak on nie ma nikt inny na świecie — upierał się Tomek i odwracał się wciąż do tyłu, chociaż domek znikł już dawno na zakręcie. Minęli kościół, otoczony cmentarzem, i znów dokoła nich migały białe domki za drewnianymi sztachetkami.

Stefan, który rozmawiał z Lechem, umilkł nagle. Wszystkie wątpliwości co do Jaśka wróciły ze zdwojoną siłą. Jeszcze się bronił, jeszcze nie chciał go uskarżać. Ale widział przecież chłopca, jego przerażone, znów nieufne, spod czoła patrzące oczy i szybki ruch, jakim zamykał furtkę, jakby odcinając się od nich nieodwołalnie. Stefan nie mógł domyślić się, dokąd odchodzi Jasiak, ale wyraz twarzy Jaśka świadczył o tym, że nie był to uczciwy świat.

— Stefan — zawołał Czesław odwracając głowę i hamując lekko — czy mam stanąć przy milicji? Miałeś zameldować o porwaniu Jaśka.

— Już nie trzeba — powiedział Stefan.

— W takim razie wyrzucimy was przy gminie, i sami ruszymy dalej do miasteczka. Ale ty, Olek?

— Jadę z wami — otrzepując rękaw kurtki odrzekł Olek.

— Co zrobimy z Tomkiem? Tomek, czy zaczekasz na wsi, czy pojedziesz do miasteczka?

Tomek był zamyślony i nieswój. Myśl o Jaśku nie dawała mu spokoju.

— Pojedzie z nami — zdecydował Lech — my niedługo wrócimy.

Auto zatrzymało się przed dość dużym, białym domem. Nad drzwiami wisiała drewniana tablica z napisem zrobionym ręcznie czarną farbą: Gmina wsi Maczki.

Przed domem zgromadził się zwarty tłum ludzi. Józek i Stefan stanęli w kolejce, której koniec ginął wśród płaczących dzieci i ogromnych tobołów tarasujących drogę.

Po kilku godzinach zgrzani i zmęczeni wtoczyli się do dusznej sionki, a stamtąd, ściskani ze wszystkich stron, zostali wepchnięci do pokoju, gdzie wysoko na ścianie wisiał piastowski orzeł.

— Jak tam ręka, Józek, nie urwali ci jeszcze?

— Jakoś nie, ale patrz, dziś nie wójt przyjmuje, tylko jakiś urzędnik ministerialny...

Woźny hałaśliwie ustawiał ludzi rzędami wśród narzekań i wymysłów. Spoza głów ludzkich wyłoniła się postać siedząca za przepierzeniem. Był to zasuszony starszy pan w okularach, podobny do kościanego dziadka.

— Kto dziś przyjmuje interesantów? — spytał Stefan woźnego.

— Kto? Wiadomo, wójt — odpowiedział niegrzecznie i zabrał się do ustawiania ludzi. W tłumie wybuchły kłótnie, nikt nie chciał się cofać. Wreszcie utworzył się mniej więcej regularny szereg i kłótnie ustąpiły miejsca półgłósnemu gwarowi. Stefan odróżniał już sąsiadów. Przed nimi stała potężna kobieta w szerokiej, brązowej spódnicy, obszytej tasiemką Kaftan tegoż koloru miała zapięty pod szyją. Pomimo gorąca nie zdjęła serdaka lamowanego barankiem. Jaskrawa, krasna chustka zawiązana pod brodą otaczała jej pasową z gorącą twarz. W rękę piastowała pieczołowicie koszyk, z którego wystawał kolorowy grzebień kury.

Dalej przykucnęła na ziemi blada kobiecina z trojgiem dzieci. Jedno trzymała przy piersi, mała dziewczuszka czepiała się ręki matczynej, a starszy nieco chłopczyk sapiąc i pociągając nosem przesuwiał za nimi rzeczy, zawinięte w brudne prześcieradło. Wśród szeregu

kobiet wyprostowany i pewien siebie stał jakiś chłop z granatową maciejówką w ręce. Jego szerokie spodnie wisiały grubą fałdą nad cholewami butów. Zapięta pod szyją marynarka miała wojskowy krój.

Większość ludzi stanowili zapewne powracający z Niemiec. Pomiędzy nimi kręciły się podejrzane typy, które tworzyły klan porozumiewający się bez słów lub cichym szeptem. W kłótniach ci ludzie brali udział zbiorowo, byli ruchliwi i wciąż myszkowali po pokoju.

— Zauważyłeś Jaśka? — spytał Stefan.

— Tak. Za wcześnie mu zaufaliśmy — odpowiedział Józek.

Ze wszystkich stron dobiegały teraz strzępki rozmów. Opowiadano sobie bezładnie wspomnienia.

— Widno było — opowiadała sąsiadkom blada kobiecina o jakimś nalocie — słońce świeciło, a tu się ociemniło. Huk na niebie. Iste, myślę, zginiemy... Maryśka — zwróciła się do dziewczuszki, która tuliła się do niej — puść mnie, bo mi ręka uleci.

— A co dalej będzie z nami? — biadała staruszka w żałobie.

— A dają nam tu ziemię, a ja godom, w domu weselej, pójdę, godom, ku domowi, do Skoczowa...

— Oj, w domu lepiej — śpiewnie wtrąciła staruszka. — U nas w Augustowie woda śliczna, przezroczysta. Kamuszek widać na dnie. Myślisz: płytka, a tam głębina...

— A pan co zrobi? — spytał Józek chłopca w maciejówce.

— Jo? Tu zostanę. Nie mum nic w Miecysławce * do roboty. Ludzi pełna chałupa. Ziemi mało. Ni ma cem robić. W oborze dwie krowiny, ani kunia, ani prosiuntecka. Głodem trza przymiroć, a tu tylo ziemi odłogiem leży, az sie serce ścisko. Możę złapie kawał obsiunego poła, może kunia dostane, brata młodszego Kaźmirza sprowadzę, krowę jednu mum, bede na ni trochy orał. Tylko nie chce tu przy gościńcu siedzieć, a dali, za wsiu, chyba ludzi ni ma.

— Niechże pan zamieszka obok nas. Są tam dwa domki. Jeden zamieszkany, a drugi pusty. I ozimina nawet nielicha w pobliżu.

— Na dachu tego domu bociany gniazdo sobie uwiły — dodał Józek.

Chłop zamyślił się głęboko.

— Ano, pójdę, zoboce tu chałupę, może my sie udo — powiedział wreszcie.

Stefan zauważył, że jakiś drab o czerwonej, rozpijaczonej twarzy przysłuchuje się z boku ich rozmowie, ale tłum posunął się naprzód i chłop zaczął przetaczać brudny toból. Stefan pochylił się, aby pomóc, i stracił draba z oczu. Kobieta w krasnej chustce już dłuższą chwilę patrzyła uważnie na chłopca, przechyliła się przez Józkowe ramię i spytała:

— Cy wy Kłak z Miecysławki?

— Karasiowo! — krzyknął uradowany. — Żyjecie!

— Ano żyje, a mój Jantek bidny juz nie. Ni mogę, ni mogę se tego wydarować. — Zaszlochała krótko, ale zaraz otarła oczy chustką i spytała:

— Z robót wracacie?

— Z robót. Bóg mnie nie wypuścił z opieki. Ginka Stachowego, Mietka Copkowego, Józka Sochowego do obozu wzięny. Cud, ze mnie ostawiły.

Tłum poruszył się znów. Karasiowa znalazła się przed barierką, poza którą siedział wójt gminy Maczki. Grzecznie, z godnością zapytała go, jakie gospodarstwo mogłaby zaraz już objąć, bo nie ma gdzie mieszkać i nie ma dokąd wracać.

Eustachy Pomorek, wójt gminy Maczki, przyjechał na Ziemię Zachodnie z Kocmyrzowa, ufny, że walnie przyczyni się do wprowadzenia ładu na nowo przyłączonych terenach. O historii Śląska Pomorek wiedział niewiele, nie sądził też, aby te wiadomości mogły mu się na cokolwiek przydać. Natomiast, jako rzecz najcenniejszą, zabrał ze sobą rocznik przedwojen-

* Wieś Miecysławka znajduje się w woj. lubelskim.

nego Dziennika Ustaw i tom Kodeksu Karnego, ofiarowane mu na pamiątkę przez znanego w Kocmyrzowie adwokata, u którego pracował przed wojną jako pisarczyk czy też sekretarz.

Na miejscu Pomorek jeszcze raz dokładnie przewertował ustawy i rozpoczął urzędowanie pewny, że jest dostatecznie uzbrojony do walki. Niestety, sprawy, z którymi się zgłaszali do niego ludzie, nie znajdowały odpowiednika w przedwojennych ustawach. Pomorek czuł się jak żeglarz, który u brzegu osiada na zdradliwej mieliźnie. Po dłuższym namyśle postanowił przyjmować interesantów osobiście, a potem zreferować sprawy pełnomocnikowi rządu, który prawdopodobnie miał już jakieś instrukcje. Trzeci dzień mijał, odkąd wójt gminy Maczki z pełnym poczuciem wartości spełnianej pracy królował za przepierzeniami zadając wszystkim to samo pytanie: „O co chodzi?” — i odpowiadając wszystkim to samo: „Proszę zaczekać tydzień, nie mam odpowiednich instrukcji...”

Tę samą odpowiedź posłyszała i Karasiowa. Energiczna kobieta nie chciała jednak przyjąć tego do wiadomości.

— A gdzie mam czekać na te instrukcje — zapytała gniewnie — pod gołym niebem bede spała?

— Nie wiem — odparł spokojnie. — PUR * jeszcze nie urzęduje. Odejdźcie, matko, następny.

Kobieta odejść nie chciała. Zaczęła przekonywać, tłumaczyć, głośno krzycząc i wymachując rękami. Kura zaniepokoiła się także, wysunęła szyję z koszyka i rozgdakała się na dobre.

Stefanowi żal było kobiety, ale mimo woli się uśmiechnął. Czerwona chustka sterczała nad jej czołem jak koralowy grzebień. Wyglądała też jak rozgniewana kokoszka.

— Nie ma gdzie mieszkać — szepnął Józek — a u nas tyle wolnego miejsca.

Stefan natychmiast pociągnął kobietę za rękaw.

— Proszę czekać przed gminą — powiedział. — Damy nocleg. U nas są puste pokoje. Ale sprzedam, że to kilka kilometrów od wsi.

Kobiet przyjrzała się im podejrzliwie. Widocznie jednak obaj zrobili dodatnie wrażenie, bo powiedziała z godnością:

— Musi pójść z wami. Odpocne, a późni musi do domu pójść, do Karcmisk **. Co sie ich tu bede prosiła.

— Jutro od nas wyrusza auto do Krakowa, podwiezie panią do stacji — obiecał Stefan.

Wójt zirytował się.

— Załatwia pan czy nie? — zaskrzeczał, a okulary zsunęły mu się na czubek nosa. — Co to za rozmówki w państwowym urzędzie!

— Bardzo przepraszam — Stefan wsunął się na opróżnione miejsce.

— O co chodzi? — pytał wójt już łaskawiej.

— Chcielibyśmy uzyskać przydział żywności dla siedmiu — ośmiu osób.

— Siedmiu czy ośmiu?

— Na razie jest nas ośmiu, ale jutro jeden z nas ma przyjechać.

— Więc dla siedmiu. A cóż to jest za grupa? Jeśli repatrianci — należy się zgłosić za tydzień.

— Nie jesteśmy repatriantami. Zabezpieczamy tu mienie państwowe.

— Z czyjego ramienia?

— Nie mam jeszcze upoważnienia od władz lotniczych. Kto mógłby nas upoważnić do tego tymczasowo?

— Jako osoba nieoficjalna, nie ma pan prawa niczego zabezpieczać — powiedział urzędnik. Zdawało się, że te słowa sprawiły mu szczególną przyjemność. Poprawił okulary na nosie i dodał: — Skończyłem. Następny.

* PUR — Polski Urząd Repatriacyjny.

** Karczmiska — wieś w woj. lubelskim.

— Musimy je zabezpieczyć — upierał się Stefan — proszę zrozumieć: część szybowców już rozkradziona, a resztę ktoś zabierze, jeśli je pozostawimy własnemu losowi.

— Należy więc je przewieźć i złożyć przed gmachem nr 6 przy ulicy Zwycięstwa — recytował wójt — skąd będą w kolejności spraw przeniesione do magazynów mienia poniemieckiego.

— Szybowce do magazynu! — krzyknął Józek ze zgrozą.

— Do magazynu — powtórzył wójt stanowczo — skąd będą przekazane w swoim czasie odpowiedniemu urzędowi...

— W drobnych kawałkach! — zawołał Józek rozgniewany na dobre. — Chodź, Stefan, czego chcesz od tej mumii egipskiej, nafaszerowanej nieodpowiednimi przepisami. Przecież on ani słowa nie rozumie z tego, co mówi.

Przeciskali się obaj ku wyjściu. Józek nie przestawał mówić:

— Jak można tak głupio stosować prawa. I ten głos! Ten człowiek nie ma żadnych wątpliwości! Ludzi, którzy przyjeżdżają tutaj i nie mają wątpliwości — wyrzucałbym w dwadzieścia cztery godziny!

Stefan milcząc szedł za rozgniewanym Józkiem. Rozglądał się dookoła szukając auta i kobieciny z koszykiem. Po bruku ulicy turkotały jednostajnie wozy wojskowe. Zadudniła przejeżdżająca armata.

Powietrze było parne, duszne. Nie mieli czym oddychać w tumanach kurzu wzniesionych przejeżdżającymi wozami. Auto stało na zakręcie. Stefan podniósł rękę, żeby pozdrowić Czesława, kiedy tuż obok niego jakiś głos powiedział słodko:

— Przepraszam, o wiele się nie myślę, to szanowne państwo potrzebują żywności.

— Józek, stój — zatrzymał Stefan szybko idącego kolegę — żywność proponują. A pan skąd wie, że jej potrzebujemy? — zwrócił się do nieznanego sprzedawcy. Był to wysoki młodzian o długich włosach słomkowego koloru, zaczesanych do góry. Tak wyglądają podmiejscy eleganci, którzy czepiając się pociągu zaglądają do okien w poszukiwaniu roztargnionych pasażerów i solidnych walizek. Oczy młodzieńca spoglądały na Stefana przymilnie.

— Uszy mam — odparł chytrze — pański koleżka w głos mówił. Dobrze mówił. W dzisiejszych czasach, a tu w szczególności, prawa są nieważne. Tu kominować trzeba. Jak nie dają, trzeba samemu brać — i nie domyślając się wcale niezyczliwych myśli Stefana odwrócił się i zawołał: — Pst! Buldog, zawołaj „Szefa”.

Mały człowieczek o krótkich, krzywych nogach, bardziej do jamnika niż do buldoga podobny, odwrócił się szybko. Porozumieli się bez słów i za chwilę przed Stefanem stanął jegomość o zapijaczonym obliczu, ten sam, który słuchał z ciekawością jego rozmowy z chłopem.

— Czego? — warknął Szef.

— Interesik, Szefie.

Grubas zmierzył oczyma Stefana.

— Jaki?

— Kupić chcą żywności. Przydziału nie dostali od tego nowego wójta — wyjaśniał skwapliwie podwładny. — Ale my jem tu zaraz wszystko załatwimy, no nie? Mamy tu swoich ludzi, nie? Szefie, kiwnąć na Buldoga, żeby Podlaskiego wołał?

— Masz czas kiwać — warknął na niego groźnie Szef i blondyn umilkł, jakby go zamurowało. — Czego pan chce? — pytał tymczasem Szef. — Kaszę mamy i tłuszcze.

— Kradzione? — spytał Stefan ostro.

— Kradzione nie kradzione, nie wasza rzecz. Kupujesz czy tylko gadkę skuteczniejszą?

— Nie kupuję. Chodź, Józek — pociągnął za rękę zamyślnego kolegę.

Ruszyli, odprowadzani złym spojrzeniem Szefa, a za nimi kolebiąc się podążała Karasiowa z koszykiem w ręce.

Środkiem ulicy, wybrukowanej kocimi łbami, szedł ku nim Olek.

— I cóż — wołał z daleka — gdzież są zdobycze żywnościowe?! Idę, aby wam pomóc w dźwiganiu.

— Dziękujemy za dobre chęci, ale nie zdobyliśmy nic.

— Jak to? Dlaczego? Taki dzielny komendant i nic nie zdobył? Józek, a tyżeś się co tak źle spisał?

— Prawnie nic nam się nie należy — wyjaśniał Stefan — a „na lewo”... kupować nie chcieliśmy. Żywność była kradziona z gminy.

— Donkiszoteria! — powiedział Olek. — Frajery ciężkie — dodał ciszej, tak że dosłyszał tylko Stefan idący obok niego.

Józek wyprzedził ich i szybko podszedł do auta.

— Lechu — zawołał — wyobraź sobie, kazali szybowce dać do magazynu! Szybowce razem z szafami i łózkami. I nie pozwalają nam zabezpieczać szybowiska.

— To jakieś głupstwo — odpowiedział Lech spokojnie — nie martw się, Józek. Przypadkowo spotkałem w miasteczku pełnomocnika, rządu. To morowy chłop. Opowiedziałem mu o was. Kazał się zgłosić i obiecał, że wyda wam tymczasowe pozwolenie na zabezpieczenie szybowiska. Jedźmy zaraz do niego.

— Nie — odpowiedział Józek spoglądając na niebo — nie zdążymy przed burzą. Niebo jest już zupełnie sine na zachodzie i wał burzowy tuż, tuż. Ale pójdziemy za parę dni. Stefan, słyszysz, w miasteczku pełnomocnik rządu jest do rzeczy i obiecuje załatwić nasze sprawy.

— Przynajmniej jedna dobra nowina — powiedział Stefan. — A gdzie Tomek?

— Był tu przed chwilą. Znalazł piastowskiego orła na grobowcu w podziemiu kościelnym. Zapewne ruszył na dalsze poszukiwania.

— Obiecał nie chodzić daleko — dorzucił Czesław — zaraz wróci!

Tomek nie wracał. Józek z coraz większym niepokojem spoglądał na burzową chmurę, niepokoił się wraz z nim wszyscy prócz Olka i Karasiowej, którą Stefan zaprosił grzecznie, żeby zajęła miejsce w samochodzie.

— Proszę, niechże pani usiądzie.

— Karasiowo jestem, po chłopie Jantkowo — odparła na to gramoląc się na platformę auta.

Czas oczekiwania dłużył się. Lech powtarzał wszystkim rozmowę z pełnomocnikiem, a Olek bawił Czesława opowiadaniem o swoich przygodach wojennych.

— Tomek! — krzyknął Czesław w pewnej chwili.

Rzeczywiście po jezdni biegł Tomek wymachując rękoma.

— Stefan! — wołał z daleka. — Przy kościele jest cmentarz i na płytach grobowców polskie napisy, ale tylko do 1935 roku, a potem niemieckie *. Dlaczego?

— Siadaj — przerwał mu Józek — prędko. Czesław, ruszaj!

— Ty nie bądź taka przepłoszona kuropatwa, Józek — uspokajał go Olek pobłaźliwie — po co siejesz panikę! Nawet jeśli deszcz spadnie, to przecież nie jesteśmy z cukru, nie stopimy się.

— Prędko, Czesław — powtórzył Józek nie zwracając uwagi na złośliwe docinki. — Prędko!

Jeden wiraż, drugi. Auto wyskoczyło na pola. Z zachodu zaciągniętego ołowianą chmurą toczył się po niebie groźny wał, zakończony białą grzywą jak morską falą podczas sztormu. Płachta deszczu zagarniała coraz większe przestrzenie, zbliżała się do widnej z daleka Góry Czterech Wiatrów. Pomruki burzy potężniały, zdawało się, że las, do którego się zbliżali, pełen był rozszalałych, dzikich zwierząt.

Nagle z wierzchołka góry strzelił płomień, jak żywy drgał i kołysał się na wietrze pomarańczową barwą.

* W 1935 r. Hitler zabronił Ślązakom mówić i pisać po polsku.

— Ogień na szczycie! — zawołał Tomek.

— Gazu! — równocześnie krzyknął Józek.

Auto pomknęło jak szalone. Brało wiraże bez wysiłku, pędziło pod górę. Drzewa kręciły się dokoła jak w oberku tańczonym bez opamiętania. Motor przerywał coraz częściej, ale Czesław nie zwracał na to uwagi, pochylony nad kierownicą, dodawał gazu. Gdzieś całkiem blisko uderzył piorun, niebo przecięła, jak rana, różowa błyskawica. Już ostatni skręt. Naraz samochód zatrzymał się. Wszyscy runęli ku przodowi po czym siłą bezwładu wraz z maszyną obsunęli się w tył. Nie zważając na to, jeden po drugim wyskakiwali na szosę.

Stefan biegł pierwszy. Ulewa siekła go po twarzy, porywisty wiatr przewracał z nóg.

— Krzych!

Pośrodku szczytu stała mała, skurczona figurka, ubranie zwisało na niej jak mokry worek, włosy przylepiły się do bladej twarzy.

— Krzysiu, co się stało?

— Wybuch! Tam! — Krzyś pokazał ręką. — W lesie. Gwizdałem i nikt nie odpowiedział.

Stefan już nie słuchał.

— Tomek, Krzyś i pani — do domu! — nakazał. — Krzysiu, wyglądaj oknem, patrz, co się dzieje na szczycie.

Już odwrócił się od nich, ale jednak nie biegł do lasu. Zagwizdał na alarm. Ostre, głośne dźwięki wbiły się w szum deszczu i wichru. W odpowiedzi na nie z lasu jak echo powrócił podobny, przerywany, niespokojny, wołający o pomoc gwizd.

Alarm!

— Za mną! — krzyknął Stefan i rzucił się naprzód. Gałęzie drzew biły go po twarzy, świerki pochylały się pod gwałtownymi uderzeniami szkwału, trzeszczały wyłamywane wiatrem gałęzie. Światło błyskawic oślepiało co chwila, potężne przelewanie się grzmotu wypełniało powietrze.

Gdzieś całkiem blisko zabrzmiały przerywane dźwięki. Spoza drzew wśród ulewy wysunęła się procesja. Szare postacie szły powoli. Coś niosły. Idzie Maciek, przy nim drugi, wysoki, to Witek. Z tyłu Adam i Radek. Cóż to? Skąd tu Jaś? Dlaczego jest z nimi? Ale ta myśl zepchnięta została natychmiast przez wielki niepokój, który wybuchł w pytaniu:

— Gdzie jest Małgosia?

Jeszcze nie wypowiedział tych słów, a już zrozumiał, że kształt nieruchomy, niesiony ostrożnie na noszach, to Małgorzata.

— Małgosia? — spytał podchodząc.

— Żyje — posłyszał głosy — żyje, ale nieprzytomna.

Stefan stanął obok Radka i dźwignął ciężar wraz z nimi.

— Radek, co się stało?

— Trafiliśmy na pole minowe. Małgosię zasypało, a kot Puchatek zginął. Zginęlibyśmy pewnie wszyscy, gdyby nie Jasiek. On nas zatrzymał i on z Adamem wyniósł Małgosię.

Znów uderzył piorun. Niebo odpowiedziało głuchym pomrukiem.

— Jasiek — powiedział Stefan — Jasiek.

Jaś odwrócił się. W jaskrawym świetle błyskawicy Stefan zobaczył jego siwe, prosto patrzące oczy.

— Niemcy zaminowali tam wasze szybowce — powiedział.

ROZDZIAŁ PIĄTY NA CZYM ŚWIAT STOI

Stefan wyszedł na ganek. Poprzez przelewające się górą grzmoty i szum deszczu dosłyszał głos Radka.

— Jeszcze raz — wołał Radek — no, jeszcze raz. Raaazem!

Już od godziny Radek i Czesław majstrowali przy aucie. Popychali je przy pomocy chłopców, rolowali w górę i w dół — wszystko na próżno. Auto milczało jak zakłete.

— Cóż, Radek — spytał Stefan — jeszcze nic?

— Szkoda gadać. Nie ruszy. A co z Małgorzatą?

— Nie możemy jej ocucić. Trzeba zdobyć doktora za wszelką cenę. Jasiiek — przypomniał sobie naraz — gdzie Jasiiek?

Spoza auta wysunął się cicho Jaś. Nie odchodził od Radka snując się za nim jak wierny, pomocny cień. Nie pytano go o nic. W takiej chwili nikt nawet nie myślał o nim.

— Słuchaj, Jasiiek, gdzie jest lekarz w pobliżu?

— Lekarz? Pewnie wojskowy, w miasteczku.

— We wsi jest felczer. Gdzie mieszka?

— Przed kościołem w czerwonym domu. Ale taki on i felczer... — powiedział Jasiiek niechętnie i cofnął się za auto. Stefan wrócił na ganek, gdzie stał Józek, u przy nim Olek ubrany w płaszcz jak do drogi.

— No, Józek, idziemy. A pan z nami?

— To szaleństwo gnać w taką burzę — odparł Olek — zaraz deszcz uspokoi się i pójdziemy.

— Szybownik kategorii „D” powinien wiedzieć, że taka burza może trwać do rana — gniewnie powiedział Józek zbiegając ze schodków.

— Chodź, Stefan!

W zamieszaniu nikt nie dostrzegł bladości Józka. Kiedy auto zatrzymało się nagle, uderzył się boleśnie w chorą rękę. Pociemniało mu w oczach, ale wstał i biegł ze wszystkimi. Potem także nie miał czasu myśleć o sobie. Małgosia leżała nieruchoma, z zamkniętymi oczyma i próżne były starania, żeby ją ocucić. Żyła. Żyła jeszcze, ale uderzenia krwi w tętnicy były nikłe, ledwie wyczuwalne.

Józkowi nawet na myśl nie przyszło powiedzieć, że iść nie może. Ruszył za Stefanem. Szli w mroku, wicherze i deszczu, a drogę oświetlały im błyskawice. Drzewa skrzypiały pod naporem wichury, pochylały się nisko, wymachując kosmatymi gałęziami. Świat odmienił się nagle, ściemniał. Droga była jakaś obca, groźna i tajemnicza. Józek szedł zaciskając zęby: „Rozkręcę się, zaraz się rozkręcę” — powtarzał sobie. Ale na próżno. Ręka bolała coraz bardziej. W głowie czuł zamęt i huk jakby tysiąca metalowych młotów. Ciało oblewał zimny pot, a nogi uginały się miękko w kolanach. „Czy to grzmoty, czy też mi huczy w głowie? — myślał Józek, z wysiłkiem stawiając kroki. — Lada chwila stanę. Co to będzie, jeśli Stefan zauważy?...”

Dochodzili do wsi. Ciemne płatki wirowały przed oczyma Józka. Przystanął i oparł się o drzewo.

— Co tobie? — spytał Stefan.

— Idź po doktora, a ja zostanę... Poszukam felczera... Podobno jest we wsi.

— Jest, mieszka przed kościołem w czerwonym domu, ale jakże ja ciebie zostawię?

— Zwyczajnie. Pójdiesz dalej sam.

— A jeśli felczer nie zgodzi się iść, to co zrobisz?

— Stefan. Szkoda czasu na niepotrzebne gadanie. Idź. I przestań raz brać wszystkich na

swoje sumienie. Idźże, mówię, pędzej, a ja chwilę odpocznę.

Obok nich przemknęło kilka aut zalewając ich wodą. Milcząc przeszły jakieś oddziały. Wiatr uciął nieco i głośno chlupocąc odbijały się po szosie ich kroki: le-wa, le-wa, le-wa.

Stefan znikł w półmroku. Józek stał chwilę oparty o drzewo. Głęboko wdychał powietrze. Wreszcie czarne cętki przestały kołować mu przed oczyma, a huk w uszach przycichł. Ruszył uważnie naprzód, przyglądając się domom. Trzeba było przecież znaleźć tego felczera. Nareszcie jeden czerwony dom.

Może to tu?

Pchnął lekko furtkę. Z budy stojącej przy drzwiach domu wyskoczył jak biała kula wielki owczarek i rzucił się na Józka. Trzymany na uwięzi łańcucha — szarpnął się wściekle i szczekał potężnym basem. W oknie uchylona się czarna zasłona, błysnęło światło wewnątrz pokoju. Drzwi wejściowe otworzyły się bezgłośnie.

— Kto tam? — spytał kobiecy głos.

— Czy felczer w domu? Ja w pilnej sprawie.

Ciemna postać kobieca oderwała się od drzwi.

— Leżeć! — ofuknęła psa, który posłusznie cofnął się do budy warcząc jednak groźnie. — Małe ma i tak się biesi — dodała tonem wyjaśnienia. — Chodź pan, nie bój się, nie ugrzyzie przy mnie.

W sieni kobieta zatrzymała się jeszcze.

— A pan skąd? — zapytała.

Józek zapalił latarkę. W jej świetle zobaczył rozczochraną głowę, twarz o małych, zmrużonych przed światłem oczach.

— Z Warszawy — powiedział i zaraz zdał sobie sprawę z tego, że jest raczej z szybowiska na Górze Czterech Wiatrów niż ze spalonej Warszawy. Baba otwierała już drzwi do pokoju.

— Szefie, do ciebie — powiedziała w szparę — z Warszawy. Wchodź pan — zwróciła się do Józka — jak z Warszawy, to można wejść.

W pokoju oświetlonym naftową lampą siedziało kilka osób. Na stole w nieładzie stały kieliszki, butelki z wódką, zakąski. Na ścianie ponad stołem wisiał haft: serduszko otoczone wieńcem kwiatów, w środku kura, kogut i kurczątko. Ten sielski obrazek był zaopatrzony niemieckim napisem: „Eigener Herd — Goldes wert” *.

Nikt z pijących nie zwracał uwagi na Józka. Właśnie jeden z nich coś opowiadał, a wszyscy słuchali z zainteresowaniem.

— Patrę ja — mówił — a tu naprzeciwko jakiś facet idzie w jesionce. Ja do niego — tu opowiadający zrobił groźną minę i wysunął naprzód rękę, jakby w niej trzymał rewolwer. — „Zdejmuj pan ten sak! No pędko, bo «ręcznie» wytłumaczę, jak to się robi”.

Słuchacze roześmieli się z zadowoleniem. Józek patrzył zdumiony na pijackie, zaczerwienione od trunku twarze i rozmyślał, czy nie cofnąć się. Pewnie zaszła jakaś pomyłka. Czyż to mogło być mieszkanie felczera? Jeszcze raz objął wzrokiem cały pokój, który wyglądał jak rupieciarnia. Jedne na drugich piętrzyły się stosy różnych rzeczy: poduszki, puchowe kołdry w atlasowym pokryciu, maszyny do szycia. Obok drzwi Józek zobaczył mały stoliczek. Na talerzyku z saskiej porcelany leżała busola, dalej wariometr przy poduszce haftowanej krzyżkowym ścięciem. Pod stołem zwinięta jak wąż — nowa lina startowa.

— Na pomyślny powrót, Szefie! — wołali pijacy podnosząc do góry kieliszki.

— Zaraz — odwrócił się gruby jegomość i wstał od stołu — tam jakiś interesant czeka. Czego trzeba?

Przed Józkiem stanął człowiek, który rano proponował żywność skradzioną z gminy.

— Czego trzeba? — dopytywał się nie poznając widocznie Józka. — Mam świeży

* Eigener Herd — Goldes wert — własne ognisko domowe ma wartość złota.

towar.

— Czy tu mieszka felczer?

— Jezdem felczerem. A bo co?

— Czy pan ma koraminę albo inny środek nasercowy?

— Koramina? Ty tam, Buldog, zajrzyj do lekarstw, czy jest koramina. Ale to drogie. — Buldog wyszedł na środek pokoju, ale zamiast wykonać rozkaz Szefa, przyglądał się Józkowi świdrującymi oczyma. Jego cienki nos zdawał się węszyć.

— No, co stoisz? — huknął Szef niezadowolony.

— Szefie... to ci „z góry”, co rano nam fatalnie naurągali...

— Trzymać! — wrzasnął Szef.

Józek cofnął się o krok.

— Stać, bo strzelam! — krzyknął. — Ręce do góry! — I włożył szybko rękę do kieszeni. Trafił na pustkę. Rewolwer był u Krzysia. Zdecydowany głos i ruch nie wróżący nic dobrego wywarły wrażenie. Szef zatrzymał się w pół kroku i lekko podniósł ręce do góry. To już wystarczyło Józkowi. Jednym susem znalazł się u drzwi. Drugi sus — i był na ganku, zeskakiwał ze schodów. Pies wyprysnął z budy o sekundę za późno. Szczęknął szarpnięty łańcuch.

Na dworze była ciemna noc. Kilka kroków... i Józek znalazł się w cieniu przydrożnych drzew. Niebo rozbłyskiwało rzadziej, leniwie, błękitnawym światłem.

Ale już z hałasem wytaczali się na ulicę pijani świecąc latarkami.

— Szukać go! — ryczał Szef. — Ja im pokażę, draniom!

Józek nie miał czasu na rozmyślania, co złego zrobili mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów tym ludziom, że obudzili tyle nienawiści. Pod osłoną drzew biegł w stronę miasteczka dobywając reszty sił. Nogi zahaczały o wszystkie nierówności szosy. Nie zauważył wcale, kiedy przed nim wyrósł jakiś mur, i wpadł nań z rozpędu. Przeszkoda ustąpiła i Józek poczuł, że się przewraca, toczy się w dół, przygniatając chorą rękę.

Kiedy ocknął się, dokoła było ciemno. Zimno pełzało mu wzdłuż krzyża, jadowity, podstępny ból kąsał obolałe ramię. Zdrowa ręka Józka trafiła na jakąś kamienną ławeczkę. Podniósł się i usiadł na niej. Nie wiedział, czy błyskawice już nie rozjaśniają nieba, czy też tylko przed jego oczyma rozpościera się purpurowa ciemność.

Czy pijacy poszukują go jeszcze strzelając przed siebie, czy też krew huczy mu w skroniach? Bezwładnie przechylił się na bok, zdrowe ramię objęło drzewo rosnące przy ławeczce. Przysunął się do niego przyciskając twarz do wilgotnej kory.

„Gdzie jestem? — spytał siebie. — Gdzie trafiłem?”

Ciemność była wciąż nieprzenikniona, tylko od czasu do czasu w niebieskawym świetle błyskawic wynurzały się z czerni fantastyczne kształty ogromnych drzew. Dokoła panowała cisza. Józek wstał z trudem, zapalił latarkę i osłaniając ją połą płaszczą, oświetlił kamienną ławkę, na której siedział przed chwilą. Na kamieniu był wryty napis:

TU SPOCZYWA W BOGU
GUSTLIK BUCHALIK
NASZ NAJMŁODSZY SYN
15. I. 1887 R. RODZICE

„Pocziwy, stary cmentarz mnie ocalił — pomyślał Józek. — Zapomniałem, że w środku wsi jest kościół otoczony cmentarzem... Dobrze jeszcze, że z rozpędu trafiłem na furtkę, a nie na mur”.

W skroniach łomotało mu wciąż uparcie. Ale łomot stawał się coraz wyraźniejszy, równomierny. Józek uniósł głowę. Przecież to — auto.

„Radek jedzie. Radek naprawił samochód! — pomyślał z radością. — To nasze auto” — i ślaniając się wyszedł na środek szosy. Turkotanie auta zbliżało się. Józek zapalił latarkę i

dawał znaki poruszając nią to w górę, to w dół. Samochód zwolnił biegu. Przednie światła rozblęły na chwilę.

— Kto tam? — spytał obcy głos.

Józek zbliżył się do samochodu. Była ta karetka sanitarna. Przy kierownicy siedział żołnierz.

— Kto tam? — pytał ze zniecierpliwieniem, wychylając się.

— Były więzień z Oświęcimia. Osłabłem w drodze. Proszę mnie zawieźć do lekarza.

— A czego łąsisz po nocy?

— Idę po doktora dla rannej.

— Siadaj — zdecydował żołnierz — nasz doktor Górski to porządny chłop, on ci pomoże.

Józek z wysiłkiem wdrapał się na miejsce obok szofera i opadł z ulgą na skórzaną poduszkę. Szybka okienka była odsunięta i powiew chłodził mu twarz.

Wjechali w las, minęli jakieś pola. Miasto dość szybko wynurzyło się z ciemności. Szofer skręcił w bok, auto zatrząsło się na kocich łbach. Wjeżdżali w jakąś boczną uliczkę. Jeszcze raz skręcili i jeszcze raz, wreszcie samochód zatrzymał się przed dużym gmachem.

— Nasz szpital — powiedział szofer. — Wyłaź i pytaj o doktora Górskiego. — Józek posłusznie zaczął schodzić z auta i zachwiał się. Kierowca podtrzymał go mocną ręką, wysiadł z wozu i powiedział: — No idź, nic się nie bój.

Tak szli do drzwi. Żołnierz załomotał gwałtownie.

— Kto tam? — zapytano od wewnątrz.

— Kierowca wozu numer 2356. Przywiozłem chorego więźnia z Oświęcimia do doktora Górskiego.

Jak przez mgłę widział Józek, że ktoś bierze go pod rękę i prowadzi schodami. W hallu stoją na podłodze nosze z rannymi. Jakaś blada siostra w białym czepku i białym fartuchu drzemie na krzeselku. Już ją ktoś tarmosi.

— Siostro, gdzie jest doktor Górski?

— Dajcież mu spokój — mówi gniewnie, otwierając oczy — doktor Górski i doktor Górski! Sześć operacji miał z rzędu, a za dwie godziny czekają na niego następne. Musi odpocząć. To też człowiek!

— Siadajcie — powiedział ktoś do Józka biorąc go za chorą rękę. Ramię przeszył straszliwy, ostry ból. Powietrze wypełniło się błękitem, zawirowały szare koła, a w środku nich Józek wciąż widział malutki hall z szeregiem stojących równo noszy. Potem wszystko znikło. Słyszał tylko, jak ktoś powtarza jednostajnie:

— Co boli? Co boli?

Nie bolało go nic. Tylko głowa ciążyła ogromnie, a w uszach narastał szum, jak gdyby morze przybyło nagle z daleka i uderzało o jakiś brzeg. Przed oczyma wisiała ciemność.

— Co boli? — postłyszał wyraźniej i otworzył oczy. Nad nim pochylała się postać w białym kitlu. Nie znał tego człowieka o lwiej czuprynie posrebrzonej siwizną, o nastroszonych, gęstych brwiach nad zmęczonymi, zaczerwienionymi oczyma.

— Siostro, zastryk — powiedział doktor — koramina.

Koramina. Józek przypomniał sobie naraz wszystko: Małgosię leżącą bezwładnie na tapczanie pod Radkową peleryną. Poszarzałą twarz Adasia, który siedział przy niej. I wyprawę po lekarza do miasteczka. I bandę „felczera” ze wsi.

Z wysiłkiem podniósł się na zdrowej ręce i usiłował zejść stwierdzając ze zdumieniem, że leży na jakiejś kozetce.

„Zemdlałem — pomyślał z gniewem — także w porę!”

— Po co pan wstaje? — przytrzymał go lekarz. — Leżeć trzeba. Co panu jest? Co boli?

— Mnie nic, tylko Małgosia... ranna. Nieprzytomna. Trzeba ją ratować. Panie doktorze, ja pana błagam, niech pan idzie ze mną. Ja pana zaprowadzę.

— Miły chłopcze — uśmiechnął się lekarz — przecież ty kroku nie zrobisz.
— Zrobię. Idziemy, panie doktorze, bo może być za późno.
— Co się stało z tą Małgosią?
— Mina wybuchła... Ona jest nieprzytomna, panie doktorze.
— Dobrze, już dobrze. Pojedziemy do niej, będzie prędzej niż na piechotę, prawda?
Tylko niech mi pan raz powie rozsądnie, co się panu stało, że pan zemdlął.
— Mnie nic. Trochę ręka zabolęła. Była złamana, uderzyłem się i dlatego. Ale to głupstwo. Jedziemy.
Józek znów próbował wstać.
— Zaraz, zaraz — powiedział doktor — cóż to za człowiek w gorącej wodzie kapany! Ja panu pomogę, tylko jeszcze chwilę. Siostró!
— Panie doktorze — zaczęła żalonym tonem — pan doktor taki zmęczony i za dwie godziny...
— Apteczka podręczna! — rzucił surowo. — Komplet narzędzi chirurgicznych! Bandaże zapasowe, gaza steril! Ręczniki czyste! Już!
Siostra bez słowa rzuciła się wypełniać rozkazy.
— Jakie oświetlenie jest w domu u chorej? — pytał doktor.
— Lampa naftowa, ale brak nafty...
— Bagiński! — zawołał doktor donośnie i sanitariusz wyrósł jakby spod ziemi. — Karetka, bańka z naftą, ale już!
— Rozkaz!
— Jakże się pan czuje? — doktor pochylił się nad Józkiem i objął go w pól.
— Dobrze! Tylko nogi mam jak ugotowane szparagi. Ale to nieważne. Przecież jedziemy.
Drzwi wejściowe otworzyły się z pośpiechem i wbiegł sanitariusz.
Panie doktorze, karetka stoi przed szpitalem.
— A nafta?
— Jest!
— Dziękuję. A na co czekasz?
— Jeszcze jeden pacjent do pana doktora, stoi na schodach.
Doktor pchnął drzwi i delikatnie wyprowadził Józka na schody.
Przed nimi stanął Stefan.
— To mój kolega, w tej samej sprawie — powiedział szybko Józek.
— Świetnie. W takim razie pan pozostaje, zaraz zawołam sanitariusza, żeby pana odprowadził.
— Zostań, Józek — powiedział Stefan widząc ruch ręki Józka, którym ten pragnął zatrzymać doktora. — Wyglądasz jak Łazarz. Głupi byłem, że ci pozwoliłem iść taki kawał drogi. Ale jak właściwie znalazłeś się tutaj?
Józek w paru słowach zdążył opowiedzieć Stefanowi swoje przygody, a już wracał doktor z sanitariuszem i siostrą.
— Proszę zabrać nowego pacjenta — mówił. — Rano rentgen: prześwietlenie ręki. Odżywiać jak najlepiej. Pojutrze z gotową kliszą do mnie. Do widzenia, miły bracie! Zostań i leć się, bo takie ręce jak twoje na pewno jeszcze się przydadzą...
Karetka szybko pędziła na Górę Czterech Wiatrów, a Stefan dokładnie informował doktora o przebiegu wypadku. Wreszcie ostatni wiraż. Zazgrzytał żwir pod kołami zatrzymującego się samochodu. Białe ściany domu jaśniały w ciemności.
— Kto tam! — zawołał Lech podbiegając.
— Swoi, swoi! — odkrzyknął wyskakując Stefan. — Pomóżcie wysiąść doktorowi. A... co z Małgosią?
— Żyje, ale wciąż nieprzytomna.

— Proszę zaczekać na mnie — mówił tymczasem doktor do kierowcy i wszedł na stopnie ganku. Stefan świecąc latarką prowadził go do pokoju Małgosi. Maciej i Radek nieśli za nimi narzędzia, apteczkę i naftę.

W pokoju Małgosi lampa paliła się konającym płomieniem. W jej niepewnym, ruchomym blasku widać było bladą twarz dziewczynki.

Adam zerwał się z tapczanu. W ciągu kilku godzin twarz jego zmieniła się ogromnie. Bruzdy dokoła ust pogłębiły się, oczy zapadły głęboko.

— Doktor przyjechał — rzekł Stefan — powiedz w kuchni, żeby dano gorącą wodę.

Adam skoczył ku drzwiom.

— Chwilkę — zatrzymał go doktor Górski. — Gdzie jest matka tej dziewczynki?

— Nie żyje.

— Więc koleżanka, siostra, babka, jakaś kobieta wreszcie...

— Kobieta! Adam, poproś tę niewiastę, którą przywieźliśmy dziś z gminy. I nie zapomnij o wodzie.

Adam wypadł na korytarz, gdzie warowali Radek i Jasiek, a stamtąd do kuchni oświetlonej tylko odblaskiem płonących trzasek. Przy płycie stała potężna kobieta. Na widok Adama ujęła zamasyście parujący rondel.

— Musi woda potrzebna? — spytała.

— Tak, a panią doktor prosi do chorej — odpowiedział Adam.

Kobieta wytarła ręce o fartuch i pospieszyła za nim. Radek z Jaśkiem zajęli miejsce przy opuszczonej płycie.

Adam zapukał do drzwi. Stefan wpuścił kobietę, wziął wodę z rąk Adama i powiedział: — Postaraj się o gorącą kawę — zamknął drzwi. Adam zdążył tylko zobaczyć biel fartucha pochylonego nad tapczanem. Wrócił do kuchni, gdzie Radek zabrał się już do zaparzania kawy. W ciemnym kąciku siedział na stołeczku Krzyś z rękoma opartymi o stół. Nie spał, bo czujnie podnosił głowę na każde skrzypnięcie drzwi. Był zrozpaczony. Niepewność o życie Małgosi dręczyła go bardzo. W dodatku czuł się bezużyteczny, bo nie mógł w niczym dopomóc.

Kiedy przemoczony do nitki wchodził na rozkaz Stefana do domu — jakaś nieznana kobieta klasnęła w ręce i zawołała:

Musi ty głupi, że lotos zmoknienty! Rozbieroj my sie zaraz!

Krzyś rozebrał się posłusznie i okręcony kocem, chodził od okna do okna śledząc, co się dzieje na podwórzu oświetlonym błyskawicami. Teraz jednak już nie mógł pomóc w niczym. Warta pilnowała budynków, a on siedział i czekał beczynn timer. Jakże straszną jest rzeczą czekanie. Minuty dłużyły się jak wieczność. Wszyscy milczeli nasłuchując każdego szelestu.

Zaciśnięte palce Adasia białały coraz bardziej. Kiedy patrzył na bladą twarz Małgosi, kiedy mógł w każdej chwili stwierdzić, że puls bije jeszcze, wierzył, że będzie żyła. Ale teraz przedłużające się milczenie, groźne i straszliwe, było nie do zniesienia. Wydawało mu się, że jego przyczyna może być tylko jedna: Małgosia już nie żyje.

Nagle skrzypnęły drzwi. Zabrzmiał głos Stefana, Jakiś dźwięczny i radosny:

— Kawa!

Radek błyskawicznie rzucił się do płyty, porwał dzbanek z kawą i już był za drzwiami. Po chwili wrócił.

— Otworzyła oczy — powiedział. — Patrzyła dokoła, jakby szukała kogoś, a może nie wiedziała, gdzie jest. Doktor mówi, że będzie żyła!

Adam wybiegł na korytarz.

— Będzie żyła — powtórzył Krzyś. — O Boże.

— Za dwa dni będzie już latać po szczycie jak stara — upewniał go Radek — a ty co ryczysz, staruszk?

— Wcale nie — wypierał się Krzyś ocierając ukradkiem oczy.

— Nie chcę cię martwić — małe oczy Radka błysnęły złośliwie — ale ja na twoim miejscu już nie chciałbym więcej przygód. Dzisiejszy dzień może wystarczyć na długo: ten wybuch i Józek podobno chory, został w szpitalu...

— Wcale nie chciałem takich przygód.

— A jakich?

— Już wolałbym, żebym ja... żeby mnie...

— Głupiś — przerwał mu Radek stanowczo. — Mnie wszystko jedno, o kogo ja się mam martwić. Już dajcie sobie spokój z wybuchami i chorobami. Chciałbym znaleźć szybowce i polatać trochę. To mi przygoda!

Jasiek drgnął i przygarbił się.

— Idę do Małgosi — powiedział i wysunął się z kuchni.

— I ja też — poderwał się Krzyś.

Radek wyszedł za nimi. Na korytarzu było ciemno. Nagle drzwi uchyliły się i w jasnej smudze światła zobaczyli Adasia.

Z pokoju chorej szybkim krokiem wyszedł doktor. Za nim Stefan.

— Małgosia usnęła — powiedział — posiedź przy niej, Adam. A ty, Radku, zabierz tę niewiastę do kuchni. — I pośpiesznie dogonił doktora, który już stał w świetlicy, otoczony z wszystkich stron.

— Nie ma mowy o śmierci — mówił głośno — powtarzam jeszcze raz, mowy nie ma. Jest to tylko silny wstrząs. Żadnego obrażenia, żadnej rany. Najdalej za tydzień będzie zupełnie zdrowa. Nie pozwalajcie jej tylko zbyt wcześnie wstawać z łóżka i odżywiajcie jak najlepiej. Cóż pan tak zmarkotniał, mój pomocniku — zwrócił się do Stefana — nie cieszy się pan?

— Panie doktorze, my nie mamy nic poza konserwami i resztką kartofli. Jedna puszka z sokiem nie wystarczy na długo...

— Hm — zachmurzył się lekarz. — Źle gospodarujecie. Cóż, dajcie jej najprzód soku. Tylko po otworzeniu puszkę trzeba natychmiast przelać sok do butelki. Natychmiast! Rozumiecie! Potem można dać kartofle, a na końcu konserwy. No, to do widzenia! Przyślę wam waszego oświęciemiaka za jakiś tydzień. Trzeba mu rękę wyleczyć i dać zastrzyki wzmacniające, bo zemrze wam z wyczerpania.

Doktor Górski ruszył energicznie ku drzwiom.

— Panie doktorze, panie doktorze — zastąpił mu drogę Lech. — Czy nie mógłby pan zabrać nas ze sobą? Musimy wracać, a nasze auto zepsuło się. Może rano będzie jakaś okazja do Krakowa?

— Będzie okazja — odpowiedział doktor posuwając się ciągle naprzód, tak że Lech musiał cofać się przed nim. — Wsiadajcie, ale już!

— Panie doktorze — zatrzymywał go Stefan — mamy jeszcze jednego pasażera. Tomek, poszukaj tej pani, która z nami przyjechała, ona jest pewnie w kuchni. Powiedz jej, że jest okazja, niech szybko się ubiera, bo pan doktor śpieszy się na operację.

Tomek wbiegł jak wicher do kuchni. Czerwony odblask od ognia pod płytą pełzał po białych kafkach, kładł się żółtą ścieżką na podłodze. W kącie gdakała niespokojnie obudzona kura. Tomek rozejrzał się szukając kobiety. Stała przy półce i uważnie oglądała poszczerbione miski i aluminiowe menażki.

— Proszę pani, proszę pani — zagadał szybko. — Stefan mówił, że pani chciała jechać na stację. Właśnie jest okazja. Auto odjeżdża. Proszę przedziutko zbierać rzeczy. Ja pomogę!

Zgłupiałeś cy co? — ofuknęła go gniewnie. — Pudzies stund cy nie! A to smark jakiś, będzie mnie tu wyrzucił!

Tomek wyskoczył z kuchni jak oparzony.

— Stefek, Stefek! — wołał głośnym szeptem, otwierając szeroko okrągłe oczy — ona

wcale nie chce jechać i zwymyślała mnie, na czym świat stoi.

— Coś pokręciłeś, bracie. Zaraz, panie doktorze, chwileczkę, ja to sam załatwię.

— Proszę pani — powiedział wchodząc do kuchni — jutro będzie okazja do Krakowa, ale jechać trzeba zaraz. Nocleg w szpitalu zapewniony.

Kobiecina wycierała półki czystą ścierką. Miski i menażki leżały na stole. Odwróciła do Stefana zaczerwienioną z gniewu twarz.

— Roz wuma mówiłam, że jestem Karasiowo, z imienia chłopca Jantkowo. A jechać nie myślę, ani my sie śni. Dziecko chore. Gotować ni mo chto. A uny nic, tylko jedź i jedź!

— Ale... my nawet nie mamy co gotować. Będzie pani... Jantkowa u nas głodować...

— Z Niemiec wracum, to i głód my nie nowina. Kure mum, to bedu dla chory jajka.

— Dziękujemy bardzo, ale nie śpieszy się Antkowa do domu?

— Chłopa my Niemce zabrały, chałupę spaliły. Do czego sie bede śpieszyła? Jesce mum cas wyrobnicu być. Mogę tu głodować. — I uważając rozmowę za skończoną Antkowa odwróciła się od Stefana.

I tak się stało, że z doktorem Górskim odjechali tylko omturowcy. Przy pożegnaniu trzech „Budrysi” zabrali listy i obiecywali pomoc. Olek, nie pytany, udzielał rad i wskazówek, a ładując się do sanitarki wołał z jej głębi zduszonym głosem:

— Dam o was znać do Departamentu Lotnictwa Cywilnego. Mam tam swoje „chody”.

— Wracajcie, Budrysi! — krzyknął Maciek, kiedy karetka skręciła do lasu.

— Nie krzycz — uspokajał go Stefan — ona śpi.

Małgorzatka spała rzeczywiście. Adam siedział przy niej, wpatrując się w jej bladą twarz. Nie wiedział, czy może wierzyć zapewnieniom lekarza. Bo jeśli nie jest ranna, tylko ogłuszona, czemu jęczy żałośnie przez sen, czemu jej rzęsy są mokre od łez. Nigdy dotąd nie słyszał skargi z jej ust, a przecież miała nieraz ku temu dość powodów...

Małgosia poruszyła się, brązowe rzęsy, leżące na policzkach, drgnęły, uniosły się. Ale wzrok dziewczynki był nieprzytomny i jakby zalękniony.

— Małgosiu.

Mrugnęła powiekami, w oczach błysnęła radość, spojrzenie stało się przytomne.

— Adam — spytała z niedowierzaniem — to ty?

— Ja. Czemu jęczysz? Boli cię co?

— Nie, tylko miałam straszny sen. Śniło mi się, że wyjechałeś za granicę.

— A, beksa. Wstyd — powiedział z żartobliwym wyrzutem.

— „Królowa Ryksa” — uśmiechnęła się. — Nie, teraz już nie, teraz płacę tylko przez sen.

— Też nie trzeba. Po co płakać.

— A posiedzisz przy mnie?

— Posiedzę, jak długo zechcesz.

Coś się zmieniło — dziwiła się z trudem zbierając myśli — Adam patrzy na nią tak serdecznie i z takim skupieniem w oczach, jakby się stała naraz najważniejszą na świecie osobą. Nie mruży szorstko: „zawracasz mi głowę”, przeciwnie — słucha uważnie, odpowiada łagodnie jak nigdy. Troskliwie śledzi, czy ona czegokolwiek nie potrzebuje, podciąga ku górze pelerynę Radka, której brzeg zsunął się z tapczanu na podłogę. „To dlatego, że jestem chora — odpowiada sobie dziewczynka — tylko kiedy zachorowałam? Przecież szłam po lesie zupełnie zdrowa, Puchatek tak śmiesznie gonił rude wiewiórki. Naraz zobaczyłam niebo. Płynęły obłoki. A potem już nic...”

— Adasiu — spytała — co mi jest? Czemu ja leżę?

— Weszłaś na pole minowe. Musieliśmy cię odgrzebywać. Jasiak mi pomógł.

— Jasiak?! Jasiak wrócił?

— Wrócił, i to w samą porę. Zatrzymał nas tuż przed polem minowym.

— Uratowałeś mnie.

— Dlaczego ja? Wszyscy. Witek z Maćkiem zabawili się w „Wyrwidęby” i złamali dwa drzewka, Radek zmajstrował nosze ze swojej peleryny. Jasek ciebie odkopywał. Stefan z Józkiem sprowadzili doktora.

— Mój Boże...

— Już nie gadaj, Małgorzata. Jutro opowiemy ci wszystko ze szczegółami, a teraz śpij. Lekarz kazał.

— A nie gniewasz się na mnie, że... bo ja... naprawdę... ale...

— Już ci się język na supełek zawiązuje, wygadać się nie możesz. Sprawa jasna — masz spać.

Zartował, ale spojrzał na nią i spoważniał. Oczy Małgosi, zazwyczaj błękitne jak oczy małego dziecka, dziś poszarzałe, podkrążone — patrzyły na niego z niemą prośbą, by zechciał zrozumieć, wysłuchać...

— No co — mruknął niechętnie.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Przecież... ja bym chciała zawsze być z tobą, Adasiu, tylko że naprawdę nie mogę... Czy mi wierzysz?

Przyjrzał się jej pobladłej twarzy tak uważnie, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, i nagle porwał się z miejsca olśniony odkryciem prawdy, której istnienia nie domyślał się nawet.

— Ty nie bądź głupia, Małgorzata — wykrzyknął — chyba powinnaś wiedzieć, że ja wrócę do ciebie! — I zażenowany własnym nieoczekiwanym wyznaniem, szybko odwrócił się do lampy, aby najniepotrzebniej poprawiać abażur. Kiedy znów pochylił się nad dziewczynką, oddychała równo i głęboko. Spała uśmiechając się przez sen.

Drzwi skrzyknęły.

— Nie trzeba czego? — szepnął w szparę Stefan.

— Nie, Małgosia śpi.

— O której godzinie ciebie zmienić?

— Nie trzeba. Ze mną będzie spokojniejsza.

— Dobrze. W kuchni jest Antkowa, która w każdej chwili gotowa ci dopomóc.

Stefan zamknął drzwi i wyszedł na podwórze.

— Maciej! — zawołał w ciemności. Zamiast olbrzyma z mroku wynurzyła się drobna sylwetka Radka.

— Radek, co tu robisz? A gdzie Maciej?

— Myśmy zmienili trochę kolejność dyżurowania. Ty naprawdę nie możesz dziś stać na warcie. Za dużo ganiałeś. Teraz ja ciebie zastąpię, potem zbudzę Jaśka. Chyba mu ufasz? A nad ranem Krzyś wstanie. Idź spać, Stefek, naprawdę.

— Dobrze — zgodził się drużynowy po namyśle i poczuł straszliwe znużenie. — Dziękuję wam.

Sądził, że usnie od razu jak kamień, ale w pokoju było duszno. Otworzył więc okiennicę i okno. Noc zajrzała błyskiem gwiazd, ścieranych co chwilę przez mknące chmury.

Sen jednak nie przychodził, przeciwnie, napływały wspomnienia, rósł niepokój o dzień następny. Kiedy rano odrzucał propozycję kupna kradzionej żywności, był pewien, że ma słuszość. Olek jednak uważał, iż on postąpił jak „ciężki frajer”. Powtórzył mu to jeszcze raz, chociaż innymi słowami: „Nie radzę panu — wycedził na pożegnanie — bawić się w Don Kichota stosując w czasach wojennych zasady przyjęte za obowiązujące w czasach pokojowych. Narzą pan nie tylko siebie, ale i wszystkich mieszkańców szybowiska. To jest nie tylko lekkomyślne, ale i nieuczciwe”.

— Stefek — sennym głosem odezwał się Tomek — Stefek...

— Czego chcesz?

— Dlaczego się mówi: „kłał, na czym świat stoi”? Na czym takim stoi ten świat?

— Śpij! Na niczym takim nie stoi, bo krąży w przestworzach, a dlaczego się tak mówi — to dłuższa sprawa...

— Wszystkie ciekawe sprawy są zwykle „dłuższe” — mruczał Tomek — a ja przecież muszę wiedzieć, na czym stoi mój świat.

— Twój świat będzie stał na tym, na czym go sam zbudujesz. Śpij już.

Zapadła cisza.

— Steeefan!

— Czego znów chcesz?

— Czy Budrysów mogę też kochać jak braci, jak wszystkich harcerzy?

— Nie tylko możesz, ale powinienes.

Tomek zamilkł sapiąc głośno, jakby się zastanawiał nad słowami brata.

— Stefan — zaczął po chwili.

— Przestańże marudzić.

— Czemu z pokoju słychać dobrze, że Radek chodzi po naszym podwórku, a z naszego po-dwórka nie słychać... co... tu... — Tomek mówił coraz wolniej, niewyraźniej. Usypiał. Coś jeszcze mamrotał przez sen i przewrócił się na drugi bok.

Za oknami stukały miarowe kroki wartownika. Czujny na wszystko, wpatrywał się dokoła, wsłuchiwał w każdy szelest. Księżyc wypełził spoza chmur. Dom w jego blasku stał cichy, cała góra wyglądała jak bezpieczne schronienie. Tylko beładna strzelanina w dalekich lasach mówiła o tym, że spokój i bezpieczeństwo są tylko złudzeniem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY ZNAJ SPOSOBY

Ze szczoteczki zieleni, którą w pamiętnym dniu ominął Radek przy kopaniu grządek, wydobyły się szablaste liście i pąki na sztywnych łodyżkach opięte cienką błoną. Z błonki wywinęły się stulone, kremowe listki i któregoś dnia żółtym okiem spojrzwały na świat narcyzu. Krzaki bzu stawały się z dnia na dzień coraz bardziej liliowe, pąki na jabłoniach pęczniały i rozwierały się ukazując rąbek różanego wnętrza. Wiosna ciepła i pogodna rozkwitała kwiatami i śpiewem ptaków.

Dni mijały na szczycie jeden za drugim, a każdy dzień był pełen dobrych i złych nowin — jak torba listonosza.

Małgorzatka zdrowiała pod opieką Antkowej, która mocną ręką objęła rządy w kuchni. Wszyscy musieli wysłuchiwać jej długich przemówień, zaczynających się niezmiennie od słów: „Musi ty wariat” lub „Musi ty głupi”... Dalszy ciąg bywał różny, zależnie od okoliczności, na przykład: „Cego sukos, nie bobrzy tam, nie mozes sie zapytać, gdzie leży”... albo kiedy wyrzucała kogoś z pokoju chorej, powiadała: „Musi ty wariat! Niechoj ji, bo sie zmency”.

Mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów szybko uznali autorytet Antkowej i dostosowali się do jej praktycznych wskazówek. Polubili też ją bardzo, a ona dbała o nich jak o własne dzieci. Najbardziej oczywiście o Małgosię, dla której pitrasiała posilniejsze potrawy. Reszta osób musiała się zadowolić kartoflanką z konserwami.

Pełnomocnik rządu wydał wprawdzie zaświadczenie upoważniające załogę Góry do zabezpieczenia szybowiska i formalista Eustachy Pomorek, wójt gminy Maczki, musiał im przyznać przydział żywności, ale nowy jej transport, oczekiwany od dawna, jakoś nie nadchodził. O sprzedaży żywności nikt nie chciał słyszeć, a pożądaných artykułów do wymiany — chłopcy nie posiadali. Antkowa z niepokojem przyglądała się zapasom kartofli i konserw,

które topniały jak śnieg na wiosnę. Nic na to poradzić jednak nie mogła, bo nic więcej do jedzenia nie było. Poczciwa siodłata kura zносиła wprawdzie codziennie po jajku, ale oddawała je Małgosi. Dla niej też co sobota Antkowa ubierała się w krasną chustkę i wędrowała w dół, gdzie u stóp wschodniego zbocza stały dwa domki z czerwonymi dachami.

„Antkowa idzie na łowy” — żartowali chłopcy, ponieważ z tych wypraw przynosiła po odrobinie masła i mleka, a raz nawet miodu. O domu, na którego dachu bociany uwiły gniazdo, Antkowa wyrażała się z najwyższym uznaniem. Mieszkał tam samotnie jej krajan, Kłak, który za radą Stefana osiedlił się tu na stałe. Antkowa chwaliła jego gospodarność. „Da se rade — mówiła — robotny jest, głowę na karku mo nie od parady”... Pracowity Kłak zdobył sympatię wszystkich mieszkańców Góry. Wdzięczni za tłuszcz i mleko dla Małgosi, chłopcy pomagali mu przy najpilniejszych pracach w polu.

O drugim sąsiedzie mówiło się, że jest Niemcem.

— Niemiec to — powiadała Antkowa z pobłażaniem i litością — ale nasu mowe rozumie.

— A może Ślązak? — spytał raz Maciej, który szukał uparcie dowodów polskości Śląska — bo dziwny to Niemiec, który dzieli się zapasami żywności. Muszę go kiedyś odwiedzić.

— Prawdziwy Niemiec, Francik Klosek cy Klusek — odparła z lekką urazą w głosie — wyjedź do Niemiec, bo tam jego miejsce. Tu przyjedzie brat Kłaka, Kaźmierz, co w Miecysławce na kupie u sumsiadów się gniece. A miodu my doł, bo mu powiedziałam, że Boga nie miołby w sercu, żeby chory nie poratować.

— Bał się nie dać, i tyle — wtrącił Jasiak. — A ja bym u Niemca niczego nie brał — dodał z zawziętością, bo przypomniał sobie trzy lata robót u skapego i krzykliwego bauera.

— Pewnie — poparł go Radek — nie powinniśmy niczego brać u Niemca.

Odtąd Antkowa chodziła już tylko do Kłaka, starannie unikając zagrody Klosska jak zapowietrzonej. Klosskowie nie kwapili się także do nawiązywania stosunków sąsiedzkich z niezyczliwym im szybowiskiem. Na widok Antkowej lub chłopców najmłodsze dzieci Klosska kryły się z pośpiechem za parkanem własnego ogródka, płosząc białe króliki i budząc psa, który zaczynał przeraźliwie ujadać.

Maciej próbował kilkakrotnie zagadać do starego Klosska w polu, ale stary pomrukiwał coś niewyraźnie, pykając nieodstępną fajkę, lub udawał, że się gniewa na starszego syna, Hanka, dużego już chłopca o rudej, ognistej czuprynie.

Takie zachowanie się całej rodziny nawet Macieja utwierdziło w przekonaniu, że Antkowa i Kłak mają rację.

Brakowało zresztą czasu na rozmyślenia o sąsiadach. Jakiś pech prześladował Górę ostatnimi czasy. Wszelkie sprawy załatwiane w miasteczku i wsi szły jak z kamienia. Nie tylko żywności nie otrzymali dotąd, ale i części zamiennych do samochodu. Nie lepiej powiodło się z rozminowaniem terenu dokoła kryjówki z szybowcami. Dowódca, do którego Stefan zwrócił się z prośbą o miniera, odmówił mu wyjaśniając, że w pierwszej kolejności muszą być rozminowane trasy przelotowe dla wojska i miejsca bezpośrednio zagrażające bezpieczeństwu publicznemu, a szopa znajdowała się na uboczu, w nie uczęszczanym lesie, wobec tego sprawa rozminowania pola dokoła niej nie była pilna. Dowódca polecił tylko zrobić znaki ochronne dokoła zaminowanej kotlinki i dał wzory i materiały do ich wykonania.

Będąc w miasteczku Stefan zawsze wstępował do szpitala. Choroba Józka przedłużała się, ale doktor Górski obiecywał, że złamanie zrośnie się bez śladu. Stefan zwierzał się Józkowi ze swoich trosk i szybownik nieraz mu radził porozmawiać szczerze z Jaśkiem o kryjówce.

— Sam opowie wszystko, kiedy nabierze do nas zaufania — twierdził Stefan uparcie. — Przekonałeś się już chyba, że mój system wobec Jaśka daje dobre wyniki. Poczekajmy jeszcze. Liczę na jego przyjaźń z Radkiem, gdybyś wiedział, jak zgraną parę oni stanowią.

O ile w miasteczku i we wsi nic właściwie nie udawało się, prace na Górze rażno

postępowały naprzód. Głodni i przemęczeni chłopcy wiedzieli jasno tylko jedno: że nie porzucą szybowiska i że je ocalą pomimo wszystkie przeciwności losu.

Kierownictwo nad pracami objął Radek, który miał talent do wyszukiwania coraz to nowych zadań.

— Musimy wszystko naprawić, zanim Józek wróci — zwierzał się swemu najlepszemu pomocnikowi Jaškowi — wtedy już bez zwłoki zmontujemy szybowce. Dopiero zacznie się prawdziwe życie! Chciałbyś też polatać — co?

Wkrótce na szczycie wszystko lśniło czystością i miało swoje miejsce, a znaki ochronne otoczyły zaminowany teren. Z kolei Radek zabrał się do podziurawionego hangaru, stojącego samotnie na lotnisku. Oczyszczono jego wnętrze, naprawiono drzwi. Cóż, kiedy dach przeciekał, a papy ani desek nie można było sprowadzić z miasteczka nie mając środka lokomocji. Radek, który po raz pierwszy na szybowisku trafił na przeszkodę, zdawałoby się nie do pokonania, począł przemierzać szczyt, szukając w myśli najlepszych „sposobów” zdobycia papy.

— Gdzie idziesz, humanisto? — zagadnął Maćka, zbiegającego ze schodków domu.

— Roboty nie ma. Idę na wieś szukać Ślązaków.

— Zawracanie głowy. Skąd ich weźmiesz, kiedy tu Niemcy mieszkają — zagderał Radek niezadowolony, że traci na cały dzień pomoc Maćka.

Nie rozumiał on wprawdzie zainteresowań polonisty, natomiast potrafił dobrze ocenić siłę jego ramion i zręczność długich chwytnych palców. „Twoje ręce są mądrzejsze niż twoja głowa, Maćku” — mawiał mu nieraz.

Polonista nie obrażał się, tylko żartobliwie odpowiadał, że mądrość rąk jest jedyną mądrością dostępną dla techników.

„Mam zawsze pecha, nikt nie rozumie moich zainteresowań — dodawał — rodzice, póki żyli, chcieli, żebym został dentystą”.

Tym razem jednak dobroduszny Maciej wybuchnął nagłym gniewem:

— Pleciesz bzdury jak analfabeta! — krzyknął zapinając nerwowo płaszcz na wszystkie guziki. — Przeczytajże nazwy wsi i miast! Toż to wszystko tłumaczone z polskiego: Lignitz — Legnica, Ohlau — Oława, Grenzen — Grzędzin, Ober Glogau — Głogówek... — A w brzmieniu każdej nazwy znajdziesz związek z historią Polski.

— Jaki? — mruknął Radek.

— W każdej inny. Kłodzko, jeśli chcesz wiedzieć, jest twierdzą zbudowaną z kłód przez Bolesława Chrobrego, Bolkowice założył Bolesław II Rogatka. W Złotoryi Piastowicze śląscy poszukiwali złota. Głogów... bo ja wiem, może ta twierdza była tak niedostępna i kłująca wrogów jak wielki krzak głogu...

— Mądryś, ale nie zanadto — zauważył Radek, zadowolony, iż może odwdzińczyć się Maćkowi za „analfabetę”. — Z Głogowem coś poszkapieś, to twoja bujna fantazja, a nie wiadomość historyczna. Mniejsza zresztą o to, bo inne przykłady dałeś dobre. Tylko zapomniałeś, bracie, że to wszystko działo się setki lat temu. Dziecko wie, że Śląsk kiedyś należał do Polski, a to nie dowód, że Ślązacy jeszcze dotąd się tu przechowali.

— Mów z głupim o koronkach, kiedy on powiada, że to same dziury — irytował się Maciek. — Że Niemcy sobie Śląsk zabierają, to rozumiem, ale żeby Polak nie wiedział, że tu Ślązacy mieszkają i że nie dali się wyprzeć koloniście niemieckiemu — to wstyd. Powiadam ci, że Ślązacy tu są. Trzeba ich tylko znaleźć i pogadać z nimi po ludzku.

— Gadaj do lampy! Hangar bez dachu, samochód nie naprawiony, a ty lecisz do wsi nie wiadomo po co.

— Ech — machnął ręką Maciek — z tobą gadać. Jakże naprawisz hangar nie mając samochodu do przywiezienia papy i co zrobisz z samochodem, kiedy mu brak potrzebnych części.

— Nie ma rzeczy niemożliwych do zrobienia — pouczył go Radek — trzeba tylko znać sposoby. Właśnie ich szukam, a ty mi przeszkadzasz.

— Ty nie sposobów szukaj, tylko nowych świec, bo się zaoliwiły i izolacja na nich popękała. A stare opony na tylnych kołach tylko patrzeć, jak wypuszczą ostatni dech. — I Maciek zmiażdżył Radka wzrokiem z wysokości metra i osiemdziesięciu centymetrów.

Radek nie zwrócił uwagi na pogardliwe spojrzenie, bo nowa, genialna myśl błysnęła w jego czarnej głowie. Prawda. Przecież na drogach leżą zniszczone auta, może wśród nich znajdzie się Ford z całym motorem. Może nie wszystkie opony są wyszabrowane... Trzeba iść na poszukiwanie, i to zaraz.

I porzuciwszy Maćka Radek mknął do domu krzycząc głośno:

— Stefan! Stefan! Zwolnij mniej z Jaśkiem na parę godzin. Idę szukać świec i opon do samochodu.

Stefan zgodził się na wyprawę pod warunkiem, że chłopcy będą iść tylko wzdłuż szosy nie skręcając na drogi boczne.

I ku zazdrości Krzysia, którego noga jeszcze się nie zgoiła, Radek i Jaś wyruszyli z narzędziami w plecakach, zabierając ze sobą Tomka.

Na szosie nie znaleźli nic godnego uwagi. Rozbite samochody i motocykle, a nawet czołgi ktoś przedtem dokładnie obejrzał i pozbawił lżejszych, cenniejszych części.

— Zawracajmy — rzekł Radek ponuro, kiedy doszli do stacji. Myśl o Maćku, który zapewne znalazł już swoich Ślązaków i będzie nad nimi triumfował, nie dawała mu spokoju.

Tomek korzystając ze swobody wybiegał wciąż naprzód to znów zniknął na chwilę pomiędzy drzewami

— Chodźcie tu! Chodźcie tu! — krzyknął naraz cienkim, rozradowanym głosem. — Wybitne odkrycie! Nadzwyczajne bogactwa na tajemniczej drodze!

Podskoczyli obaj z Jaśkiem. Za łagodnym łukiem zakrętu, zasłoniętego świerkami, leżała zapomniana, nie uczęszczana droga. Stanowiła ona jakiś szlak komunikacyjny łączący wschód z zachodem i widocznie uciekały nią w popłochu wojska niemieckie pozostawiając po sobie drzewa ze zdartą korą i porozrzucane w nieładzie, rozbite maszyny.

Ogromny czołg unosił w górę przełamaną łufę. Obok nad szczątkami samochodu ciężarowego stał Tomek wrzeszcząc wniebogłosy:

— Wiekopomne odkrycie! Ogromne bogactwa!

— Cicho bądź — ofuknął go Jasiek i obejrzał się z niepokojem. — Skąd wiesz, kto tu łązi. Patrz, ślady nóg widać.

Radek nie słuchał ich rozmowy, zajęty oglądaniem auta.

— Cały przód rozbity — stwierdził rozczarowany — i marka zresztą inna. Tylko jedna opona cała. Przyjdziemy po nią którego dnia.

— Lepiej zabierzmy ze sobą — poradził Jasiek — podczas wojny czego nie weźmiesz od razu, już nie dostaniesz.

— Racja. Wypuścimy z niej powietrze i schowamy na razie pod chrustem. A sami ruszymy dalej.

— Nie trzeba wchodzić głęboko w las — powiedział Jasiek i obejrzał się znów. — Przyjdziemy tu z bronią i chłopaków zabierzemy ze sobą.

Ale Radka opętała myśl zdobycia świec i opon.

— Masz pietra — łypnął czarnym okiem w stronę Jaśka — przecież daleko nie pójdziemy.

Sam nie bał się wcale. W ciemnym, ponurym dotąd lesie było widno i przestronnie, jego czerń rozjaśniały młode, nieomal przezroczyście liście, przez które słońce przenikało jak przez jasnozielone szybki.

— Stefan nie pozwolił wchodzić na boczne drogi — bronił się Jasiek — w razie czego nie będzie nawet wiedział, gdzie nas szukać.

— Nie taki głupi ten Stefan, jak sądzisz — odparł Radek z irytacją — już nieraz chwycił, kiedy zmieniałem jego rozkazy, bo nieprzewidziane okoliczności mnie do tego zmuszały.

Dla twojego spokoju możemy zresztą zostawić znaki dla Stefana, żeby umiał nas znaleźć „w razie czego”. Hej, Tomek, skocz do szosy, wyrysuj na niej dużą strzałkę w naszym kierunku i dalejznacz trasę. Rozumiesz?

— Rozkaz! — odchrząknął Tomek i pogalopował w zarośla po odpowiedni patyk.

Jasiek szedł obok Radka milcząc. Już nie usiłował go zatrzymać przed niebezpieczeństwem tej nie obmyślanej wyprawy. Nie wiedział zresztą, jak wytłumaczyć, że na pustych drogach w okolicy wsi grasuje banda Szefa w poszukiwaniu cennych rzeczy. Spotkanie z nimi na odludziu bez broni mogło skończyć się tragicznie dla „chłopców z góry”, znienawidzonych przez Szefa za to, że zajęli szybowisko, które on uważał za swoją własność. To spotkanie tym bardziej byłoby niebezpieczne dla Jaska, który „zdradził” bandę.

Zaledwie kilka tygodni temu Jasiek wracając z robót trafił na małą stacyjkę, zagubioną wśród lasów. Skulonego w kącie zobaczył Szef.

— A ty skąd?

— Z robót wracam — odpowiedział szeptem. Był tak głodny i zziębnięty, że nie miał sił wydobyć głosu.

Bał się tego grubego człowieka o wielkiej, czerwonej twarzy.

— A cożeś taki przegrany?

— Sam jestem, bez rodziny.

— Co tam rodzina. Grunt to forsa. Będziesz miał forszę, będziesz miał wszystko. Chodź z nami. Potrzebujemy jednego takiego. Forsy u nas jak lodu. Ale jakbyś nie posłuchał kiedy — biedny będziesz.

Używano go na szczęście do mniej ważnych robót.

Pewnego dnia Felczer kazał mu iść na szybowisko i sprawdzić, czy nic się tam nie zmieniło. Banda projektowała wyniesienie z szopy wszystkich cenniejszych rzeczy, ukrytych tam przez Niemców. Zależało im na tym, aby w pobliżu nie było świadków.

Jasiek po stwierdzeniu, że szybowisko jest zajęte, chciał od razu wrócić do Szefa i zawiadomić go o tym. Spłoszył go jednak biegający dokoła domu Tomek. Wszedł więc do mieszkania przez otwarte okno, a słysząc kroki Stefana skoczył do piwnicy, mając nadzieję, że wydostanie się stamtąd, kiedy zapadnie mrok. Stało się inaczej. Pozostał z załogą zabezpieczającą szybowisko.

Wtedy Szef pokazał, że potrafi spełniać swe groźby. Porwał go ze szczytu w nocy. Jasiek nie zdążył nawet krzyknąć, ostrzec małego Tomka, który z nim razem stał na warcie. Ciężka ręka zamknęła mu usta, silne ramiona poderwały w górę. Dopiero na szosie Buldog postawił go na nogi. Głos Szefa upomniał złowieszczo:

— Idź cicho, bo jakbyś krzyknął, to już po tobie. I nie próbuj uciekać! Kolegów sobie znalazł! Patrzenie! Innych współników mu się zachciało. Ja ci to wybiję z głowy!

Szedł więc z Szefem. Bolały wykręczone do tyłu ręce. W melinie Szef bił go okrągłą nogą od stołu, a nazajutrz wysłał z powrotem na szybowisko — na zwiady.

Jadę sprzedać towar — powiedział — jak wrócę, żebyś już siedział w chałupie i czekał na mnie i żebyś już wszystko o tych chłopakach wiedział: co chcą wywozić i kiedy. Nie mnie będziesz bajerował, że nic stąd dla siebie nie zabiorą. A gdybyś mnie zdradził: z dymem pójda łobuziaki, a ciebie utłukę chyba.

Jasiek wrócił posłusznie na górę. Ale Krzys powiedział mu, że Adam poszedł szukać szybowców na zachodnim zboczu, a z nim Radek i Małgosia, i Maciej. Mogli zginać ci, od których doznał życzliwego przyjęcia. Pobiegł im na ratunek. Zdążył zatrzymać Adama i chłopców tuż przed polem minowym. Jeszcze minuta i byłoby za późno.

Nikt go o nic nie zapytał, ani gdzie był, ani czemu odszedł. Wszystko pozostało po dawnemu, jak gdyby się nic nie stało.

I banda przycichła jakoś, pewnie nie powrócił jeszcze Szef z wyprawy. Ale powróci przecież lada dzień. A może już powrócił i śledzi ich po kryjomu... Ach, czemu upiera się

Radek, żeby iść po tej pustej drodze...

— Ty, widzę, Jasiu, jesteś synem „obraźnika” — posłyszał głos Radka.

— Obrażnika? — nie rozumiał żartu Jasiu. — Nie, mój tata kowal.

— A mój rymarz. Daj grabę. Poprzytkaliśmy się nie wiedzieć o co. Ja przecież wiem, że nie tchórzysz...

— Auto! — wrzasnął Tomek, który zdążył wyrysować strzałki wzdłuż drogi i wybiec naprzód. — Zdaje się, że Ford. Ford!!! Ciężarówka.

Ostrożnie, chociaż z pośpiechem unosił Radek nieco pogiętą maskę Forda, z niepokojem zajrzał do środka.

— Świece całe — oznajmił po chwili z triumfem. — Jasiu, daj plecak.

Zajęci pracą, nie zauważyli, że Tomek znikł z pola widzenia, że jego głosu nie słychać w pobliżu. Dopiero po zapakowaniu świec Radek rozejrzał się za chłopcem.

— Tomek — zawołał głośno — gdzie łazisz? Wracamy! Tomek, bez głupich kawałów, odezwij się!... Tomek, bo już nigdy ciebie nie zabiorę ze sobą!

Kiedy i ta straszliwa dla Tomka groźba nie poskutkowała, Radek zaniepokoił się. Spojrzał na pobladłego Jaśka i dopiero teraz przyszło mu na myśl, że Jasiu słusznie przestrzegał przed tą wyprawą.

— Idziemy szukać — rzekł zdobywając się na spokój — może wpadł w jakiś dół po bombie i zemlał.

Nawołując od czasu do czasu, przeszukali pobliskie zarośla. Naraz rozległ się krótki, urywany krzyk. Rzucili się w tym kierunku. Coś majaczyło z daleka pomiędzy drzewami niewyraźną plamą. Był to mały domek, jakaś porzucona od dawna leśniczówka o zabitych oknach. Głos Tomka wydobywał się wyraźnie z wnętrza tej rudery:

— Radek! Radek. Ratuj, Radek.

Szybko wyjęli kołek ze skobla i drzwi otworzyły się z hałasem, ukazując ciemne wnętrze, drażnione tylko cienkimi smugami światła, wpadającego przez szpary w deskach.

— Tomek!

— Ja tu. Jak to dobrze, żeś przyszedł, Radek.

— Czemu nie wyłazisz?

— Bo mam nogi i ręce związane, a szmatę z ust wyplułem.

— Ładna historia. Jasiu, poczekaj tu na mnie, a ja go wyciągnę z tej zatraconej chałupy — to mówiąc Radek wszedł do izby świecąc latarką. Światelko obiegało cały pokój, niski, zakurzony, ze zwisającymi w kątach grubymi płachtami pajęczyn. Dotknęło jasnym krążkiem krzywego stołu, pochylonej szafy, aż wreszcie dosięgło Tomka poruszającego się w kącie izby.

— Po coś tu wlaź? — pytał gniewnie Radek pochylając się nad chłopcem.

— Wcale nie wlażyłem, jakiś wariat złapał mnie na ręce, zatkał usta i wrzucił tutaj i jeszcze ręce i nogi mi związał jak prosiakowi.

— No, wstań już, rozwiązałem. Wiejmy stąd.

Skierowali się obaj ku wyjściu, ale jakiś cień przesłonił jasny prostokąt drzwi i ktoś upadł ciężko u ich nóg, a drzwi zatrasnęły się z hukiem.

— Kto tam?

— To ten — odezwał się z ciemności Jasiu — chwycił mnie za ręce i wepchnął do środka.

— Ten sam wariat — szepnął Tomek drżąc leciutko.

— Taki niski, na krzywych nogach, co...

— Tak — niechętnie przyznał Jasiu. — Ale chodźcie, musimy wywalić drzwi.

Na próżno szarpali drzwiami, chybotwały rozpaczliwie, ale nie ustępowały. Po pewnym czasie rozległ się gruby głos:

— Siedźcie cicho, bo zastrzelę.

— Czego chcesz od nas? — zapytał Radek. — Okupu?

— Nie bądź taki ciekawy, bo się prędko zestarzejesz — odpowiedziano mu uragliwie — dowiesz się w samą porę.

— Cccicho, nie gadaj z nim — szepnął Jasiek — poszukamy innego wyjścia.

Chałupa zionęła pustką i opuszczeniem. Z pustej szafy buchnął zapach stęchlizny. Tylko na stole, jako widomy znak czyjejs bytności, leżały świeże okruszyny chleba, skórka od kiełbasy i pusta „ćwiartka”. Uważnie oglądając ściany znaleźli przy drzwiach drabinę, zawieszoną na hakach, i otwór w suficie. W kilka minut potem siedzieli wszyscy trzej na poddaszu. Nie był to przytulny zakątek. Nierozważne wyprostowanie się groziło rozbiciem głowy o niskie belkowanie, powietrze pachniało wilgocią. W dachu żadnego otworu nie znaleźli, ale przegniłe, drewniane poszycie ustępowało łatwo pod naciskiem. Radek wyjął narzędzia i zaczął wydłubywać dziurę.

— Wy, tam! — rozległo się na dole. — Cicho, bo jak popukam w ścianę, to wam się odechce!

Ich dozorca czuwał...

Siedzieli milcząc, tylko Tomek myszkował po kątach.

— Patrzcie — zaszeptał — co ja znalazłem. Druki poniemieckie. Może to ważne?

Jasiek sięgnął ręką i odkleił górną, zawilgłą warstwę papieru, wewnątrz arkusze były białe, z lekka tylko pożółkłe na brzegach.

— Czyste — szepnął dotykając nie zadrukowanej strony — można by zeszyty z nich zrobić.

— Zeszyty? Po co?

— Żeby się uczyć.

— Chodziłeś do szkoły?

— Do siódmego, a potem Niemcy mnie na roboty zabrali...

— I chciałbyś się uczyć?

— Nooo — przeciągle odpowiedział Jasiek z tęskną nutką w głosie.

Zmierzchało. W przymglonym świetle dziennym wpadającym przez otwór dachu widać było jasną czuprynę Jaśka i jego szarą, pobrudzoną kurtkę. Twarz jego ginęła w cieniu.

Gniew na siebie samego ogarnął Radka. Ze też nigdy nie zapytał Jaśka o jego życie, o jego pragnienia, że też wystarczało mu to, że znalazł dobrego pomocnika.

— Nie wiedziałem — szepnął — byłbym cię uczył, a teraz...

Na dworze rozległ się przeraźliwy gwizd.

— Stul pysk! — krzyknął do kogoś „wartownik”. — Chodź tu. Chłopaków z Góry złapałem, siedzą zamknięci w chałupie. I Jasiek z nimi. Da im Szef szkołę!

— Pokaże im, draniom, gdzie raki zimują — dorzucił z zadowoleniem nowo przybyły sepleniąc. — Szef pyta ciebie, Buldog, czy w tej chacie można złożyć towar na parę dni. Skowrońszczak nam depce po piętach we wsi.

— Posiedź tu i zaczekaj — zdecydował Buldog — a ja skoczę do Szefa i wszystko mu opowiem.

— Idź. A ja tu pogadam z chłopakami po swojemu.

Chłopcy zamarli w ciemności, tłumiąc oddech. Wiedzieli już, że są w rękach bandytów. Kroki Buldoga oddalały się. Cisza, pełna oczekiwania na to, co się stanie, dzwoniła w uszach. Coś zaszeleściło w pobliżu, wydało im się, że jakiś ciężki przedmiot osunął się na ziemię. Potem na ścieżce zadudniły czyjeś pewne kroki. Ich wróg zatrzymał się przy drzwiach, szarpnął je gwałtownie, rygiel odpadł z brzękiem. Wszyscy trzej przytulili się odruchowo. Radek ścisnął w rękę śrubokręt.

— Hej, Radek! — zawołał na dole znajomy głos. — Gdzie jesteś?

Ostre narzędzie wyleciało Radkowi z dłoni. Przypadł do otworu, uchylił ostrożnie przykrywę i spojrzął. W progu stał Maciek. Światło jego latarki niespokojnie biegło po izbie.

— Hej, Radek! Odezwij się!

— To ty, Maciek? — spytał Radek z niedowierzaniem. — Chłopie! Jakżeś ty trafił do nas?

— Jak to: jak? Po znakach. Na szosie strzałki jak byki, zaraz wiedziałem, że to Tomkowa robota. Trzeba trafu, że zauważyłem też jakiegoś draba, który mi się nie podobał. Taki, co to chodzi z łapą w kieszeni i w cyklistówce nasuniętej na oczy. Szedł tą samą drogą. Skradałem się więc za nim i tu na miejscu unieszkodliwiłem faceta. I tyle. Ale złaźcie już, szkoda czasu na gadanie. Cóż to za straszna chałupa. Może tu ktoś chorował na zakaźną chorobę, że ją tak zabito deskami. Może na tyfus?

— Na tyfus, cholere i psią krew, wszystkie polskie choroby — pokpiwał Radek zeskakując z drabinki, bo widok Maćka przywrócił mu humor i pewność siebie.

— Nic nam nie będzie aż do samej śmierci. Ale wiać nie zawadzi. Jasiek, podaj mi mój plecak, ale ostrożnie. Co wy tam grzebiecie się tak długo?

Na ścieżce za chatą siedział związany wysoki człowiek w gumowym płaszczu, a obok na trawie leżała cyklistówka. Jasiek poznał „Pajaca”, eleganta bandy, największego tchórza, a jak się to zdarza często, i największego okrutnika zarazem.

— Co zrobisz z tym hyclem? — spytał Radek Maćka.

— Zostawię go tu. Niedługo zjawi się całe dobrane towarzystwo, aby nacieszyć się waszym widokiem, niech się nacieszą własnym kompanem. Ty, słuchaj — zwrócił się do Pajaca, który potulnie wodził za nim oczyma błyskając w półmroku białkami — powiedz swoim koleżkom, że tym razem darowaliśmy wam rozbój na prostej drodze, ale do trzech razy sztuka. My też umiemy „pogadać po swojemu”, przekonałeś się chyba, prawda? — tu Maciej przygiął oba ramiona, odwracając równocześnie dłonie na zewnątrz, jakby się przygotowywał do straszliwego chwytu.

Pajac skulił się potakując skwapliwie każdemu słowu Macieja, jeszcze czuł kleszcze ramion tego olbrzyma, zwierające się na jego szyi.

Czterej chłopcy zawrócili w kierunku drogi. Chwilę rozmawiali głośno, po czym weszli do lasu i skradali się bokiem, nasłuchując uważnie każdego szelestu. Dopiero na skrócie szosy wiodącej do szybowiska Maciej sięgnął ręką do plecaków Radka i Jaśka i zabierając Jaśkowi ciężar zapytał:

— Co wy taszczyście?

— Zabrałem papier ze strychu. A Radek znalazł całe świece w rozwalonym Fordzie.

— Świece! — zdumiał się Maciek. — Lepiej wam udało się niż mnie!

— Ładnie byśmy wyglądali razem ze świecami i oponami, żeby nie ty — wspaniało-myślnie przyznał mu Radek. — Morowy jesteś, Maciek. Mucha nie siada! I jakżeś ty osiodłał tego bandytę, że on ani zipnął?

— Znam taki jeden chwyt — powiedział Maciek z roztargnieniem i znów powrócił do trapiącej go sprawy. — Co to jest, że Ślązacy ze mną gadać nie chcą? Czy ja nie potrafię do nich podejść? Czy takie moje pieskie szczęście, że trafiam na mruków?

— Chcesz być szczęśliwy, znaj się na sposobie — wygłosił Radek swoją maksymę życiową. — Nie martw się, Maciek. Dogadamy się i ze Ślązakami. Znajdziemy na nich „sposoby”. Już ja ci pomogę. Licz na mnie! — i wspiąwszy się na palce Radek poklepał olbrzyma po ramieniu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY POWRÓT JÓZKA

W domu Radkowi znów zrzędała mina. Drużynowy wysłuchał uważnie sprawozdania z wyprawy, uwiecznionym tak wspaniałym wynikiem, i nagle — zamiast pochwał na Radkową głowę posypały się pioruny, i to jakie! Radek ze zdumienia zapomniał języka w gębie.

Bo i któż by mógł przypuścić, że Stefan, spokojny, grzeczny Stefan, któremu jego wierna drużyna mawiała nieraz: „Słuchaj, Stefek, ty jesteś tak pozbawiony wad, że tego niepodobna czasem wytrzymać” — ten właśnie Stefan potrafi spojrzeć ostro i zbesztać bezwzględnyimi słowami. Zaskoczony Radek naprzód uczuł głęboki żal, iż nie doceniono jego dobrych chęci i wysiłków, ale stopniowo doszedł do wniosku, że trochę racji było w zarzutach mu stawianych. Trudno i darmo: rozkaz złamał bez koniecznej potrzeby, bo przecież mogli przyjść na „Zapomnianą Droge” nazajutrz z bronią, w większym towarzystwie i bez dziecka...

Z tym większą gorliwością rzucił się Radek w wir nowych prac, pragnąc zrehabilitować się w oczach gromady. Teraz już naradzał się z kolegami nie lekceważąc sobie ich zdania. W stosunkach jego z Jaśkiem także zaszły zmiany. Jasiek z posłusznego pomocnika stał się przyjaciелеm. Godzinami potrafili rozmawiać o przyszłości, o tym, że Radek zabierze Jaśka ze sobą do domu, jak obaj skończą politechnikę i potem będą pracować też razem. — ...Żeby chociaż jako mechanik... — kończył niezmiennie Jasiek obawiając się, iż wiele żąda od losu.

Co wieczór siadali obaj w świetlicy i Jasiek starannie zapępiał cyframi i literkami pozółkłe arkusze starych, poniemieckich druków.

Roboty znów było sporo. Auto rozebrał Radek tak dokładnie, że Tomek powątpiewał, „czy biedny Ford zdoła się pozbierać...” W głębi serca Stefan ukrywał te same wątpliwości...

Nie doceniano talentów Radka. Po dokładnym przejrzeniu i oczyszczeniu wszystkich części Radek z Jaśkiem złożyli samochód na nowo.

Wszyscy mieszkańcy szybowiska wybiegli na szczyt, aby dopomóc przy rolowaniu niesfornej maszyny. Nawet Małgosia uniosła się na tapczanie i wyglądała oknem, Antkowa zaś wybiegła na ganek. Antkowa nie mogła odżałować, że okna kuchni wychodziły na południe, a to, co się działo na szczycie, można było oglądać z pokoi zwróconych na północ. Toteż obierała kartofle zazwyczaj przed domem lub wyczierała oknem co pewien czas, zabierając głos w tych sprawach, które — jak sądziła — do niej właśnie należały.

Radek, trochę niespokojny, władował się wreszcie do szoferki i nacisnął starter. Ku zdumieniu wszystkich motor zagrał równo jak nigdy przedtem. Chłopcy rozstąpili się z szunckiem i stary grat, który zapewne przeżywał swoją drugą młodość, pomknął żwawo dokoła szczytu.

— Ruszył z kopyta!

— Samoradek, hura! W górę go!

— I Jaśka! To też magik! — krzyczeli rozochoceni chłopcy, a Tomek pędził za samochodem starając się wskoczyć na stopień szoferki.

— Klasa samochód. Mucha nie siada — rzekł Radek zatrzymując się przed Stefanem po paru okrążeniach.

— A jak stoimy z benzyną? — pytał Stefan. — Maciek powiada, że jeden ze Ślązaków obiecywał dać żywność w zamian za wynajęcie auta.

— Mamy dość benzyny. Jasiek znalazł całą bańkę w piwnicy.

— Więc jedźcie do tego Ślązaka i pogadajcie z nim.

Ślązak nazywał się Meryk i mieszkał we wsi Maczki.

Podczas działań wojennych spaliła mu się stodoła i teraz chciał ją szybko odbudować. W zamian za przywiezienie potrzebnego materiału dawał dwadzieścia kilogramów pęcaku i

żywą kożę.

Ubito interes, pocziwy Ford spełnił zadanie. Nie wpłynęło to jednak wcale na rozmowność Meryka. Zagadywania Maćka i Radka zbywał półsłówkami. Dał im pęcaku, obiecał, że kożę sprowadzi od matki, z sąsiedniej wsi — i na tym skończyła się znajomość. Zbity nieco z tropu, Radek pojechał do miasteczka po papę przydzieloną im przez pełnomocnika rządu. Nazajutrz obaj z Jaśkiem siedzieli na dachu hangaru, a Maciej z Adamem podawali im z dołu papę i narzędzia.

— Ej, źle podajecie! — krzyknął Radek. — Po co się męczyć?

— Wytrzymamy! — zawołał z dołu Maciek.

— Nie o to chodzi, żebyś harował jak wół, tylko o to, żeby robota była wykonana jak najlepiej i jak najszybciej przy najmniejszym zmęczeniu — pouczył go Radek. — Zaraz ci pokażę dobry sposób.

Adam widział nad sobą błękit nieba, czarne, aż granatowe włosy Radka, połyskujące w słońcu, i brązowe, silne jego ramiona.

— Samoradek — powiedział wesoło — ciekawym, jaką nową robotę obmyślisz teraz dla nas. Jesteś potężniejszy od Salomona, bo i on nie umiałby nalać z próżnego.

— Józek wraca, będziemy latać — odparł Radek bez chwili wahania.

— Na czymże to chcesz latać?

— Zmontujemy najpierw dwa szybowce, które są w hangarze, a potem dostaniemy się do kryjówek.

Mijały jednak dni. Józek nie wracał. Radek nie zawsze już umiał znaleźć coś nowego do roboty. Coraz więcej mieli czasu obaj z Jaśkiem na lekcje, do których wciągnęli polonistę Maćka. Coraz częściej zbierali się w pokoju Małgosi, aby rozmawiać albo posłuchać deklamacji Macieja.

— Czarowniku — mówili o nim. — Czarowniku Maćku, chodź, poczaruj znów... — Nawet Radek prosił go o wiersze, chociaż powiadał, że dopiero prawdziwy poeta przyszłości zrozumie piękno szybowców w locie, piękno ich celowych kształtów, wyprowadzonych rękoma mistrzów zgodnie z prawami natury, zrozumie wymowę huku maszyn i wyśpiewa piękno codziennej pracy...

Któregoś dnia Stefan wybrał się samochodem do miasta zabierając ze sobą Krzysia. Reszta mieszkańców siedziała u Małgorzatki.

— Antkowo — rzekła dziewczynka — proszę nam opowiedzieć o swojej wsi. Czy ładnie tam?

— Jo tam nie umie opowiadać — zadumała się Antkowa. — Ale mnie nieroz, jak pomyśle o Karciskach, tak coś koło dołka ścisko, ze oj! Tak, były casy, były. Najlepi, jak człowiek młody. Pamientum, jak byłam pannu, to chłopakum z nasy wsi to śpiewaliśmy tak:

*...chustecka w kieseni trzy lala nie prano,
i to nie jest jego, tylko pozycano. Oj dana.
Kapelus na głowie od wielgiego świenta,
co dziadek, pradziadek pasoł w nim cielenta.
Oj dana...*

Oj, złościły się, złościły o to chłopoki. Odśpiewywały num na złość, ze „w Karciskach panna płace, bo ju nie chce nicht”. Ale to nieprawda, bo karcmiscanki miały wzieniec i jak przysły chłopoki z Głuska, to nase ich przependzały i dogadywały im od „głuskich otrymbów”, bo tyz to głuscoki nie umiały mówić i na otremby mówiły „otrymby”. Za to głuscoki nazywały nos „karcmiskie bobry” *, a to dlatego, ze u nos duzo bobru się je.

* Bóbr — bób.

Słoćwioki — to były porzundne chłopoki, ale i jem bez zazdrość nase dokucały. Pół Słotwin downi nalezoło do ślachty, a pół do chłopów, to zawse na nich wołały: „słoćwińska ślachta, worek i płachta!”

Na Jendrzeja tośmy se wróżyły. Jak mój but pirsy za drzwi wylecioł, to zaroz na świentego Scepana było moje wesele.

A w noc Trzech Króli całe gromady przylatywały pod okna i krzycały:

*...kościę śpiwoć,kościę,
kościę śpiwoć,kościę...*

Az do uprzykrzenia. Mówiło sie: A śpiwojcie!

Uny zacynały:

*Piecune tu scodroki, powiadaju chłopoki,
piecune tu z psenice, powiadaju dziewcyce,
piecune tu scodroki, powiadaju num,
piękna pani, miło pani, daj ze i num daj.*

*Scodry dzień, dobry dzień,
dajcież scodrocka na tydzień.
Tegośmy rocku cekali,
byście scodroku dawali...*

No i trzeba jem było coś wynieść albo po scodroku, albo po kawałeczku placka. A nic jem nie dać, to odśpiewa ju tak, ze cłowiekowi w pienty pójdzie...

Oj, najładniejse to su na świecie Karcemiska, ale nie wrócę juz tam, nie. Dziadówku nie bede, a tu jestem potrzebno, roboty tu dość. Ale co tam — przerwała sobie nagle — lepi, Maciek, powiedz ty swoje wierse...

W pokoju zaszumiało jak w ulu.

— Maciej, coś z „Pana Tadeusza” — poprosiła Małgosia.

— „Paweł i Gaweł w jednym stali domu”! — krzyczał Tomek.

Przez otwarte okna widać było różaną koronę jabłoni, wtopioną w błękit nieba, i dach hangaru, na którego szczycie przelamany w połowie zwisał pasiasty „rękaw”. Naraz „rękaw” wypełnił się powietrzem, obrócił się — wiatr zmienił kierunek i przybrał na sile.

Za oknami rozległ się warkot samochodu. Kierowca zatrąbił hałaśliwie. Tomek już siedział w oknie.

— Józek wrócił! — wrzasnął zsuwając się na podwórko. — Józek!!!

Przed gankiem stał samochód. Tomek otworzył klapę, aby pomóc Józkowi wysiąść. Nieoczekiwanie zderzył się z białą kozą, która przewróciwszy chłopca przespacerowała się na dwu nogach aż pod jabłoń, płosząc kurę. Kokoszka wyleciała na poręcz ganku i zaniósła się pełnym oburzenia gdakaniem.

— Halo! — wołał Stefan z szoferki. — Zabierzcie worek z kaszą. Dostaliśmy nareszcie swój przydział! A to koza od Meryka!

Z głośnym „hura” runął do auta Maciek, za nim Adam, Jasiiek wsuwał z boku kono-piastą czuprynę.

Tomek siedział już okrakiem na worku i rozsypywał węzeł.

— Pęcak — stwierdził z rozczarowaniem — znów pęcak!

— Idę do was — wołała z okna Małgorzatka — już dłużej nie utrzymacie mnie na tym wyrku!

Wysła na ganek, za nią statecznie przystanęła Antkowa przyglądając się z nie ukrywa-

na radością kozie i pęcakowi w okazałym worku. Pęcak, nie pęcak — mniejsza. Głód już nie zagrażał Górze Czterech Wiatrów.

Radek widząc, że jego pomoc przy dźwiganiu worka jest niepotrzebna, rzucił się do Józka.

— Będziemy latać, prawda? Zrobisz z nami kurs, Józek?!

Brzmiało to jak prośba, błaganie, ale Józek przecząco potrząsnął głową.

— Nie mam prawa na przeprowadzenie kursu, nie jestem instruktorem. Zmontujemy szybowce, nawet mogę je oblatać. A potem... pójdę swoją drogą.

— Józek, ty żartujesz! — zawołał na to Radek ze zgrozą. — Powiedz, że tylko żartujesz! Przecież my musimy latać! I przecież wszystko do lotu przygotowaliśmy. Józek!

Lekki skurcz przebiegł po twarzy Józka.

„Józek nie poprowadzi kursu — myślał Adam patrząc na niego. — Porzucą szybowisko, choć sam cierpi nad tym. Czas i na mnie”.

Z niecierpliwością czekał Adam na tę chwilę, kiedy uwolniony od obowiązków, wyruszy nareszcie w daleki świat. Czemuż teraz nie czuje radości? Skąd ten dojmujący żal za tym, co odchodziło od niego na zawsze, za tym, co się nie stało.

A Józek rzekł:

— Naprawdę mi bardzo przykro, że muszę wam sprawić tak wielki zawód. Będziecie latać jeszcze w tym roku z prawdziwym instruktorem.

Nie wierzył własnym słowom. Długo jeszcze będą czekały na lot szybowce, a wiatr na próżno będzie wydymał na hangarze pasiasty „rękaw”.

ROZDZIAŁ ÓSMY POŻAR

Drzwi do hangaru szeroko otwarto. W mrocznej wgłębi panował ruch.

— Po skrzydle, po skrzydle... — rozlegał się głos Józka — uwaga! Tomek, za stery łąpać nie wolno! Coś jasnego błysnęło w ciemnym wnętrzu i z hangaru wychyliło się skrzydło. Józek wycofywał się tyłem, dając wskazówki. Po raz pierwszy wynoszono szybowiec na start.

— Spokojniej, spokojniej, powoli, pożaru nie ma!

Szybowiec wynurzył się cały z hangaru i pełził powoli naprzód.

— Szkoda, że wózka nie mamy — rzekł Józek — mili moi, nieście go na dół. Wiatr wieje ze wschodu, więc na wschodnie zboczce. Szkoda mi was!

Na twarzach „pokrzywdzonych” przez los chłopców widniał jednak tylko zapal.

Jaś niósł maszynę razem ze wszystkimi. Nie rozumiał jeszcze, po co właściwie taszczył szybowiec na rękach. Mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów często postępowali niezrozumiale, ale czuł się z nimi dobrze. Cieszył się każdą chwilką na szybowisku. Pociągała go nigdy nie zaznana wspólnota. Od razu włączył się w rytm ich życia. I teraz wołał co sił w płucach: „Le — wano — gana — przód” z radością, która aż dzwoniła w uszach i przyśpieszała bieg krwi.

Z góry schodzili już w milczeniu. Od czasu do czasu padała uwaga Józka lub lotne słówko któregoś z chłopców czy też Małgosi, która szła obok z zaczepem w rękę. Ale nawet milczeć razem z nimi było przyjemnie. Jasiak nie chciał wracać do ciemnej nory, gdzie gospodarzyła wiedźma, głucha na wszystko prócz szelestu banknotów, gdzie wpadał Szefer z przekleństwami i groźbami, gdzie wiecznie strumieniami lała się wódka.

Po nauce, jaką otrzymał Pajac od Macieja, bandyci jakoś przycichli, stali się niewido-

czni. Może SzeF zrezygnował ze skarbów zaminowanej kryjówki? A jeśli nie? Jaśka ogarniał paniczny strach. Znów zaczną się pogrożki. Nie usłuchać Szefa nie można... zemści się na szybowisku i na Jaśku. A usłuchać? Nie, Jasiek nie potrafi okłamywać tych, którzy mu tak ufają. Więc może powiedzieć, powiedzieć o wszystkim Stefanowi, który mówi do Jaśka jak do przyjaciela. Jego słowa wpadają głęboko do serca, chociaż nieraz są niezrozumiałe jak te piękne wiersze, które deklamuje Maciek. Co znaczą, nie zawsze wiadomo, ale chciałoby się słuchać i czuć w sercu świąteczną ciszę, a czasem i ból, ale ból miły sercu...

Więc może zwierzyć się Stefanowi, że zna drogę do zaminowanych szybowców, że SzeF uważa kryjówkę za swoją własność i żąda od Jaśka wyniesienia stamtąd benzyny, motorów i wszystkich cenniejszych rzeczy? Może poprosić o radę? Może umiałby ją znaleźć Radek, który na wszystko zna „sposoby”? Radek, najbliższy sercu przyjaciel.

Może opowiedzieć im i zostać z nimi, i robić to, co oni, chociaż to jest nieraz głupie, a nigdy nie przynosi pieniędzy.

Ale jeśli tak postąpi — Stefan nie odda Szefowi benzyny, a SzeF wypełni swoją groźbę, spali szybowisko... I co będzie wtedy...

Było ślisko. Chłopcy upominali jeden drugiego, żeby się nie przewracać. Jasiek nie słyszał tych żartów i przekomarzań. Dopiero Józkowe „dość!” obudziło go z zamyślenia.

Adam z rozmachem wbijał kołek w ziemię. Z góry Antkowa z Tomkiem niesli linę. Krzys i Maciej biegli pod górę, aby im dopomóc. Koza widocznie urwała się, bo także szła ze wszystkimi, wlokąc za sobą kołek na sznurku.

Józek podniósł garść suchej ziemi z kopczyka wrytego przez kreta i rzucił w górę. Ciemna smuga rozszczepiła się w kierunku stoku i spadła wachlarzem na trawę. Wiatr nie zmienił kierunku — można było startować.

Józek usiadł na siodełku. Małgosia podała mu pasy. Chwilę biedzili się nad zapięciem.

— Inne niż u Wrony — mrucał Józek. Wszystko mu się w tej niemieckiej, ciężkiej maszynie nie podobało. Nie dlatego nawet, że było złe, ale inne niż w lżejszych, zgrabnych Wronach, Żabach, CW-Jotkach.

Wreszcie klamra ustąpiła posłusznie. Pas był zapięty, Małgosia cofnęła się do tyłu i usiadła przy ogonie. Józek ogarnął wzrokiem start. Stefan trzymał skrzydło równo. Chłopcy ustawili się pod właściwym kątem. Tomek ciekawie zaglądał z boku, ciągnąc kozę za sznurerek.

— Tomek, zejdz z drogi. Czy chcesz, żebyśmy wylądował na kozie?

Chłopiec odskoczył zawstydzony. Ta nieznośna koza zawsze musiała się wiercić.

— Ogon gotów? — krzyknął Józek,

— Gotów — odparła dziewczynka czuwająca w skupieniu.

— Liny gotowe?

— Gotowe.

Przed Józkiem zieleniły się pola. Za płotem domu Niemca Klosska mignęła ruda czupryna. Chłopiec wychylił się zza płotu i patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma — jak urzeczony.

„Ten młody Niemiec pewnie też chce latać” — przemknęło przez głowę pilota.

— Hanek! Haaneek! — rozległo się wołanie z domku.

Ognista głowa znikła jak zdmuchnięty płomień.

— Naciągaaaj! — krzyknął Józek.

Chłopcy ruszyli z miejsca odrobinę za szybko.

— Biegieem! — i nagle w sercu Józka obudziła się dawno zapomniana radość. Straszliwie zmora obozu pozostała gdzieś daleko poza nim. Rozproszyła się, znikła, w tym jednym okrzyku, który go odrywał od ziemi: — „puść!”

Cicho szcęknął pociągnięty silnie zaczep, znane szarpnięcie odrzuciło głowę w tył. Doznał uczucia lekkości. Odepchnął delikatnie drążek od siebie. Maszyna nie usłuchała.

Jeszcze mocniej. Wyrównała leniwie, bez pośpiechu.

„Słoń, nie szybowiec!” — przemknęło przez głowę. Linki gwizdały głośno. Pomyślał, że nadał maszynie zbyt dużą szybkość, cofnął więc drążek, zwłaszcza że ziemia ścieliła się pod nogami. I naraz, nieoczekiwanie stał się ciężki jak kamień, poczuł, że spada.

Na starcie wszyscy śledzili lot z zapartym oddechem. Szybowiec leciał dość wysoko, potem obniżył lot i — skrzydła oderwały się od kratownicy, błysnęły w powietrzu. Józek ciężko spadł na ziemię.

Zanim dobiegli do niego — już wstał i przyglądał się połamanej maszynie.

— Do licha, a jednak źle przymocowaliśmy te skrzydła — powiedział do Radka.

— Ręka? — spytał Stefan niespokojnie. — Czy nie złamałeś ręki?

— Ręka? Nic. Płoza pękła. Mój instruktor w Stokłosach mówił zawsze, że przy kraksie coś musi „puścić” w zetknięciu z ziemią. Tym razem płoza „puściła”. Ale i w płótnie dziura. Skrzydło do niczego. Szkoda.

— Zakleimy — pocieszał go Radek. — Znalazłem klej, dobry, stolarski klej!

Józek uśmiechnął się.

— Stolarski klej nam nie pomoże. Potrzebny jest certus. No, bracia, bierzcie tego kalekę do domu. Szkoda szybowca.

— Grunt, żeś sobie ręki nie złamał — powiedział Stefan.

— Pewnie — wtrącił Tomek — maszyna jest jeszcze druga, a instruktor tylko jeden.

— A gdyby było odwrotnie, to co byś wołał? — spytał Radek i zanucił: — *Dzięki Ci, Boże, żeśmy...*

A chór głosów dodał:

— *...bałwaaanyyy.*

— Jazda na górę. Razem! — I z wesołym śmiechem pochwycili okaleczony szybowiec.

Jasiek szedł przy boku Radka. Jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego poważną rozmowę przerywano nieraz śmiechem, zgodnym, chóralnym, który porywał go i kazał śmiać się razem z nimi, lub śpiewką, która bywała odpowiedzią, uwagą, nauką, mogła wyrażać radość, smutek... i naganę.

Śmieli się, a przecież Jasiek dobrze wiedział, jak martwiła ich utrata szybowca. Mógłby ich przeprowadzić do kryjówki, mógł dać im szybowce — jak niegdyś benzynę... Ale pomiędzy nim a chłopcami stał straszliwy Szeff, który wypełniał zawsze swe groźby i obietnice. Groźby — z zamiłowaniem, obietnice — z przymusu, ze strachu przed zemstą współników...

Wieczorem zebrali się wszyscy dokoła płonącego kominka. Brakowało tylko Adama, który pozostał na warcie. Krzyś namyślał się właśnie, jaką piosenkę mają zaśpiewać, kiedy Adam gwałtownie zastukał w okno.

— Pożar — posłyszeli jego głos — pożar we wsi!

— Druhu, czy mogę zapuścić motor? — pytał Radek już w drzwiach.

— Tak. Maciek, liny z hangaru! Krzyś, wiadra z kuchni! Małgorzato, zostaniesz z Antkową i Tomkiem! Józek, daj jej rewolwer!

Pocziwy samochód warczał na podwórku, chłopcy wskakiwali z pośpiechem do środka, a Małgosia z Antkową podawały im liny i wiadra.

We wsi panował popłoch. Ludzie tłoczyli się bezradnie. Jedni wynosili rzeczy z własnych chałup i rzucali je na ulicy w bezładne stosy, inni kręcili się w kółko popychając siebie nawzajem i złorzecząc. Baby zawodziły. Psy wyły.

Józek poznał od razu dom, z którego okien rwał się z żarliwą niecierpliwością pomarańczowy płomień. Otaczały go niebieskie sztachetki, teraz wyłamane przez napierający tłum. Paliła się melina „Szefa-felczera”.

— Ludzie! — krzyczał Stefan donośnie. — Ludzie, do pomocy! Ratujmy wieś! Wiadra dawajcie z chałup! Gdzie studnia?! Prędeż!

Ktoś usłużny wskazywał pompę, mieszkańcy najbliższych domów biegli po wiadra, w

oczach wszystkich zjawił się błysk nadziei. A Stefan ustawiał dwa szeregi ludzi od pompy do płonącego domu.

— Wy dajecie pełne wiadra — tłumaczył — a wy zabieracie z powrotem puste. Trzeba je przerzucić prędko, ale pełnych nie rozlewać, a pustych nie upuszczać na ziemię. Radek! Pilnuj tu porządku!

Adam z Maciejem kierowali zespołem, który polewał płonący dom. Józek z Jaśkiem zabezpieczali sąsiednie chałupy. Przy stosach rzeczy ustawiono strażę. Stefan był wszędzie. Pomagał. Doradzał. Rozkazywał. Nawet niechętni ani się spostrzegli, kiedy zostali wciągnięci do akcji ratunkowej przez energicznego dowódcę.

Dokoła pożaru na czerwonym od ognia podwórku utworzył się pusty plac, po którym krążyli tylko ratujący. Wzdłuż szeregu mężczyzn migały pełne i puste wiadra.

— Czemu ten pies tak się rwie? — spytał Stefan żółtowołosego młodzieńca, który stał z boku, trzymając na smyczy olbrzymiego, białego psa. Młodzieniec wyplunął z ust pestkę.

— Małe ma w budzie, a buda przy ogniu została. Pewnie się upieką — odpowiedział bez pośpiechu, uśmiechając się głupawo.

Płomienie objęły już sionkę domu. Czerwona od blasku ognia buda, stojąca przy wejściu, zaczynała się tlić. Nad daszkiem ukazał się dym. Stefan skoczył pod dom. Szarpnął budę. Była ciężka i gorąca. Z wnętrza wysuwały się małe, okrągłe główki i cofały się trwożnie przed płomieniem. Psiaki piszczały rozpaczliwie. Stefan spróbował jeszcze raz. Ogień huczał nad nim, żar parzył w plecy. Już chciał wyjmować psiaki pozostawiając budę, kiedy czyjeś silne ręce podparły ją z drugiej strony. Rozległ się trzask i gwóźdź, którym ktoś przybił budę do sionki, ustąpił.

— Stefan! — krzyknął Adam głośno. — Jasiek! Ubranie na was się tli! Wody! — i zimny strumień oblał Jaśka i Stefana od stóp do głów. Otrząsając się z mokrej kąpieli postawili budę na ziemi, spoglądając na siebie roześmianymi oczyma. Pod ich nogami coś przemknęło jak biała kula. Witana szczęśliwym piskiem przez psiaki, matka wynosiła je w zębach z rozpalonej budy i kładła ostrożnie, z tkliwością na trawie.

Wiatr wzmagął się, dał w płomień, który wznosił się z obu stron nad dachem, łączył w jedno oba purpurowe ramiona chichocząc z uciechy nad bezsilnością człowieka.

— Odstąpić od domu! — krzyczał Stefan. — Już nie uratujemy go! Wszyscy do zabezpieczenia reszty wsi!

— A czemuż to nnie? — zaprotestował pijany jegomość, w którym Stefan poznał Buldoga. — Nie zgadzam się. Protestuję!!! Cóż to z za porządki, jedną ratować, a drugiej nnie. Moja chałupa musi być też cała. Jest ratowanie albo go nnie ma.

— Z drogi! — krzyknął groźnie Stefan. — Odsuń się pan zaraz. No, słyszy pan!

Pijany odstąpił o krok, a właściwie odciągnęła go i rozczochrana, podobna do wiedźmy kobieta.

— Idź ty, pijanico — zaszepotała ze wściekłością. — Wódki się wam zachciało! Chałupę spalili. Tyle rzeczy przepadło. Pilnuj teraz reszty, żeby nie rozkradli. Prędszej, pókim dobra! — i pchnęła go silnie w plecy.

Gdzieś blisko zawyły syreny. Na ciemnej drodze oświetlonej tylko pełgającą luną pożaru zatrzymały się dwa auta, z których wyskoczyli z pośpiechem wojskowi.

— Kto jest dowódcą akcji ratunkowej? — pytał głośno oficer.

Milicjant, który widocznie przybył razem z wojskowymi, zatrzymał się przy stosie rzeczy leżących przy złamanym płocie. Obok pierzyn tłoczyły się w nieładzie: maszyny do pisania, poduszki, porcelana, futra, a pomiędzy tym wszystkim wiła się rozkręcona lina startowa.

— Czyje to są rzeczy? — pytał milicjant spoglądając surowo na Buldoga i jego towarzyszkę. — Pani czy pana? Skąd to wszystko macie?

— W spadku po dobrym dziadku! — krzyknęła urągliwie kobieta, ale trącona przez

Buldog, skurczyła się i zaczęła jęczeć żałośnie jak żebraczka:

— Szwabymnie ograbiły, na roboty zabrały. Bosa wracam i obdarta, tyle tylko mogłam kupić za to, cośmy się natyrali przez pięć lat u bauera. Wszystko, co mam, ludziska z litości dali — leży, ponieważ się nie dopalone.

Milicjant zerknął na nią i pochylił się nad stosem. Buldog z niepokojem śledził jego ruchy i wyraz młodzieńczej twarzy. Wreszcie zdecydował się:

— Władzuchno! — szepnął mrugając okiem porozumiewawczo — panie władzo, przecież z n a s z s i ę n a r z e c z y! — i pokazał mu palcami, że liczy pieniądze.

— Znam się — odparł na to milicjant. — Znam się dobrze: będziesz siedział. Na Skowrońskiego trafiłeś, lebiego!

Przy pompie już kręcili się wojskowi, a z nimi Stefan i Radek. I nagle z węża trzymanego silnymi rękoma trysnął szeroki strumień wody i mieniając się purpurowo i srebrno zatoczył szerokie koło oblewając sąsiednie chałupy. Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi mieszkańców wsi. Byli uratowani.

Jasiek wrócił do chałup, których miał pilnować, ale tam stali już wojskowi. W progu babina modliła się głośno i błogosławiła ratujących. Do piersi przyciskała jak najcenniejszą rzecz — stary, nie wiedzieć z jakiego strychu wydobyty — parasol.

Jasiek odszedł do następnego zabudowania. Kiedy zanurzył się w smudze, cienia, leżącej pomiędzy domami, czyjaś ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu.

— Jesteś, draniu. Mam ciebie — posłyszał głos Szefa.

Mimowolny okrzyk wyrwał mu się z gardła.

— Milcz! — syknął Szef. — I słuchaj!

Jaś pochylił głowę. Szef obezwładniał go zawsze i teraz jedynym uczuciem, jakiego doznawał, był przeraźliwy, mroźny lęk. A Szef przysuwając swoją straszną twarz do jego ucha, szeptał dobitnie, gniewnie:

— Jutro jadziem. Wszyscy. Wóz mamy, benzynę ty wyniesiesz z szopy. Kapujesz, rano, kiedy te chłopaki jeszcze będą spały, pryśniesz im do tego pola. My zaczekamy na szosie, a może Buldog i ten jego drugi koleżka polecą z tobą. No i szlus. Jazda. Wszyscy zmieścimy się na samochodzie. Tu zostać nie możemy — dodał — milicjant już coś przewąchał, depce koło rzeczy.

— Szefie — wyjąkał Jasiek — ja... zostanę...

Szef spojrział na niego ze wściekłością, żelazna ręka wpiła się mocno w ramię. Miał już coś powiedzieć, ale się opamiętał, ręka rozluźniła chwyt. Odezwał się niespodziewanie łagodnie:

— To nie jadz. O jednego darmozjada będzie mniej. Ale benzynę wynieś musowo — głos znów był nabrzmiąły pogróżkami — a nie: to cała twoja góra z dymem pójdzie ze wszystkimi chłopakami! Na wiatr nie mówię. Ty mnie znasz. Wstaniesz jutro rano?

— Wstanę.

— Wyniesiesz benzynę?

— Wyniosę — jak echo odpowiedział Jaś.

W tej chwili ogień buchnął wysoko tysiącem iskier i dach nad domem Felczera zapadł się. Ku niebu sterczały tylko kominy poczerńiałe, ale żarzące się jeszcze za każdym podmuchem wiatru.

— O — mruknął Szef ze wściekłością — ten Skowrońszczak stoi przy rzeczach. I twoje chłopaki przy nim, do wszystkiego muszą się wtrącić. Liny ciągną jak swoje... Pamiętaj. Jutro czekamy na tej szosie przy górze! — i jak złowrogi cień znikł pomiędzy domami.

Niebo już bladeło, kiedy wrócili na szybowisko.

Tomek drzemał w korytarzyku, gdzie usiadł pod drzwiami, aby czuwać. Małgosia równym krokiem chodziła po szczycie z rewolwerem w rękę, a za nią Antkowa. Obie zatrzymywały się od czasu do czasu przy północnym zboczcu i patrzyły na lunę, która malała,

kurczyła się, aż przygasła. Potem posłyszały daleki turkot samochodu. Ratownicy wracali do domu.

— Swoi? — pytała wesoło Małgosia błyskając latarką.

— Swoi! — odkrzyknęli wyskakując z auta.

— Czy wiecie, że szabrownicy ulotnili się jak kamfora — opowiadał Stefan. — Milicjant Skowroński nie może odżalować, iż dał się wywieść w pole.

— Sprzęt lotniczy pozostał — rzekł Adam — to grunt. Podobno Skowroński chce nam go zwrócić. Czy to prawda?

— Prawda — i Stefan zrównał się z Adamem — a jednak troszczysz się o szybowisko — powiedział zniżając głos. — I o nas także. Uratowałeś mnie i Jaśka od poparzenia. Czemu chcesz od nas odejść? Czy ci źle z nami?

— Czemu? — powtórzył Adam. — Nie mam tu nikogo. A tam są moi koledzy i dowódca.

— Czy naprawdę dlatego? — spytał Stefan. — Jeśli nie chcesz zresztą, nie mów nic.

— Pogadamy kiedyś — mruknął Adam i zamilkł.

Jasiek włókł się za wszystkimi ze spuszczoną głową.

„Ukradnę po raz pierwszy i ostatni — powtarzał sobie — i tylko benzynę. Zostanę z nimi, zostanę na zawsze i nigdy już niczego nikomu nie wezmę. Nigdy. Nigdy”.

Nie uspokajały go jednak te myśli. Nie wiedział, czy będzie mógł spojrzeć prosto w przyjazne oczy Stefana, czy potrafi powiedzieć Radkowi: bracie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ...

Świt rozjaśnił nieprzeniknioną ciemność nocy. Gdzieś obudził się pierwszy ptak i ćwierknął donośnie. Jak echo odpowiedział mu świergot ptasich głosów. Znów głośnie ćwierkanie, a chór odpowiadał, jakby odmawiał poranną, ptasią litanię.

Jeszcze nie widać słońca, a już rozproszył się słoneczny pył na pobladłym błękanie. Obłoki na wschodzie stały się koralowe. Wśród puszystych pasem fioletu, który cofał się od wschodu wraz ze znikającą nocą — prześwitywał głęboki błękit jak wody jezior w pogodny dzień. Naraz barwy zamazały się, zlały w perłowomleczną gęstwę, rozbitą jak piana po całym niebie. Nad zaróżowionymi wierzchołkami dalekich lasów błysnął czerwony rąbek. Słońce wytoczyło się jak lśniący dukat, rozgorzało w szybach otwartych okien białego domu, zajrzało w zmęczone oczy wartownika.

Mgły gęstymi falami ścieliły się po dolinie aż do stóp jasnozielonego stożka Góry Świętej Anny. Bociany obudziły się i klekotały w swoim gnieździe na czerwonym dachu domu Kłaka. Z komina u Klossków uniósł się pionowo w górę siwy słup dymu. To cieniem, to bielą błyskały gołębie zataczając koła na błękanie. Wysoko na niebie ze świergotaniem krążyły jaskółki, a ich skrzydła były odgięte do tyłu — niby ostrza strzały.

Wstawał pogodny dzień.

Adam oparł się o jabłoń. Nareszcie mógł bodaj na chwilę przymknąć powieki. Po ugaszeniu pożaru nie usnęli już obaj ze Stefanem.

Próbował mu wyjaśnić, czemu odchodzi. Nie było to rzeczą łatwą. Sam dobrze siebie nie rozumiał. Czuł, że się coś w nim skończyło. Chciał oderwać się od wspomnień. Zacząć żyć na nowo. Zobaczyć świat. Góra Czterech Wiatrów stanowiła tymczasowe schronienie dla nich wszystkich. Każdy stąd wracał do swego życia. A dokąd miał iść chłopiec z lasu, który

nie miał ani domu, ani rodziny, któremu wojna zabrała możliwość kształcenia się, uczyniła go obcym wszystkiemu i niemal wszystkiemu.

Stefan powiada: „Będziesz się uczył. Musisz się uczyć”. Prawda. Ale jak tu iść do gimnazjum mając lat dziewiętnaście, jak tu zająć miejsce obok dzieci...

Dziewiętnaście lat... i czy naprawdę ma dziewiętnaście, czyż to możliwe, że przeżył tyle mając tylko dziewiętnaście lat!

„Mam pewnie sto lat — myślał sennie — i nic na świecie nie zdoła mnie już ucieszyć”.

Usypiał, pomimo to słyszał wszystko: świergot ptasich głosów nad głową i dalekie nawoływania z domu Klosska: Hanek, Haaanek! Pójdź ku domowi!

Do tych dźwięków wplątały się jakieś obce, głośnie, coraz bliższe. Ktoś szedł. Adam otworzył oczy. Przy oświetlonej słońcem ścianie hangaru, na zakręcie zwanym przez Tomka „Zakrętem Niespodzianek” — stał żołnierz.

„Wojsko chce zająć dom — pomyślał Adam z niechęcią — a może przemarsz oddziałów?”

Żołnierz był jednak sam. Szedł oglądając się niepewnie. Miał mocno ogorzałą twarz, której brąz rzucał się w oczy tym bardziej, że jego głowę owijał czysty bandaż. Na ramieniu niósł kij, długi jak u szczotki do froterowania podłogi, ale zakończony półkoliście. W ręku trzymał dość dużą torbę. Już zauważył Adama i zawrócił ku niemu, uśmiechając się jak do znajomego.

— Nie śpicie — pytał — po takiej nocy? A ja myślałem, że was obudzę. To wy pożar gasiliście?

— Tak — burknął Adam nie rozumiejąc, czego właściwie chce od niego ten żołnierz — a pan tu kogo szuka?

— A nic... widziałem wczoraj, jak ogień gasiliście... a dowódca mówił, że wam miniera potrzeba... To ja przyszedłem, bo do roboty jeszcze nie chodzę, ranny byłem — tu dotknął mimo woli ręką bandaża. — Chcecie, to wam teren rozminuję...

Na górze stuknęło okno.

— Adam — spytała Małgosia — co się tam dzieje?

— Pan minier przyszedł do nas, chce nam teren rozminować.

— Niemożliwe! — zawołała dziewczynka wychylając się. — Sam przyszedł? Strasznie panu dziękujemy!

Patrzyli w górę na jej zaróżowioną ze snu twarzyczkę i błyszczące radością oczy. Minier rozpromienił się.

— A nie trzeba dziękować. Latanie ważna rzecz, a bez maszyn latać nie będziecie.

— Pan ranny — zaniepokoiła się Małgosia — czy pan sobie nie zaszkodzi?

— Dłużej kwękacza jak krzykacza — odparł na to minier — nic mi nie będzie. Jeszcze Bielawski doczeka końca wojny, choć minier i ranny nie raz.

— A niegłodny pan, panie Bielawski? — dopytywała się troskliwie. — Już nasza Antkowa gotuje kaszę.

— Dziękuję za wszystko. Pójdziemy sobie z kolegą pomaleńku do tego pola minowego. Kolega poprowadzi?

— Przyślę śniadanie przez Tomka — obiecywała Małgosia.

— Dziękuję — obejrzał się jeszcze raz minier i ruszył za Adamem.

Szybko minęli jabłoń i grządki, na których obok narcyzów wyrastały już nowe rośliny. Antkowa kpiła z chłopców, że posiali obok siebie marchew, cebulę i kwiaty, ale Radek wyjaśnił jej z pewną miną, że to jest właśnie najnowszy sposób siania tak, aby użyteczne znajdowało się obok pięknego. Antkowa spoglądała z niedowierzaniem, ale przestała dokucać.

Przy hangarze Adam skręcił w lewo, pomiędzy drzewa.

Zieleń rozszumiała się już, zjedrniała, rozgospodarowała się w lesie. Ledwie widoczne

prześwitywały gałęzie poprzez jasne jeszcze, ale już gęste liście. Las ściemniał nieco, stał się bardziej uroczystry i tajemniczy.

Schodzili wciąż niżej i niżej. Minier stawiał ciężkie kroki za bezszelestnie posuwającym się Adamem. Minęli zapomnianą drogę i zeszli do kotlinki, wypełnionej mrokiem, jakby w niej właśnie skupiły się wszystkie cienie drzew, spadające ukośnie z Góry Czterech Wiatrów. Dwa niewielkie leje ziały pustką rozdartej ziemi przed ścianą gęstych krzaków. Dalej wznosiło się sąsiednie wzgórze, a słońce nasycalo złocistym brązem proste, smukłe pnie świerków, rosnących na jego szczycie.

— To jest pole minowe — wskazał Adam — dwa leje pozostały po jednym wybuchu.

— Zabiło kogo?

— Nie. Ogłuszyło.

— Dwie miny były połączone drutem — wytłumaczył minier — ktoś o drut nogą zawadził, upadł wcześniej, niż miny wybuchły, i dlatego nie dostał odłamkiem.

— Pewnie tak — zgodził się Adam przypominając sobie opowiadanie Małgosi.

— A gdzie są szybowce?

— W szopie, za tymi krzakami. Teraz liście są gęste, więc jej nie widać.

Minier zmierzył wzrokiem odległość.

— Niewiele tego — powiedział po chwilowym namyśle — widać w pośpiechu zakładane, byle jak. Idźcie do swojej roboty, sam sobie poradzę. — I ruszył naprzód.

Nattle zaminowanego pola nikle wyglądała jego sylwetka. Wyciągnął przed siebie aparat zakończony półkolem i poruszał nim nad ziemią. Raz w prawo. Raz w lewo.

Adam zbiegł z górki i zrównał się z żołnierzem. Ten spojrzał bez zdziwienia.

— Pomóc chcesz? — spytał. — Chodź, zawsze we dwójkę raźniej. Umiesz rozmowywać? Nie. To ja ci pokażę. Nie taka znów trudna sztuka. Patrz — zdejmował z uszu słuchawki — włożysz to na głowę, a tym aparatem będziesz wodził nad samą ziemią. Kiedy postyszysz takie: tut, tuut, jak w słuchawce telefonicznej, stań i daj znać ręką. Zaraz podejść i wyszukam minę macką.

Adam wyciągnął rękę po aparat, ale w tejże chwili rozległ się gwizd. Z zacienionego miejsca, gdzie stała szopa, wyskoczył jasnowłosy chłopiec i biegł szybko w kierunku szosy trzymając w rękę jakąś bańkę. Już tylko kilka kroków dzieliło go od ściany drzew, kiedy zdumiony Adam krzyknął:

— J a s i e k, stój!

Jasiek zatrzymał się. Teraz cały chór głosów wywoływał jego imię. Z góry schodzili Stefan z Józkiem, Radek, Maciej i Tomek.

— Jaśku, czyś ty zwariował po minach latać!

— Jaśku, wróć!

— Musi ty wariat — naśladował Antkową Tomek.

Niewidoczni dla schodzących chłopców i Adama szabrownicy kiwali spoza drzew na Jaśka dając mu znaki, żeby uciekał do nich, ale on znieruchomiał z bańką benzyny w rękę, jak gdyby głosy przyjaciół przymurowały go do ziemi.

— Jasiek — ochrypłym głosem nawoływał Felczer — zdumiałeś ze strachu do reszty, czy co? Czego się boisz? Oni tu nie wejdą na te miny. Chodź, słyszysz czy nie?

Od strony szosy rozległ się znów natarczywy gwizd.

— Jasiek, do jasnej Anielki — ciskał się Felczer w bezsilnej złości — gwizdzą na nas, trzeba wiać. Pogoń idzie.

Zawarczał motor samochodu. Rozległo się żalodne wycie psa. Ktoś syknął: „cicho, sobako!” Uderzony pies zaskowytał, potem zawył jeszcze rozpaczliwiej.

Felczer nie czekał dłużej, skinął na towarzyszy i trzech bandyci klnąc przemknęli pomiędzy drzewami.

— Czy potrafisz wrócić do nas? — pytał z niepokojem Stefan. — Panie minierze, on się

tam dostał i nie może wyjść.

Jasiek czuł zamęt w głowie. Zawrócił i bezmyślnie zaczął iść do chłopaków. Warkot samochodu oddalał się. Cichło żałosne wycie psa. Szabrownicy odjeżdżali szukać innego miejsca, gdzie nie trafią na zorganizowany opór. Jasiek pozostał sam. Niczyj. Nie należał do uciekającej bandy, bo odszedł od niej dobrowolnie, a został wykluczony ze społeczności Góry Czterech Wiatrów, chociaż wyroku jeszcze nie posłyszał. Kradł przecież. Oszukiwał. A Stefan mówił mu: „Jeśli oszukasz nas, będziesz musiał odejść”. Wtedy wydawała mu się śmieszna taka groźba, ale dziś...

I jak wytłumaczyć kolegom, że miała to być jedyna jego kradzież, że kradnąc pragnął ocalić ich przed niebezpieczeństwem. Czy mu uwierzą, czy zrozumieją?

Nogi Jaśka stały się ciężkie jak ołów, szedł ze spuszczoną głową jak na ścięciu. Z trudem tylko skupiał uwagę wyszukując znaną ścieżkę wśród min. Oto kończyło się wszystko. Za chwilę dowiedzą się, kogo przyjeśli z zaufaniem i dobrym słowem: złodzieja, szabrownika...

— Po coś tam wlaź? — surowo pytał Stefan.

— Głupiś, Jasiek — dodawał Radek — kto lata z benzyną po minach!

— Nie gniewajcie się na niego. On tu kogoś przepłoszył — bronił Adam — słyszałem gwizdy, wołania i auto odjechało. Jeszcze słychać, jak pies wyje. Spłoszyłeś bandytów, prawda, i zabrałeś im benzynę?

Jasiek przecząco potrząsnął głową. Nie chciał kłamać, choć łatwe kłamstwo podsuwano mu serdecznie, szczerze. Jak przez szary mrok widział znajome twarze i kogoś obcego, kto patrzył na niego podejrzliwym wzrokiem.

Obcy człowiek w mundurze pyta o coś:

— Pewnie Felczer ze swoją bandą tu grasował, co?

— Tak...

— A ty też do bandy należysz!

Skąd przyszedł ten człowiek, który mówi do niego jak sędzia? Chłopcy jeszcze mu nie wierzą.

Radek woła zapalczywie:

— Co pan gada od rzeczy! Jasiek, powiedz, żeby się ciebie nie czepiał. No, Jasiek!

Nie odpowiadał. Chciał powiedzieć im prawdę. Chciał wytłumaczyć, wyjaśnić, a teraz widzi, że prawda jest zagmatwana, trudna do wytłumaczenia. Jedno pozostało pewne i niewątpliwe: był szabrownikiem. Kradł.

Bezlitosny głos obcego człowieka pytał dalej tryumfująco:

— Kradłeś benzynę. Toś ty taki! Od razu się domyśliłem, że to złodziej, bo ze złodziejami po lesie gania.

Jaś skurczył się, zmalął. Stał wciąż nie podnosząc oczu.

— A i nieładnie — wśród śmiertelnej ciszy, jaka nagle zapadła, śpiewnie mówił obcy człowiek — przyjęły cię te chłopaki, a ty im świnię podkładasz. Nieładnie, ot, co...

Jaś drgnął jak uderzony. Wszystko było stracone. Już nigdy nie potrafi wyjaśnić Stefanowi, że nie chciał ich oszukać. Odwróci się od niego przyjaciel Radek. Bo i któż zechce przyjaźnić się z bandytą. Trzeba iść, zanim sami go wyrzucą.

Postawił bańkę z benzyną na ziemi. I z westchnieniem, jakie mimo woli wyrwało mu się z piersi, powiedział cicho:

— To ja już pójdę.

— Do bandy? — spytał nieznajomy.

Jaś potrząsnął przecząco głową. Ruszył przed siebie.

Powłócząc nogami szedł gdzieś na ukos w stronę jeziora, niewidocznego za drzewami.

— Jasiek! — krzyknął nagle Radek i ten rozpaczliwy krzyk zdawałoby się obudził wszystkich.

— Jasiek! — zawołał rzucając się za chłopcem Stefan. — Jasiek, wróć!

Zawrócił posłusznie. Potykając się jak niewidomy, szedł do nich ze spuszczoną głową, ze zwieszonymi bezwładnie rękoma. Wołano go. Słusznie. Przecież nie pokazał im ścieżki, która wiedzie do szybowców ukrytych w szopie. Nie pokazał jej dawniej, powinien pokazać teraz, zanim odejdzie na zawsze. Nie zastanawiał się nad tym, gdzie ma pójść. Banda odjechała. Był sam. Ale do bandy nie wróci już nigdy. Nie umiałby żyć wśród podejrzeń, kłamstw, wódki i przekleństw. Chciał zostać wśród ludzi, którzy mu ufali, którzy obdarzyli go przyjaźnią, mieli dla niego dobre, serdeczne słowa, którzy wnieśli w jego ubogie życie nigdy nie zaznane piękno i radość. Starał się postępować tak, żeby mógł z nimi pozostać, ale wybrał złą drogę. Widać kłamstwem nie można dojść do prawdy... Los zrządził, że widzieli go z bańką w ręku na polu minowym, słyszeli warkot samochodu szabrowników i wycie nieszczęsnego psa. Jaś pozostał sam jak te porzucone psiaki, które szukają pewnie matki i nawołują z budy cienkimi głosami. Zginie jak one. Ale ta myśl nie przerażała go wcale. Nie czuł lęku przed przyszłością ani żalu, że los był dla niego tak okrutny. Nie czuł już w ogóle nic. Był jak z drewna.

— Pokażę wam drogę do szybowców — powiedział stając przed gromadką. Nikt nie myślał jednak o szybowcach.

— Czemuś tak zrobił, czemu? — pytał Stefan z żalem. — Powiedz, Jasiek.

— Bałem się — wyjaśnił beznamiętnie. — Szef powiedział, że mnie zabije, a was z dymem puści, jeśli nie wyniosę tej benzyny. Myślałem, że on pojedzie, a ja z wami zostanę...

— To Szef ciebie porwał wtedy z warty nocnej?

— Tak. Kazał mi wrócić do was, wypatrzeć, co robicie. Chciał, żebym mu wszystkie rzeczy wyniósł z kryjówki. A ja nie mogłem... Krzyś powiedział, że Adam tu poszedł, pobiegłem za Adamem ratować...

Adam zobaczył znów słup dymu pomiędzy drzewami, postłyszał ogłuszający huk. Wybuchła mina. Rzucili się wszyscy naprzód do miejsca, gdzie przed chwilą migąła wiatrówka Małgosi i rozlegał się jej głos nawołujący Puchatka. Pewnie zginęliby wszyscy rozerwani przez miny, ale Jasiek biegł z góry, wołał, krzyczał ochryłym głosem:

„Adam! Stójcie! Tam miny!”

Zatrzymali się w pół kroku. Wtedy Jasiek przeprowadził go do miejsca wybuchu, razem wydobyli nieprzytomną dziewczynkę spod wałów ziemi i wynieśli na bezpieczne miejsce.

Że też nie domyślił się od razu, że Jasiek zna przejście pomiędzy minami. Wdzięczny za uratowanie Małgorzaty, przestał go podejrzewać o cokolwiek, zgodził się ze Stefanem, że nie trzeba Jaśka o nic pytać. Uwierzył Jaśkowi, że bańkę z benzyną znalazł w piwnicy... Przestał go podejrzewać, ale równocześnie przestał nim się zajmować... Przejęty sobą, własnymi strapieniami, nie zauważył, że obok niego cierpi ktoś inny, męczy się nie znajdując wyjścia z tragicznej sytuacji. Nikt nie dopomógł Jaśkowi: ani on, ani Stefan z przesadną delikatnością nie zadający mu żadnych pytań, ani Radek, który troskał się o Jaśkową przyszłość, a nie dostrzegając, co grozi mu każdego dnia.

Jasiek miał zmęczoną twarz. Skończył wyjaśnienia i pragnął już tylko jednego: aby mu dali spokój, aby mógł odejść daleko, gdzie będzie sam.

— Pokażę wam drogę i pójdę — rzekł cicho.

— Nie pójdziesz! — krzyknął Adam. — Uratowałeś Małgorzatę i nas wszystkich, jesteśmy twoimi dłużnikami. Nie pójdziesz, chyba razem ze mną!

— Dlaczego chcesz odejść? — pytał Stefan biorąc Jaśka za rękę.

— Złamałem umowę.

— Jaką?

— Z tobą...

— Ze mną? Ach! Pamiętam. Zawarliśmy umowę w piwnicy. Ale ty jej przecież nie złamałeś wcale. Nie kłamałeś. Byłeś dobrym towarzyszem w pracy i w przygodzie.

Jasiek niedowierzająco spojrział na Stefana. Czyż to możliwe, że tylko on sam siebie oskarża? Drużynowy patrzy na niego przyjaźnie — jak zawsze. Wszyscy otoczyli go kołem. Radek tarnosi za rękaw.

— Chodź, Jasiek — mówi — po co tyle gadania o niczym!

Nawet nieznajomy żołnierz kiwa potakująco głową.

— Macie rację, chłopaki — powiada spluwając energicznie — jak ratował, to nie bandyta. Aleście nam zamieszania narobili. Idźcie, bo nie skończymy rozminowywać do wieczora.

— Śniadanie wystygło — biadał Tomek, który już ochłonał z wrażenia — pobiegnę i rozgrzeję na płycie...

— Nie trzeba, zjemy zimne — zatrzymał go minier — idźcie już, my z kolegą poradzimy sobie sami.

— Pewnie, Adaś to „leśny człowiek”, on najlepiej potrafi pomóc — wyrwał się Tomek.

— Ty z lasu? — spytał minier ciekawie.

— Wracajmy do roboty — odpowiedział szorstko Adam i sięgnął po słuchawki.

Już dawno odeszli chłopcy. Minier Bielawski i Adam pracowali w skupieniu. Min było niewiele: tylko dwa rzędy ustawione tak, iż każda mina pierwszego rzędu trafiała w przestrzeń pomiędzy dwoma minami rzędu drugiego. Bielawski miał rację, zakładano je w pośpiechu, niektóre źle zabezpieczono i zalała je woda z wiosennych roztopów.

Praca szła sprawnie. Adam wykrywał miny. Stawał, podnosił rękę. Minier zbliżał się i ostrzem macki nakłuywał delikatnie ziemię we wskazanym miejscu.

— Jest — mówił wreszcie, ostrożnie odgarniał trawę, zrywając płat darni, którym przykryto minę. Spod ziemi ukazywał się okrągły, duży dysk, nieco wypukły w środku tarczy i zakończony sterczącym kawałkiem metalu. Minier ujmował go i wykręcał zapalnik. Potem wykopywali całą minę i wynosili ją głębiej do lasu.

Przestrzeń zajmowana przez miny stopniowo malała. Zbliżyli się do końca. Już tylko ostatnia mina pozostała im z dawnego kręgu opasującego kryjówkę. Minier rozgarnął ziemię dokoła niej, sięgnął ręką do zapalnika — i cofnął gwałtownie rękę.

— Nie da się odkręcić! — rzekł. — Chybaj stąd, bracie, i schowaj się dobrze, bo ja muszę cały talerz zdjąć, a o wypadek nietrudno.

— Nie pójdę.

— To pomóż, tylko ostrożnie.

Minier lekko poruszył wielki, beżowy talerz miny. Nie wybuchła. Nacisnął mocniej palcami, pokazując Adamowi na migi, jak ma pomóc, jak gdyby nawet słowo mogło spowodować wybuch. Pod naciskiem palców talerz poruszył się posłusznie. Jeszcze chwila i minier zdjął go, położył na trawie.

— Udało nam się — powiedział ocierając pot z czoła — udało nam się jak ślepej kurze ziarno. Myślałem, że się do świętego Piotra zameldujemy, ale w dobrym towarzystwie nie żal umierać.

Bielawski miał twarz z grubsza ciosaną. Siwe oczy patrzyły szczerze spod złotych brwi, które leżały na jego czole jak dwa dojrzałe kłosa. Brwi te zbiegły się teraz, Bielawski myślał z napięciem. Parę razy potrząsnął głową.

Adam nie odzywał się. Zły był jeszcze na Tomka, że smarkacz zdradził jego tajemnicę.

A Bielawski powiedział wreszcie wolno, szukając słów:

— Ot, bracie, tak jest. Walczyli my osobno. Ty — tu, a ja — tam. A teraz my razem miny wyjmujemy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KONIEC WOJNY

Sezam otworzył się. Droga do szopy z szybowcami była wolna. Zdumionymi oczyma patrzyli mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów na długie, jasne skrzydła rasowych maszyn, poukładane rzędami na poprzeczkach. Tomek bobrując po kątach wykrzykiwał co chwila:

— Ojej, co to! Rowery! Benzyna! A tu, patrzcie: broń!

— Rozpylacze — stwierdził Maciek biorąc je do ręki.

Tomek już krzyczał w drugim kącie szopy:

— Łózka! I po cośmy te prycze robili. I prześcieradła, i koce też są. Wszystko tu przynieśli.

— Myśleli, że wkrótce wrócą. Tylko że sojusznicy pośpieszyli się i zajmują Vaterland ze wszystkich stron na dobre — żartował Józek.

Radek wyciągnął spomiędzy koców kawałki różnokolorowego materiału. Odrzucił na bok czarne. Zestawił białe i czerwone. Uśmiechnął się zadowolony.

— Będziemy mieli nareszcie sztandar — powiedział.

— Z niemieckich gałganów! — oburzył się Tomek.

— Czy materiał jest ważny w sztandarze, czy też zestawienie barw? — spytał go Stefan. Tomek nie przeczył, przekonany, a może zajęty odkrywaniem nowych skarbów.

Minier Bielawski chodził wraz ze wszystkimi, równie przejęty.

— Musicie, chłopaki, wystarać się o pozwolenie na broń — radził. — „Rozpylacz”, jak po warszawsku nazywacie, wam się przyda. Wszystko, co jest, przeniesiecie dziś na górę, jutro przyjdę miny wysadzać.

Zawrzały gorączkowe narady nad transportem.

— Radek, Radek! — wołano ze wszystkich stron. — Radek, jak myślisz, Radek, jak to załatwić?

Radek, ważny i uroczysty, objął kierownictwo transportu.

— Mniejsze kawałki w rękach podygujemy — mówił. — A skrzydła przewieziemy na rowerach.

— Na czym?

— Na dwóch rowerach. Już obmyśliłem sposób, jak je umocować. Po szosie my dwaj moglibyśmy przewieźć. Ty równo jeździsz, Stefan.

— A czemu nie autem?

— Nie opłaci się. Do szosy i tak trzeba w rękę nieść, bo przez las auto nie przejedzie.

— Nie mamy czym opakować sprzętu, wszystko poniszczy się w samochodzie — dodał Józek, który wydawał z „kryjówek” sprzęt, tłumacząc, jak należy nieść, aby go nie zniszczyć. — Skrzydło za krawędź natarcia — powtarzał niezmordowanie — za płótno nie wolno!

Znów otwarto szeroko drzwi hangaru i słońce położyło się u progu złotą plamą. Przeciekało też przez drobne szparki w ścianach i w mrocznym hangarze wirowały w smugach światła roje świecących pyłków.

Adam z Małgosią układali troskliwie sprzęt na wskazanych przez Józka miejscach. Pomimo radosnej chwili oboje byli nieweseli. Jutro minier Bielawski wysadzi w powietrze miny, tak długo zagrażające Górze Czterech Wiatrów, a pojutrze Adam pożegna wszystkich i odejdzie. Odejdzie też Józek. Reszta osób pozostanie, aby oczekiwać na odpowiedź Departamentu Lotnictwa Cywilnego. Adam będzie o nich spokojny. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi szybowisku — Niemców w pobliżu już nie ma. Zorganizowane obławy wypłoszyły ich do lasów kłodzkich i dalej do Niemiec.

Małgorzatka bez słowa snuje się po hangarze jak cień. Adam wie, co czuje jego wierny

przyjaciel.

Tyle chciałby jej powiedzieć, ale nie potrafi.

— Małgosiu... — zaczyna. Dziewczynka podnosi na niego błękitne spojrzenie. — Posuń trochę bliżej skrzydło...

— No, zgodnym chórem, bracia! — krzyczy Radek za drzwiami i wesole, ochocze „Hoooo!” w odpowiedzi — przypomina znów Adamowi, że wkrótce nie będzie już razem z nimi. Będzie sam na obcej ziemi.

Pomaga im wynieść szybowce. I dotykając skrzydeł, myśli z żalem, że nie jego uniosą w powietrze...

Do wieczora trwała gorączkowa praca. Zgrzani, zmordowani, znosili, układali sprzęt poganiając się żartobliwie, chociaż raczej trzeba byłoby hamować zapał. Jedynie Antkowa zachowała olimpijski spokój i jak co dzień ugotowała kaszy z mlekiem; tylko że dziś musiała wyławiać chłopców do jedzenia.

— Radek — krzyczała bez ceremonii nie zważając na jego ważną rolę — musi ty wariat, że bez jedzenia latos cały dzień, zaraz my chodź do kuchni! Nie będzie się jadło, nie będzie się robiło.

— Kochana Antkowo, nie mam czasu! — odkrzykiwał czerwony ze zmęczenia kierownik transportu. — Krzys jeszcze nie jadł — bronił się usiłując wywinąć się z jej silnych rąk.

— Nie mos casu! A umrzeć to bedzies miał cas? Na jedzenie i śmierć musi być cas.

I rad nierad poszedł za energiczną gospodynią.

W ciągu dnia udało się przenieść wszystko. Dumni ze siebie, ale śmiertelnie znużeni, z trudem dotarli do łóżek. O codziennej gawędzie przy kominku nie było mowy. Usnęli kamiennym snem, zanim dotknęli głowami sienników. Zasnęli na kocach, pomimo że w kącie leżała sterta czystych prześcieradeł. Radek twierdził później, że tej nocy wrogów odstraszyło donośne chrapanie wartowników...

Następnego ranka Stefan wstał wcześniej i wyjechał zabierając ze sobą Krzysia i Jaśka. Mieli wystarać się o pozwolenie na broń, a także odebrać z milicji wózek startowy, liny i przyrządy pokładowe.

Adam z Józkiem nie spali także i razem z Bielawskim, który przyjechał motocyklem, poszli wysadzać miny.

Małgosia kręciła się po pokoju, rozkładając na stole w świetlicy biało-czerwony materiał, a obok nici, igły i nożyczki. Chciała uszyć sztandar.

Antkowa podniosła odrzucone z pogardą czarne resztki dumnych niemieckich sztandarów. Przyglądała się im bacznie, wreszcie rzekła:

— Marnuje się to, a chłopoki w wełnianych portkach się grzeju. Trza jem usyć letnie majtki do tego ich letania...

Spał smacznie tylko Maciek. Ale i jemu nie sędzone było odpocząć tego dnia.

— Maciej — pochylił się nad nim Radek — Maciej, wstań. Szybowiec!

Na dźwięk tego słowa Maciej otworzył natychmiast zaspane oczy.

— Gdzie? — pytał mrugając powiekami.

— Pod pryczą.

— Idźże, Radek, do licha! Zgiń z mego horyzontu! — Maciek ułożył znów kędzierzawą głowę na płaskim sienniku.

— Nie śpij, Maciek. Ja tak tylko powiedziałem, bo się głupio pytasz. Gdzie mają być szybowce, jeśli nie w hangarze. Sam je wczoraj dygowałeś.

— Czuję to jeszcze — dotknął Maciek obolałych ramion — dlatego daj mi się wyspać. Brzęczysz jak mucha...

— Nie dam ci spać. Pomożesz mi zmontować szybowiec.

— Bez Józka! Chcesz, żeby cię znów Stefan zwymyślał za niekarność.

— Nie zwymyśla. Jeśli źle złożę, Józek poprawi. Nic się nikomu nie stanie. Wstań,

czarowniku, wstań, leniu afrykański!

— Odczep się, już wstaję — rzekł Maciej rozczesując niesforną czuprynę.

Po błękitnym niebie płynęły leniwie wełniste obłoki. Jakoś dużo samolotów leciało na zachód. Zajęci pracą, Radek i Maciej nie zwracali na to uwagi. Tomek, któremu Józek nie pozwolił płatać się przy minach, siedział obok nich, pasąc białą kozę, która co chwila wyszarpywała mu sznurek z ręki.

Strasliwy huk targnął powietrzem. Nad lasem wykwitł rudy stożek dymu — groźne miny przestały istnieć.

— Już po krzyku — rzekł Radek — i my też kończymy robotę. Trzymaj, Maciek, za koniec skrzydła, a ja naciągnę mocniej drut.

— *Dzięki Ci, Boże, żeśmy bałwanyyyy* — zanucił Tomek cienko.

Nie skończył. Spoza „Zakrętu Niespodzianek” wyskoczył nagle motocykl. Jakiś barczysty mężczyzna poszorował podeszwą po piasku ścieżki zatrzymując maszynę i zeskoczył zręcznie z siodełka.

— I rzeczywiście — powiedział stając przed szybowcem.

— Co r z e c z y w i ś c i e? — spytał Radek nieufnie.

Nieznajomy oparł motocykl o drzewo, wrócił do nich, spojrzał raz jeszcze na szybowiec i pokiwał głową.

— W porę, widzę, przyjechałem. Kraksa byłaby gotowa.

— Dlaczego?

— Dlaczego! On się jeszcze pyta! Dlatego, że skrzydła złożą się w powietrzu!

Radek spuścił głowę i patrzył na końce własnych, mocno sfatygowanych butów. A nieznajomy grzmiał dalej:

— Jeśli nie potrafisz, nie pchaj się na afisz! Cóż to, na tym szybowisku same patałachy siedzą, prawdziwego szybownika ani poświecić... — urwał nagle.

Radek uniósł głowę i struchlał. Z lasu wychodził Józek.

— Józek, jak się masz, chłopcze! — innym już głosem zawołał nieznajomy i ruszył do szybownika z wyciągniętymi rękoma.

— Pan Michał! — Józek ścisnął dawnego mechanika ze Stokłosów. — Panie Michale, z nieba nam spadłeś.

— Ja, dzięki Bogu, nie spadłem, tylko przyjechałem na motocyklu, ale ten, co na tym szybowcu wystartuje, spadnie na pewno. Cóż ty, Józek, patałachom pozwalasz majstrować przy maszynach?

Radek żałował, że ziemia nie może rozstąpić się pod nim. Purpurowy ze wstydu, czekał na wyjaśnienie Józka, że mu wcale nie pozwalał, przeciwnie, zabraniał dotykać maszyn podczas swojej nieobecności.

Ale Józek powiedział:

— Panie Michale, to jest Radek — nasz najlepszy majster obozowy, zwany Samoradkiem. Każdemu zdarzyć się może, iż palnie głupstwo. Zresztą muszę się panu przyznać, że też nie potrafiłem zmontować tego szybowca. Nie ma w nim bolców, więc chciałem teraz założyć haki okucia nośnego, o tak — pokazał ręką.

— Dobrześ chciał — pochwalił go pan Michał — nie na próżno cię uczyłem w Stokłosach. Dużo macie tych Esgiegów?

— E s g i e g ó w? — zdziwił się Józek.

— Tak. Te ciężkie bestie nazywają się tak samo jak nasze rasowe maszyny, konstruowane przez Szczepana Grzeszczyka... A co jeszcze macie? — pytał wchodząc pewnym krokiem do hangaru. — Bogactwo! — wykrzyknął olśniony. — Miał rację ten wariat w szafirowej bluzie, który do mnie trafił i namówił na tę szaloną jazdę.

„Obywatelu — powiada — tam piękna góra, latanie przy każdym wietrze, a chłopcy sami bez żadnej pomocy. Szybownik był z nimi, ale rękę złamał i do szpitala go odwieźli. Już

w ich sprawie do Departamentu Lotnictwa Cywilnego dotarłem, ale Departament ma huk pracy organizacyjnej, wszystkiemu od razu nie podoła. Jedź, obywatelu, ja także tam przyjadę, tylko trochę kolegów skrzyknę, a może i jakiegoś szybownika namówię. Zorganizujemy kurs i polatamy. Szkoda maszyn, żeby się marnowały stojąc beczynnie”. Prawdę mówił, Szkoda by było. Dwanaście Esgiegów macie — nieźle. Trzy Kranichy — mówił dalej pokazując wielkie, dwumiejscowe szybowce. — Pamiętasz, Józku, nasze Mewy Grzeszczyka i ITS-4 — Technicznego Instytutu Szybownictwa — używaliśmy ich do badań meteorologicznych.

Zanim Józek zdążył potwierdzić czy też zaprzeczyć, pan Michał już wyliczał dalej:

Cztery Bebiki * — też niezgorsze maszyny treningowe. U nas było więcej maszyn pośrednich pomiędzy szkolnymi i rasowymi szybowcami. Do treningu służyły: Salamandra Czerwińskiego i Czajka Kocjana, a potem Sroka i Komar Kocjana, i piękny Delfin Czerwińskiego. U nas szkolono tak, że uczeń stopniowo opanowywał lot i stopniowo przyzwyczajał się do coraz trudniejszych maszyn. A u Niemców! Siada uczeń na Esgiega i używa co się zowie. Maszyna nieruchawa, na stery mało czuła. Sama leci. Z tego słońca rzucają ucznia od razu na czułego Bebika. Da sobie radę — już go pakują na maszynę rasową. Nie da sobie rady, kark skręci — to nic. Przyjedzie następny.

Nasze maszyny rasowe były lżejsze, precyzyjniej wykonane — ciągnął dalej. — Nie mieliśmy terenów z tak dogodnymi warunkami jak w innych krajach, ale wyrównaliśmy wyniki dzięki dobrym pilotom i świetnym maszynom. Nasz Orlik Olimpijski był najlepszym szybowcem zgłoszonym na ostatnie zawody olimpijskie. Już nie poleciał... Wszystko nam zmarnowali. Ani maszyn, ani warsztatów: z całego bogactwa ocalała jedna Salamandra, przechowana gdzieś na strychu w Golesznowie, i jeden Orlik.

Pan Michał westchnął, widocznie jednak nie umiał martwić się długo, bo powiedział wskazując na ustawione szeregi maszyn:

— Nie czas teraz lamentować. Na razie mamy na czym latać. Waja ** — to dobra maszyna, chociaż niemiecka, i Olympia też... A już skrzykują się nasi konstruktorzy — będziemy nowe szybowce budować, lepsze od dawnych. Polacy do tych rzeczy mają szczególny talent. Gdzie jest Wojtek, Józku? Podczas wojny podobno robił obliczenia do „wyczynówki”.

— Robił, ale plany zginęły. Niemcy zabrali je podczas rewizji w jego mieszkaniu...

— A cóż z Wojtkiem?

— Nie wiem. Ostatni list od niego miałem na Pawiaku: parę słów przepisanych przez Ewę...

Ruchliwe, pogodne oczy pana Michała przygasły na chwilę, zaraz jednak rozbłysły na nowo.

— Józek, przecie mam dla was listy! — wykrzyknął. — Byłbym zapomniał, tracę już pamięć!

— Listy?

— Niestety, nie dla ciebie, tylko dla Małgosi Milewskiej, dla Radka Sikory, Stefana i Tomka Kowalskich... — pan Michał wyjmował kolejno listy i odczytywał imiona adresatów. — Dzielnym macie przyjaciół w tych chłopakach z czerwonymi krawatami. Wszystkie rodziny oblecieli, aby listy dla was zdobyć, mnie z chałupy wyciągnęli...

Radek nie wszedł do hangaru, nawet kiedy Józek zaczął wołać, że on i Małgosia mają listy. Stał zmieszany i zły. Józek zachował się wspaniale i nie „wydał” go, ale to nie zmieniało faktu, że on, Radek, „wygłupił się” fatalnie. Dziś rano wyciągając Maćka z łóżka i majstrując przy maszynie był pewien, że uda mu się tym razem złożyć szybowiec prawidłowo i Józek prędko zapomni o gniewie. Tymczasem złożył źle Esgiega i Józku przysporzył wstydu.

* Bebik — spolszczona nazwa szybowca typu „Grünau Baby”.

** Waja — spolszczona nazwa szybowca typu „Weihe”.

Motocykl pana Michała stał wciąż oparty o drzewo. Tomek szybko przebiegł oczyma list z domu. Powiedział:

— Wiesz, Radek, mamusia pyta, czy bardzo urosłem. A mojej siostrze, Lusi, wypadł ząb mleczny — i zajął się natychmiast motocyklem chcąc odczytać, jakiej jest marki. Nagle odskoczył przestraszony. W przyczepce coś się poruszyło i spoza brezentu wychyliła się jasna jak len główka dziecka. Mały zmrużył niebieskie oczy przed blaskiem słońca i ziewnął szeroko, aż z ust utworzyło się różowe kółeczko.

— Tata — powiedział wyraźnie. — Esgieg na stałcie

— Obudziłeś się. Lesiu — wyrzwał z hangaru pan Michał — a nas tu właśnie Małgosia na śniadanie zaprasza. Głodny jestem, zjadłbym już coś.

— Bym tes — skinął poważnie główką malec.

— Bym tes — powtórzył pan Michał. — Krótko i węzłowato wyrażasz się, Leśku. I cóż, wylazłbyś z przyczepki?

— Bym — potwierdził mały.

Pan Michał wyjął go z motocykla i postawił na ziemi. Leś mógł mieć najwyżej trzy latka. W watowanej kurtce, w czerwonej czapeczce, która mu pan Michał niedbale wsunął na główkę, wyglądał jak śmieszny krasnoludek. Podał dziewczynce z ufnością ciepłą łąpkę i podreptał za nią w stronę domu.

— Czy on będzie mógł jeść kaszę z mlekiem? — troskała się dziewczynka.

— Leś? On je wszystko, przywykł do podróży, niewygód i odżywiania się byle czym. Rodziców mu Niemcy zamordowali, a że jego matka była moją rodzoną siostrą, więc zabrałem sierotkę do siebie. Akurat musiałem wtedy szkopów starannie unikać, tułałem się to tu, to tam, wożąc go ze sobą w plecaku. Jakoś się uchwycił nie najgorzej pomimo to, że ssał nieraz kawałek słoniny zamiast mleka. Leśku — zwrócił się do malca — będziemy dziś mieli świetne jedzenie: kaszę z mlekiem.

Józek i Małgosia wymienili porozumiewawcze spojrzenia. I oni niegdyś cieszyli się z powodu tej kaszy. Ale mijały dni, a „świetne” jedzenie nie zmieniało się wcale. Kasza z mlekiem i kasza bez mleka — trzy razy dziennie — to mogło się sprzykrzyć najwytrwalszym. Nie mogli już patrzeć spokojnie na pęczak ani o nim mówić. Nie zniechęcali jednak swoich gości.

— Jakie to szczęście, że pan do nas przyjechał — cieszył się Józek — że pana nic nie zatrzymało...

— Ano, jakoś nie zatrzymało. Znalazłem sobie nawet zupełnie dobrą posadę w przemyśle i wygodny pokój przy rodzinie. Gospodyni, serdeczna kobieta, obiecała zająć się trochę Leśkiem. Myślę sobie — nareszcie pomieszkam trochę jak człowiek, pożyję normalnie. A tu nagle zjawia się ten wasz przyjaciel z OMTUR-u i zaczyna mnie kusić: jedź, obywatelu! Radziłem się inżyniera Kwiatkowskiego, biedziliśmy się razem, co robić. Inżynier mówi: „Gdyby tak powstawał Instytut Szybowcowy, rzuciłbym wszystko i pojechał, ale pan ma dziecko na wychowaniu, panie Michale, musi pan pomyśleć o jego przyszłości. Dziecko nie może dłużej poniewierać się po całej Polsce”.

Zdecydowałem się pozostać w Krakowie. Nazajutrz spakowałem się. A tu wpada inżynier i od progu krzyczy: „Wiedziałem, że nie wytrzymasz, stary wariacie, machniesz się do nich! Ja bym też nie wytrzymał. Jedź, pomóż im, a kiedy zaczniemy tworzyć Instytut Szybowcowy — zawołam ciebie”.

— Dzięki Rogu, że pan jest.

— Trzeba było przyjechać. Maszyny na szybowiskach poniemieckie, nieznanne, a chłopcy skorzy do latania. Gotowi sobie głowy pourywać, nogi połamać. A myśmy z inżynierem Kwiatkowskim obejrzeni już dokładnie wszystkie typy. Harcerze i akademicy zabezpieczali je w Krakowie. Nie można powiedzieć — bystre chłopaki.

Pan Michał mówił bez przerwy, idąc, potem jedząc opowiadał Antkowej o Lesiu.

Gospodyni wciąż mu dokładała, a kiedy zabrakło mleka, okrasiała kaszę konserwami. Zjadł, pochwalił ku jej radości.

— Sierotka, niebóziaćko — użalała się Antkowa nad Lesiem wycierając fartuchem jego buzię, uczernioną smarem od motoru.

Chłopczyk skończył swoją porcję kaszy i drzemał z główką opartą o kolano czytającej list Małgosi.

— Józku — powiedziała dziewczynka składając list. Mam wiadomości od ciotki, chcę je pokazać Adasiowi. A on jakoś nie wraca. Pozwól, że pójde po niego.

— Zagadał się widocznie z Bielawskim. Ale idź, jeśli chcesz. Któryś z nas dopilnuje Lesia.

— On śpi — powiedziała dziewczynka wstając — zabiorę go do mego pokoju. Zajrzyjcie do niego za chwilę.

Z dzieckiem na ręku Małgosia przeszła do swego pokoju. Leś spał z brodą opartą na różowej piątce. Okryła go chustką, aby osłonić od much i komarów, i zabierała się do wyjścia, kiedy ktoś zagwizdał na ścieżce przed domem.

— Adam! — wychyliła się przez okno. — Gdzie byłeś?

— Odprowadzałem Bielawskiego.

— Tak długo!

— A tak, dogadywaliśmy się.

— Obiad czeka na ciebie, weź kaszę od Antkowej i chodź do mnie, pokażę ci list od ciotki.

— Lecę! — krzyknął wbiegając na ganek.

Kasza styła na stoliku, pojadana niechętnie i powoli. Adam czytał z zainteresowaniem list od Małgosinej ciotki:

Moja Ty kochana, złota — pisała — jakże ja się cieszę, żeś Ty się znalazła, mój ptaszku śliczny, moja Ty pociecho jedyna. Dotąd nikt jeszcze nie powrócił i myślałam, że sama, bez rodziny, życia dokonam. Przyjeżdżaj do mnie, do Bielska, czym prędzej, kochana. Mieszkam u siebie w domku, meble mam nie najgorsze, choć wolałam swoje dawne. Już pewnie moich w Vaterlandzie nie znajdę.

Przyjeżdżaj! Będziesz się uczyć i ubiorę Cię jak człowieka, bo to podobno w spodniach chodzisz, biedactwo Ty moje. Tak mówił ten zacny chłopiec, który do mnie przyjechał z listem od Ciebie. Witek mu było na imię. Z Krakowa się fatygował, daj mu, Boże, zdrowia i pomyślności. Zbieram dla Ciebie powolutku ubranie i bieliznę. Myślałam, że od razu uda mi się wystać coś niecoś, ale Witek powiedział, że na razie takiej okazji nie będzie. Mówił ten dobry chłopiec, że chorowałaś trochę. Czyś już zdrowa, córuchno? Wracaj zaraz. Wyleczę Ciebie, odżywię.

Córuchno moja, podobno Tobą przez cały czas jakiś anioł się opiekował...

— Też coś — mruknął Adam i czytał dalej:

Modłę się za niego codziennie, że dziecka samego bez opieki nie zostawił. Może on ma jakieś kłopoty: z pieniędzmi czy też z ubraniem? Mam parę garniturów, oddam mu jeden, a reszta dla Twego ojca i dla Włodka zostanie. Wierzę, iż wrócą, chociaż martwię się o nich bardzo. O Ciebie — już nie, bo Ty masz szczęście do zacnych ludzi, a to rzadko się zdarza i jest cenniejsze niż skarb nie wiem jaki. Więc Cię Bogu polecam i czekam każdego dnia. Pozdrów swego opiekuna najserdeczniej.

Twoja ciotka

PS. Stasiowa i pan Zeflik Ciebie pozdrawiają. Bzy ocalały. Przyjeżdżaj.

Adam czytał, a Małgosia zamysliła się głęboko. Jakimś ciepłym rodzinnym powiało od serdecznego listu ciotki, wnętrzem ciepłego, przytulnego domu, gdzie można wszystko znaleźć w rozłożystych szafach, gdzie w kredensie rumieni się chleb przypieczoną skórką, gdzie można czasem poleżeć dłużej w czystej pościeli, a ciotka obudzi delikatnym: „Nie śpisz, ptaszku? Przyniosę ci kawy z mleczkiem. Bułki kupiłam świeże, chcesz z serem czy z wędlinką?...”

Pocziwa ciotka! Taka zaradna, a jednocześnie tak bardzo dobra i mądra. Kiedy ją Niemcy wyrzucili z Bielska, zabrała ze sobą ku zdumieniu sąsiadek najukochańsze książki.

— Jeszcze kiedyś będę jedwabie nosić — mówiła — I na pięknym tapczanie spać. Przetrzynam Hitlera i doczekam sprawiedliwości. Ale książka jest jak przyjaciel, inny — to już nie ten sam. Nie będę przyjaciół na poniewierkę, na pewną zgubę zostawiać.

Stoją teraz rzędem w biblioteczce starzy, znani z dzieciństwa przyjaciele. Jakże chętnie ułożyłaby się z książką na tapczanie. Najpiękniejsza nawet deklamacja nie mogła zastąpić czytania, nie mogła zastąpić nauki.

Adam odłożył list i mieszał powoli zimną kaszę.

— A może wrócisz do ciotki? — zapytał. — Lotów nie będzie, a ty byś mogła uczyć się w Bielsku. Jedź. Wypoczniesz u ciotki i ja będę o ciebie spokojniejszy... podobno przecież jestem twoim „opiekunem”.

— „Aniołem” — poprawiła z komiczną powagą. Roześmieli się oboje.

— Więc jak, Małgosiu?

Poczuła nagle, jak bardzo jest zmęczona tułaczką, głodem i chorobą. Jeśli pozostanie bez Adama na Górze Czterech Wiatrów, każda rzecz, każde miejsce jej przypomni co dzień o jego nieobecności.

U ciotki zacznie się uczyć. Będzie przy niej ktoś swój, bliski... Chciała powiedzieć, że się zgadza, kiedy Leś poruszył się na tapczanie. Usiadł. Przetarł piąstką oczy i wcale nie zdziwiony, przyjrzał się dziewczynce.

— Samolot latał tu — oznajmił pokazując na sufit.

— Samolot nie zmieści się w pokoju — tłumaczyła głaszcząc jego miękkie włoski. — Śniło ci się, Leśku.

— Latał. Taki malutki jak ten, co lata wysoko — tłumaczył jej pokazując paluszkami wielkość samolotu.

— I cóż — niecierpliwił się Adam — pojedziesz do ciotki?

— Pewnie... — zaczęła, ale jej słowa zagłuszył warkot samochodu. Rozległy się krzyki chłopców i jakieś niezdarne piski szczenięce.

— Małgosia, Małgosia, Małgorzata — powtarzał chór zmieszanych głosów — Adam, Adasiu, gdzie jesteście?!

Porwała Lesia na ręce i wybiegła za Adamem. Samochód stał przed hangarem, a po ścieżce pełzały cztery małe psiaki.

— To są nasze „Cztery Wiatry” — chwalił się Krzyś. — Ten maluśki, chudy i lekki jak piórko — będzie „Zefirkiem”, grubasa nazwiemy „Halnym”, a ta mała z łatką na mordce to jest psinka. Maciej powiada, że powinna nazywać się — „Morka”.

— Po co psa przezywać — wtrąciła Antkowa — pies jak pies, nie zodno „Zmorka”.

— Morka, a nie Zmorka, kochana Antkowo. Morka to jest taki wiatr.

— Małgorzata — podskakiwał Tomek na jednej nodze dokoła dziewczynki — jak nazwać tego czwartego psiaka? Patrz, jak on się wierci, chwili na miejscu nie usiedzi...

— Skąd je macie? — pytała Małgosia wśród ogólnego zamieszania, bo psiaki piszczały szukając matki, a Leś piszczał z radości tarmosząc je za miękką, puszystą sierść.

— To są psiaki ze spalonego domu — wyjaśniał przejęty Jasiak — ich matkę Felczer zabrał ze sobą, odjeżdżając. One już zdychały, tylko tak cieniutko jeszcze piskały, ale Stefek zaraz kupił mleka od sąsiadki, namoczył szmatkę i wsadził im do pyszczków. Ssały i ssały. A

teraz Radek wymyśli dla nich jakiś smoczek.

— Dobra, dobra — obiecywał Radek. — Zrobi się smoczek, a nawet kilka, bo dla niektórych mieszkańców Góry przydadzą się też...

Radek był już we wspaniałym humorze... Przyczynił się do tego otrzymany z domu list. Matka pisała, że odwiedził ich Czesław, że ojciec Radka zna dobrze ojca Czesława, bo razem brali udział w wypadkach 1905 roku.

Czesław wybiera się do Was — pisała dalej — skrzykuje ludzi, żeby kurs od razu zorganizować. I w Departamencie ponoć depce po piętach urzędnikom, żeby wydobyć dla Was potrzebne rzeczy i papiery. A Maciejowi powiedz, żeby się nie wrywał do Warszawy. Na ruinach jego mieszkania już leżą kartki z naszym adresem, bo do Was to „pisz na Berdyczów”, okazji specjalnej trzeba... Ustnie mu dokładniej wytłumaczymy, jak ma Was szukać. A jeszcze lepiej, jeśli u nas pozostanie przez pewien czas, odkarmimy go trochę. Tak urządziliśmy z ojcem...

Radek doskonale wiedział, jak wyglądała taka narada. Ojciec siedzi przy warsztacie i dłubie coś starannie. Jego „staruszek” nie umie ani chwili pozostać beczynnym. A matka drobnym kroczkiem biega od warsztatu do pokoju i z powrotem. Mówi, mówi, mówi... o tym, że trzeba chłopca do siebie zabrać i „odpaść” trochę, bo to z obozu, biedak, wraca... wygłodzone toto...

Ojciec milczy, więc staje przed nim, poprawia gładziutko uczesane, czarne włosy i błyskając wąskimi, skośnymi oczyma pyta: „Czy nie racja, ojciec, powiedz sam, czy nie mam racji...” Nie otrzymując odpowiedzi znów biegnie do pokoju, wraca i mówi dalej, mówi...

Ojciec wreszcie podnosi szpakowatą głowę, zsuwa okulary na koniec nosa i spogląda na nią sponad szkieł, a w kącikach ust śmieją się promieniście rozbiegające się zmarszczki: „A usiądźże, kobieto — powiada wesoło — nogi kiedyś pogubisz. Pewnie że «racja». Machnij no kilka kartek z naszym adresem, pojedę jutro do Warszawy, zostawię je w mieszkaniu u Macieja”.

Radek więc cieszy się radością Maćka, który nareszcie jest pewien, że brat nie szuka go na próżno. O porannej konfuzji Samoradek zdążył już zapomnieć, zwłaszcza że nikt mu jej nie przypomina. Przeciwnie, pan Michał, rozmowny z natury, chętnie i obszernie odpowiada Radkowi na wszystkie pytania.

— Bogactwo! — powtarza wciąż, mówiąc o maszynach zamkniętych w hangarze. — Będzie tu latanie jak złoto!

— Nie dla nas, niestety.

— A dla kogo? — oburza się pan Michał. — Cóż to, latać nie chcecie?

— My chcemy, tylko nie mamy instruktora.

Pan Michał aż zaniemówił na chwilę z oburzenia.

— Co ty myślisz sobie, patałachu — krzyknął wreszcie — że Józek nie potrafi kursu poprowadzić!

— Józek powiada, że nie ma prawa, bo nie jest instruktorem.

— Józek! — wołał pan Michał. — Jak to! Nie chcesz kursu zorganizować! Czy ja dobrze słyszę? Bój się Boga — tłumaczył zniżając głos. — Chłopcy rwą się do latania. Sami zaczną latać. Na czubkach świerków wystartują, jeśli hangar zamkniesz.

— Nie wystartują — zaczął Józek i naraz przypomniał sobie, że Radek już po raz drugi łamie rozkaz, ponieważ tak bardzo pragnie latać.

— Pan powiada... panie Michale, że mam prawo przeprowadzić kurs? — dokończył niespodziewanie.

— Moralne prawo masz. Znam cię dobrze. Jesteś spokojny, zawsze panujesz nad sytuacją. Więc o cóż chodzi? Departament Lotnictwa Cywilnego nadeśle ci potrzebne pismo. Sam

o to poproszę. Józek, nie broń się, czujesz przecież, że musisz. Wiem, że cię to zatrzyma dłużej na Górze, ale... napiszemy listy do przyjaciół i do PCK. Listy będą szukały twojej rodziny i przyjaciół. Zakończysz kurs i wyjedziesz z czystym sumieniem.

— Dobrze — zgodził się Józek cicho. — Dobrze, panie Michale...

Psiaki wgramoliły się pod jabłoń. Małgosia i Adam patrzyli na ich nieporadne ruchy, na radość małego Lesia.

— Słuchajcie! — krzyknął naraz Radek. — Słuchajcie! Józek prowadzi kurs! Józek się zgodził. Pan Michał twierdzi, że on ma prawo. Stefan, słyszysz, m o r a l n e prawo!

Adam patrzył na rozkrzyczaną gromadkę, która wirowała po ścieżce, wiwatując na cześć pana Michała, lotu, Józka i całego świata. Twarz Małgorzatki jaśniała szczęśliwym uśmiechem spoza ciemnych gałęzi jabłoni. Naraz jej uśmiech zgasł i z prośbą w oczach, jakby przeprasząc Adama, powiedziała:

— Nie mogę stąd odjechać... Zostanę.

Wieczorem od strony wsi rozległa się gwałtowna strzelanina. Na niebie zadrżały zielone choinki rakiet, pobiegły w górę małe czerwone ich kulki. Zza horyzontu wyciągnęła się biała widmowa łapa reflektora i szukała czegoś wśród gwiazd, rakiet i świetlnych tropów strzelającej artylerii przeciwlotniczej.

— Nalot — powiedział Stefan — ładna historia! A pełnomocnik rządu upewniał mnie dziś, że Berlin wzięty i południowa armia niemiecka już skapitulowała.

— Smok gryzie konając — odpowiedział na to Józek. — Wiesz co, Stef, skoczmy z Adasiem na zwiady do wsi. Zgoda?

Noc była pachnąca i ciepła. Pochyleni na siodełkach rowerów, szybko pędzili do wsi.

— Ktoś strzela — powiedział Józek hamując.

Rzeczywiście, strzały karabinowe rozległy się tuż obok. Zeszli z rowerów i skradali się cichutko wzdłuż drzew. Przed nimi białaty w ciemności pierwsze chałupy. Józek wyjrzał ostrożnie zza płotu. Na środku szosy stał milicjant i walił do góry z karabinu.

Cała wieś rozbrzmiewała teraz beładną strzelaniną i głośnymi jak strzały wybuchami radości. Z chałup wychodzili ludzie nawołując się wzajemnie. Gdzieś daleko w oknie błysnęło światło. Coraz więcej przybywało tych jasnych okien, zbliżały się one jak wici niosące dobrą wieść.

— Zwariowali, zrywają zaciemnienia — powiedział Józek.

Gwar wzmagął się. Szła gromada ludzi ze śpiewem i krzykami. Adam rzucił się ku nim.

— Ludzie! Co się dzieje!

— Nie wiecie? — odpowiedział mu ktoś głośno. — Niemcy skapitulowali.

— N a p r a w d ę?!

— Jak nie wierzysz, idź, zapytaj Hitlera.

Buchnął śmiech, rozgłośny, wesoły.

Szybko mknęły rowery z powrotem na Górę. Adam wpadł na ganek z krzykiem:

— Koniec wojny, koniec wojny, Niemcy przegrali!

W jednej chwili otwarły się okiennice i na podwórze padł z okien ciepły blask lampy. W domu wiwatowano na cześć zwycięzców. Adam słyszał głos Józka, opowiadającego, co widzieli na wsi. Nie wchodził do mieszkania. Chciał pozostać sam, zebrać myśli. Wojna skończyła się. Jeśli miał iść za granicę, musiał ruszać w drogę. Nie zwlekając, już jutro...

— Adaś! — zawołał ktoś z ganku.

— To ty, Józek?

— Tak. Chciałem cię o coś prosić... Widzisz... Pan Michał uważa, że muszę poprowadzić kurs. Chłopcy rwą się do latania, no i szkoda każdej chwili. Mieliśmy tak wielkie straty w lotnictwie... Więc zgodziłem się pozostać, tylko... właśnie policzyłem ludzi i okazało się, że nas jest za mało. Jeśli ciebie zabraknie, kurs się nie odbędzie... Czy mógłbyś pozostać jeszcze

przez dwa, no, może trzy tygodnie... aby mi dopomóc? Adasiu, mógłbyś?

Józek nic nie wspominał o własnych trudnościach, ale Adam dobrze wiedział, jak bardzo pragnął Józek iść do swoich. Jego twarz, której słońce nie chciało opalać, mówiła wyraźniej niż słowa o przebytych przez Józka cierpieniach, o tym, że i teraz Józek nie czuje się zupełnie dobrze. Jednak pozostawał. Podejmował się trudnego zadania.

Ach, Józek, Józek, czy można ci odmówić!

— Nie martw się — powiedział Adam serdecznie, ujmując szczupłą rękę szybownika.
— Ludzi wystarczy. Zostanę z tobą. — I mówiąc to uczuł nagle, że ogarnia go radość. Zostaje, będzie razem z nimi chociaż przez pewien jeszcze czas!

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY RYSZAWY HANEK

Zagroda Klossków drzemała w słońcu. Przytulone do szyb, wyglądały zza firanek różowe pelargonie, chluba córki Klosska — Francki. Kura zielononóżka wygrzebała dołek w ciepłym piasku i ułożyła się wygodnie, biała błonka zaciągnęła jej oczy. Spała. Spał też w budzie łaciaty pies Ćmik, wystawiwszy czubek czarnego nosa. Tylko pszczoły niezmordowanie brzęczały w powietrzu, wracając z łąk do uli, a pomiędzy kapustą kicały białe, długouche króliki.

Słońce stało wysoko na niebie. Po błękitie żeglowały wydęte białe obłoki. Głosy dzwonek napływały od strony wsi, niewidocznej zza ściany lasu. Dwunasta. Na Anioł Pański dzwonią.

Naraz trzasnęła otwierana furka i w słońcu zapłonęła ruda głowa chłopca. Pies wyjrzał z budy, a widząc syna gospodarza merdnął przyjaźnie ogonem. Wiadomo było, że o tej porze ktoś z gospodarzy wraca z pola, aby nakarmić cielaka, kury i kaczki i, co najważniejsze, jego, Ćmika. Pies kłapnął od niechcenia na przelatującą muchę i ułożył się wygodnie przed miską — w postawie pełnej wyczekiwania.

Hanek Klosssek skoczył tymczasem do domu przez zagonek fasoli i spłoszył kurę, która wyskoczyła z dołka wzniecając kłęby kurzu. W śmiesznych podskokach uciekały króliki. Hanek okrążył dom i wbiegł na podwórko otoczone zabudowaniami gospodarczymi. Przy gnojówce jedna za drugą szły kaczki. Kwoka rozgrzebywała słomę nawołując troskliwie swoje małe.

Hanek zatrzymał się i spojrzał w niebo. Biegając polem do domu zauważył samotnego gołębia. O, jest jeszcze. Wciąż krążył nad nim. Trzeba tylko wypuścić natychmiast stado gołębi, a samotnik przybije do niego na pewno. Nie zajmie to wiele czasu, nic złego nie stanie się cielęciu, jeśli trochę później otrzyma mleko. Niech pobeczy chwilę. Hanek zawrócił, przemknął obok stojących w ogrodzie uli, zręcznie przesadził płotek i zatrzymał się obok gołębnika. Coś miękkiego uderzyło go po bosych nogach. To małe osy wyłaziły z trawy, z niewidocznych podziemnych gniazd. Prostowały zmięte skrzydełka, jakby z karbowanej, przezroczystej bibułki zrobione, z wysiłkiem odrywały się od ziemi i omijając cień krążyły w słońcu, nisko nad trawą. Obawiały się widocznie odlecieć nieco dalej od zacisznego schronienia, które przed chwilą porzuciły. Ich skrzydła były jeszcze słabe i po chwili lotu osy opadały zmęczone i siedziały nieruchomo, odurzone słońcem, oderwaniem się od ziemi i pachnącą przestrzenią. Hanek ostrożnie strącił je z nóg i wdrapał się na gołębnik. Spojrzał w niebo. Gołąb latał jeszcze. Jego piórka miały w słońcu kolor lipcowego miodu. Rył rudy jak Hanek.

Od dzieciństwa nazywano syna Klossków — Ryszawym Hankiem. Wszyscy spoglądali na niego z obawą, bo i któż na Śląsku ufa rudemu?

Dzieci nie chciały się z nim bawić, chociaż najlepiej robił „bombki” z metalowych guzików od munduru, jego kamienie trafiały zawsze w dołek, zwany „ducką”, i jego bąki najzręczniejsz „zwyrtwały”. Czasem przyjmowano go do zabawy w „knefle”, ale żądano wkupu w postaci guzików. Inni chłopcy płacili nimi przegrane, on płacił za sam udział w grze i mu-

siał robić dla wszystkich grających zręczne „bombki”, które wyglądały jak głębokie czareczki bez podstawki. Hanek tak bardzo pragnął brać udział w zabawie, że ucinął guziki od ojcowskiego ubrania i uciekał do chłopców. Wtedy przez krótką chwilę przeżywał radość zwycięstwa. Jego „bombki”, odbite od drewnianego słupka, padały najbliżej poprzednio rzuconej, jego długie palce potrafiły zawsze pochwycić i przygwoździć obie „bombki”, i swoją, i przeciwnika. Na próżno chłopcy kładli się na ziemię, podglądali, czy naprawdę trzyma obie, dmuchali, żeby wytrącić mu je spod palców. Nie udawało im się, Hanek trzymał mocno. Cóż, kiedy nie przyznawano mu wygranej, chłopcy odbierali wszystkie guziki i uciekali krzycząc: „Ryszawy Hanek, Ryszawy Hanek!” Rzucał się w pogoń za nimi, wracał do domu w podartym ubraniu, z sińcami na całym ciele, wiedząc, że ojciec czeka na niego z pasem w ręku... Wreszcie pewnego dnia mamuliczka zamknęła wszystkie ubrania na klucz i zabawa z chłopcami skończyła się. Od tej pory Hanek zaczął hodować gołębie i króliki. Rodzice narzekali na nowe zamiłowanie syna, ale gołębi przybywało, a króliki skakały wesoło w ogrodzie.

Hanek otworzył gołębnik. W ciemnym wnętrzu na poprzeczkach poruszały się białe gołębie. Wygarnął je ręką na wybieg, a potem machnął gałganem zawieszonym na długim kiju — i gołębie trysnęły w górę jak woda. Wyżej, wyżej — kołują w błękitach. Zagarnęły samotnego gołębia w szalony wir. Nad górą błyskają srebrne łuki ich skrzydeł, cieniem i bielą migają nad masztem, na którym powiewa na wietrze biało-czerwona flaga.

Hanek pamiętał dzień, kiedy zawieszono ją po raz pierwszy. Szeregiem stanęli chłopcy. Kilku z nich miało krótkie, zielone mundurki. Stali wyprostowani na bacność, a flaga unosiła się powoli, aż zajaśniała bielą i czerwienią.

A tak niedawno z tego masztu zwisał sztandar ze swastyką, a z tej góry zbiegali „hajoty”, młodzi Niemcy z Hitlerjugend. Wszędzie dokoła brzmiała ich szczekliwa mowa. Dla hajotów pracowały maszyny wciągając szybowce na górę, dla nich pracowali okoliczni chłopcy. Hajoty tylko latali pod opieką krzykliwych, groźnych wodzów.

Hanek nieraz uciekał do nich, na szybowisko, ale przepędzano go, a ojciec bił za to: „Jo ci dom hajoty, aże ci dom, ty smyku!” — wołał ze złością i bił mocniej niż za odcięte guziki, niż za wszystkie przewinienia.

Hanka ciągnęło jednak tam nieodparcie. Nie hajoty ani zabawy z nimi, tylko te wielkie, długoskrzydłe maszyny, które cicho odrywały się od zbocza i płynęły w powietrzu jak ptaki. Krył się więc po kątach szybowiska, słuchał wykładów, uczył się zasłyszanych terminów, których przeważnie nie rozumiał, jakby to były jakieś magiczne zaklęcia, mające go wprowadzić kiedyś do wymarzonego lotniczego świata.

Potem zmieniło się wszystko. Niemcy uciekli w popłochu. Znikły brunatne mundury hajotów. Wraz z Niemcami uciekli niektórzy sąsiedzi: Hans Krupka, z tego domu, gdzie mieszka teraz Kłak, Johann Szwok, zza wody, i kilka rodzin, które mieszkwały we wsi przy szosie i „na zapłociu”. Były to najzamożniejsze niemieckie rodziny, przeważnie sklepikarze. Młodsza siostrzyczka Hanka, Marijka, spytała wtedy, czy i oni odjadą także. Ojciec rozgniewał się mocno: „Niemce tukej do nos przyszli — powiedział — to niech terozki se idom. My zostanymy, bo my tu som od wieków. Nasze starziki tukej na cmentarzu leżom”.

Niemcy uciekli. Przyszli Polacy. Ale Ślązacy w tych pierwszych dniach byli nieważni, choć, jak mówił ojciec, jak ta szara ziemia najważniejsi. Po zboczach znów zbiegali chłopcy, inni chłopcy, Polacy, ale nie Hanek. On patrzył tylko z zazdrością i żalem, a pomimo to czekał zawsze na wschodni wiatr, kiedy mógł ich widzieć, bo latali jak dziś — ze wschodniego zbocza. Pilotów było mało i sami wykonywali wszystkie prace. Nie huczała maszyna wlokąca szybowce, chłopcy sami ciągnęli wózek transportowy. Na razie dawali sobie radę, bo latali nisko jak małe osy ziemne, ale co będzie, kiedy zaczną startować ze szczytu?

Codziennie chciał iść do nich — i nie śmiał. Trudno wejść niepostrzeżenie do tak nielicznej gromadki. Zauważą od razu, przepędzą, skrzyczą. Innego przyjęcia nie mógł się spodziewać „Ryszawy Hanek” od obcych chłopców, którzy go uważali — za Niemca...

Kiedyś do ich domu weszła gospodyni z szybowiska. Pozdrowiła grzecznie, poprosiła o miód dla chorej. Ojciec poszedł do komory i wyniósł trochę miodu, pomimo to kobieta powiedziała do nich:

— Wy, Niemce!

Odtąd ojciec przestał wspominać sąsiadów z góry, tak samo jak sąsiada Kłaka, który ich także uważał za Niemców, a mamuliczka zabroniła dzieciom rozmawiać z przybyszami. Tylko Francka, która bardzo lubiła dzieci, patrzyła życzliwie na dwóch chłopaczków mijających często zagrodę Klossków w drodze do Kłaka.

Któregoś dnia starszy udawał, że goni malca, i wołał nań z daleka:

— Uciekaj, Lesiu, uciekaj!

Malutki biegł ze śmiechem, a za nim pędziły cztery psiaki szczekając donośnie. Któryś ze szczeniaków dogonił Lesia i wpadł mu pod nogi, chłopczyk przewrócił się tuż przy furtce ogródka Klossków. Francka wyskoczyła z pośpiechem, podniosła malca, otrzepała z kurzu rączki.

— Zajączka złapałeś, syneczku? — spytała. — I nie płaczesz. Toś zuch. A jak masz na imię?

— Leś. A ty? — i dotknął jej policzka brudną łapką.

— Francka.

— Francka — powtórzył. — A cy opowies bajkę?

— Opowiem. Ja dużo bajek znam.

Ale już zbliżał się starszy chłopiec. Odciągnął Lesia i kłaniając się uprzejmie powiedział:

— Dziękuję, Fräulein Klossek.

Poszli dalej, a Francka została na drodze. Czuła się winna, a nie wiedziała dlaczego. Czemu wszyscy ich uważają za Niemców, czemu omijają ich dom? Przecież zachowali ślaski obyczaj i ślaską mowę w ciągu długich wieków niewoli.

Hanek machnął kijem na powracające gołębie, zagwizdał zachęcając je do dalszego lotu i spojrzął na start. Na łączce w pobliżu domu lądował właśnie szybowiec. Opadł równiutko i stał wyprostowany, potem jedno ze skrzydeł pochyliło się bez pośpiechu i dotknęło trawy. Dobry lot. Cała gromadka latała dobrze, pomimo że tak bardzo męczyli się dodatkową pracą. Tylko jeden z nich lądował zawsze w owsie u Kłaka czy też u nich w kartoflach, ale nigdy na łączce, tam gdzie wszyscy. I teraz pewnie on polecą, bo instruktor daje znak ręką i piloci schodzą niżej na mały garbek u podnóża góry. Ciekawe, gdzie usiądzie dziś ten biedny pilot, może w rowie, nad którym mali chłopcy pasą białą kozę. Czerwona czapeczka Lesia mieni się w trawie jak mak. Psiaki zapewne znalazły kretowisko, bo szczekają cienko, wtykając w ziemię czarne, jakby polakierowane nosy.

Instruktor trzymając ręką skrzydło rzuca pytanie. Odpowiedzi pilota Hanek nie dosłyszał. Potem odkrzykuje ktoś głośno przy ogonie. Znow pytanie i słyhać chór głosów przy linach. Opalone plecy pochylają się. Bose nogi zaczynają się poruszać. Muszyna drgnęła i znow znieruchomiła w pogotowiu. Chłopcy biegną, napina się jasny trójkąt liny.

— Puść!

Hanek zapomniał zupełnie o tym, że w oborze beczy żałośnie głodne ciele, że ojciec czeka w polu na jego pomoc. Zapomniał o gołębiach, które jeden po drugim siadają na gołębniku. Patrzy tylko na szybowiec- który leci jakoś krzywo, skręca w prawo, na dom Klosska. Hanek zeskoczył z gołębnika. Biegając słyszał, jak z trzaskiem pękło ogrodzenie pod uderzeniem szybowca. Złamane skrzydło sterczy teraz pomiędzy sztachetkami. A co się stało z pilotem? Hanek pochyliła się nad nim troskliwie. Widzi bladą twarz- szeroko rozwarte oczy, w których nie ma przerażenia, tylko żal i zdumienie.

— O Jezusku, a cóż to ci się stało? — pyta Hanek z niepokojem. — Wyłóżże, wyłóż z Esgiega i pójdz se tu siednąć.

Krzyś mruga nieprzytomnie oczyma. Nie może zrozumieć, skąd się wziął przy nim rudy chłopiec Klossków. W głowie kołacze uparcie jedna myśl: „Rozbiłem maszynę! Rozbiłem maszynę, pomimo tylu nauk i rad Józka. Dlaczego ja mam takiego pecha? — pyta siebie na próżno. — Przecież teorię umiałem najlepiej, przecież początkowo i Maciej siadał na zagonach, i Jasiak zawisł raz na pasach, nawet Adasiowi, Radkowi i Małgosi zdarzyło się źle wylądować”. Teraz wszyscy latają dobrze, tylko on, tylko on jeden wciąż źle. Dlaczego? Ta sama maszyna, która u Adasia ślicznym ruchem układa się do lądowania, u niego z niesamowitym gwizdem leci gdzieś w bok. Przecież on stara się, uważa. Więc czemu?

— Krzacz — słyszy nad sobą głos Adasia. Adam pochyla się nad nim, rozpina pasy, dotyka niespokojną ręką ramion i nóg. — Co ci jest?

— Nic. — Piekące łzy nagle napłynęły do oczu pilota. — Czemu ja mam takiego pecha, czemu ja musiałem wlecieć akurat na ten płot?

— Jak to: czemu? — zdumiał się Adaś. — Całą nogę wdepnąłeś. Prawą nogę, więc maszyna musiała skrócić w prawo.

— Ja? Nogę? Kiedy?

— Zaraz po wyrównaniu wpakowałeś prawą nogę i trzymałeś ją przez cały czas. Tyś nawet nie wiedział o tym? Krzysiek, Krzysiek! Nie patrzże podczas lotu na drążek sterowy! Przed siebie patrz! Maciej! — zawołał odwracając się. — Krzyknij tam Józkowi, żeby się nie śpieszył. Krzyś cały i zdrowy, tylko skrzydło „poszło”...

Gromadka obok złamanej maszyny powiększyła się. Hanek widział po raz pierwszy z bliska znane sobie sylwetki. Kędzierzawy olbrzym, który z trudem mieścił się w szybowcu, wymachuje teraz rękoma jak skrzydłami wiatraka, sygnalizując instruktorowi, że wszystko w porządku, nie trzeba się śpieszyć.... Mali chłopcy biegną ku nim, młodszy zgubił w pośpiechu swoją czerwoną czapeczkę. Już nią się zajęły cztery psiaki i szarpią każdy w swoją stronę.

Nad pilotem pochyla się niebieskooki, drobny chłopaczek.

— Krzyśku, a może ciebie coś boli? Mam przy sobie apteczkę — mówi dziewczęcym głosem. — Powiedz, Krzysiek!...

I loki ma ten chłopiec długie, brązowe, złociste na zgięciach, jak dziewczyna. Hanek przygląda się ze zdumieniem: To dziewczyna naprawdę. I też lata z nimi!

— Powiedz, Krzysiek — powtarza za nią wysoki chłopak o źrenicach brunatnych jak miód sierpniowy. To ten, który wraz z instruktorem wydaje rozkazy na szybowisku. Jakże jest niepodobny do wodzów z Hitlerjugend! Czy potrafiłby krzyknąć, uderzyć?

Czarnowłosa pilot majstruje przy złamanym skrzydle, potem ze skupieniem ogląda płot.

— Dobry płot, stary płot — mruży — trzeba go będzie postawić. Stefku — pyta — pewnie już zabierzemy stąd tego „kalekę”? Jasiak nadjeżdża z wózkiem.

Chwytają szybowiec, ładują go na wózek. Hanek pomaga im gorliwie. Nikt się nie gniewa, nie krzyczy. Gdzieś z pola dolatuje śpiew Francki: „Poszła Karolinka do Gogolina”...

Dziewuszka, którą nazywają Małgosią, zaczyna nucić to samo, pochód rusza ze śpiewem. Hanek idzie za nim jak urzeczony. Wie, że robi źle, bo w oborze dopomina się o jedzenie głodny cielak, w polu ojciec pracuje sam, ale Hanek dotknął dziś skrzydeł maszyny i nie ma siły, żeby odejść.

Za domem spotkali instruktora.

— Jutro pojedziesz do miasta — powiedział do Krzysia. — Doktor Górski znajdzie zapewne chwilę czasu, aby cię zbadać. Jeśli czujesz się źle, połóż się od razu. Zwalniam cię na dziś od roboty. Tomek posiedzi przy zaczepie.

Józek nie użył słowa „jesteś zawieszony w lotach”, ale Krzyś wie, że to jest to samo. Dawno czekał na ten wyrok. Co dzień Józek spoglądał na niego z uwagą, i Krzyś był pewien, że instruktor namyśla się: zawiesić go w lotach czy jeszcze zaczekać? Inny instruktor zrobiłby to już dawno. Józek zwlekał, tłumaczył jeszcze raz od początku, zaczynał od szurów, skoków, dawał małe loty, aż wreszcie skończyła się Józkowa cierpliwość. Krzyś czuje żal do siebie,

nie do instruktora, który zrobił wszystko, co mógł. I teraz Józek nie gniewa się na niego, przeciwnie, żartuje, stara się rozproszyć jego smutek.

— Zwijamy start! — woła. — Na obiad, bractwo! Krzysiek, ty za mało jesz i dlatego brak ci siły do latania!

Zajęci swoimi sprawami, piloci nie zwracali uwagi na idącego za nimi Hanka. Weszli na szczyt, ustawili maszynę przy hangarze i zniknęli w głębi białego domu, skąd głos niewieści nawoływał:

— Cego zaraz nie przychodzicie? Kasa stygnie!

Hanek poczuł nagle, jak bardzo jest głodny. Nie chciał jednak wpraszać się na obiad do pilotów. Schowany za hangarem, czekał na ich powrót.

— Cisza! — zawołał ktoś na ganku.

Gwar ucichł od razu, tylko w głębi hangaru coś terkotało, stukało, jakby tam stał samochód z zapuszczonym silnikiem. Hanek nasłuchiwał, ale nic nie mógł zrozumieć. Ostrożnie wyjrzał spoza hangaru. Na szczycie panował spokój. Kura korzystając z chwili grzebała na grządkach. Biała koza, uwiązana przy jabłoni, leżała spokojnie przeżuwając trawę. Jej bródka poruszała się miarowo, skośne oczy sennie patrzyły przed siebie. W dole, nad kominem ojcowego domu ukazała się smuzka dymu. Widocznie matka sama przyszła odgrzać obiad. Oj, dziwi się pewnie, co się z nim stało. Ani głód, ani wyrzuty sumienia nie mogły jednak zmusić Hanka do powrotu. Bodaj dziś, bodaj tylko raz pobiega z pilotami przy linach, będzie dźwigał szybowiec, a może pozwolą mu usiąść na siodełku, może wystartuje? Niech ojciec bije później, ile chce...

Cisza skończyła się widocznie, bo z ganku zbiegł szybko Tomek i pędem pomknął do hangaru.

— Panie Michale, panie Michale — zaczął proszącym tonem — niech mnie pan wpuszcisci!

— Czego chcesz? — odpowiedziano mu z głębi.

— Ja... ja tylko chciałem zapytać.

— O co?

— Czy pan jeździł dylizansem?

— Nie jeszcze, ale będę jeździł.

— Gdzie?

— Tu, na Śląsku.

— Pan żartuje. We wsi są takie małe karetki, a ja myślę o prawdziwych dylizansach, które kiedyś woziły pocztę i ludzie nimi podróżowali z miasta do miasta...

— Takim dylizansem nie jeździłem i królowej Bony także osobiście nie znałem.

— Ojej. Pan żartuje, a ja pytam serio. Przecież pan jeździł chyba dylizansem, przecież pan sam opowiadał, że znał Tańskiego, a on korespondował z Lilientalem, kiedy jeszcze samolotów na świecie nie było — trzepał Tomek szybko — i pan widział pierwsze zawody szybowcowe w Białce, i...

— Zawody w Białce odbyły się w 1923 roku — wyjaśniał cierpliwie pan Michał nie otwierając jednak drzwi hangaru — a wtedy już po dylizansach dawno ślad zaginął. A Tańskiego mógłbyś także znać. Ostatni raz widziałem go przed wojną, całkiem dobrze się trzymał i młodo wyglądał.

— Czesław Tański! — wykrzyknął Tomek ze zdumieniem. — P r a w d z i w y Czesław Tański! Może to był jakiś inny?

— Ten sam, autentyczny. Puszczając pierwsze modele na Polu Mokotowskim i korespondując z Lilientalem miał on pewnie ze dwadzieścia lat. A było to około roku 1893. Oblicz, mój miły, ile on może mieć w tej chwili, i nie przeszkadzaj nam w pracy.

— A co robicie? — dotknął nareszcie Tomek najbardziej interesującej go sprawy.

Od kilku dni coś terkotało w hangarze, a Jasiek i Radek, obie „prawe ręce” pana

Michała, przesiadywali tam nawet w czasie ciszy.

Co oni mogli robić? Wszyscy trzej mieli tajemnicze miny i nie odpowiadali wcale na pytanie: „Co terkoce w hangarze?” Józek uśmiechał się tylko i mówił: „W hangarze rządzi pan Michał, jego pytajcie”.

— Co robicie? — powtórzył Tomek i czekał z bijącym sercem na odpowiedź.

— Młynek do kawy dla Antkowej — wesoło rzucił pan Michał.

— Pan nie chce nic powiedzieć...

— Przecież mówię: idź, bracie, i nie przeszkadzaj.

— Pan gniewa się pewnie, że pana „postarzyłem”.

— Nie. Każdemu z nas wydaje się w dzieciństwie, że to, co było przed jego urodzeniem, działo się przed wiekami. Pytaj dalej, bracie, byle nie teraz i od razu cię uprzedzam, że piramid nie stawiałem i arka Noego też nie pływałem...

Tomek, nieco speszony, stanął przy hangarze.

— Na start! — wołał Józek i piloci z pośpiechem wybiegli z domu, tylko Małgorzatka schodziła wolno, bo sprowadzała małego Lesia.

— Leśku — pytała — czy wiesz, co mówi kurka?

Podniósł na nią pytające spojrzenie.

— Bo-so cho-dzę, jaj-ka nio-sę, kup-cie mi chodaaak!

— Chodak — powtórzył zadowolony — kupcie mi chooodak!

— Kurze, jak kurze, ale nam przydałyby się nowe chodaki — powiedział Józek. — Tomkowi zupełnie z nóg już spadają. Tomeczku, a cóż tam ciekawego znalazł za hangarem, pewnie chcesz zobaczyć przez szparę, co robi pan Michał?

— Wcale nie podglądałem — oburzył się chłopiec. — Ja tylko patrzę, bo tam coś rudego miga za hangarem. Wiewiórka czy co. — Tomek znów zrobił krok naprzód. — Nie, to nie wiewiórka, to ktoś przyszedł „Zakrętem Niespodzianek”.

— To syn Klosska, tego Niemca spod Góry — poznał Adam wyłażącego nieśmiało zza hangaru chłopaka. — On nam pomagał po kraksie. Dziękuję ci — wyciągnął do niego rękę. Ale chłopak odtrącił jego dłoń z gniewnym błyskiem oczu.

— My nie som Niemce! — krzyknął.

— Ależ jestem osioł! — wykrzyknął Maciej podbiegając. — Szukałem Ślżaków dokoła, a tuż koło nas mieszkają Ślżacy, a myśmy myśleli, że Niemcy. Słusznie się gniewasz, Hanek, ale nas nazwisko wprowadziło w błąd. Wy pewnie jesteście Kłoskowie, tylko was Niemcy na Klossków przerobili. Tak?

— Jo — kiwał głową Hanek. Maciek wyjaśniał wszystko tak prosto i zrozumiale, jakby to mówił ich nauczyciel, który w czasie wojny przyjeżdżał do nich po kryjomu z Prudnika.

Jacyż swoi, bliscy byli wszyscy ci chłopcy. Nie gniewali się na niego, przeciwnie, przepraszaali, że nie podeszli pierwsi. Może wobec tego zgodzą się, żeby on latał razem z nimi. I zdobywając się na odwagę Hanek spytał z głębokim przejęciem:

— Chłopcy! Jo terozki z wami zostana? Jo bych też tak chcioł z wami furgoc.

— Ależ owszem — zażartował Józek — tylko musiałbym cię przeegzaminować, bo moi chłopcy skończyli kurs teoretyczny.

— Jo słyszoc u hajotów, bo oni tyż furgali jako i wy.

— Więc powiedz rai, jak się nazywają te chmury, które teraz płyną po niebie. Wiesz, bracie?

— Jo — odparł Hanek spoglądając na kłębiaste obłoki — to som: cumu, cumu...

— Cumulu... — pomagał Józek.

— Cumulusy — wypalił Hanek. Jego czerwona twarz zaczerwieniła się jeszcze bardziej, płonęła z przejęcia jak żagiew.

— Doskonale — powiedział instruktor — a może znasz także podobne do tych chmury, tylko o ciemniejszych, groźnych podstawach. — Józek pokazywał rękoma, jak wyglądają te

chmury, a jego oczy podpowiadały Hankowi nazwę.

Chłopiec myślał z natężeniem, przywoływał wspomnienia tajemniczych, magicznych słów — terminów, których uczył się po kryjomu na pamięć. Teraz miały go wprowadzić do lotniczego świata, a one jak na złość uciekły z jego głowy. Nie pamiętał.

— Cumulo... — no, Hanek: cumulo... — podsuwał mu nazwę Józek.

Hanek szukał rozpaczliwie. Zaraz, zaraz, niech zaczekają chwilę. On sobie przypomni. Przecież słyszał, na pewno słyszał tę nazwę. Kiedyś niemiecki instruktor pokazywał ręką niebo, pytał uczniów, jak się nazywa burzowa chmura, tak podobna do kłębiastych obłoków. Chłopcy chórem wykrzyknęli tę nazwę, a on długo jeszcze powtarzał ją sobie: cumulo... cumulo... Aha! Już jest. Znalazł ją wreszcie.

— Cumulobimbusy! — zawołał z tryumfem.

Chóralny śmiech był mu odpowiedzią. Śmiał się nawet malutki Leś, chociaż nie rozumiał, o co chodzi. Z hangaru wychyliła się roześmiana twarz mechanika. Hanek zbladł. Kpili z niego, wyśmiewali jak wszyscy chłopcy, a on przez chwilę uwierzył, że mówią serio. Zapomniał, że jest „Ryszawym Hankiem”.

— Dajcie spokój, przestańcie! — nawoływał Józek, chociaż sam nie mógł powstrzymać się od śmiechu. — Nie gniewaj się, Hanek, te chmury, o które pytałem, nazywają się Cumulobimbusy. Pomyliłeś trochę i to nas ubawiło. Ale to nic. Chodź z nami na start, kochany „Cumulobimbusie”, kiedy aż tyle umiesz. Dam ci jeden szur, a potem pogadamy.

— Cumulobimbusie, pewnie jesteś głodny? — pytał Stefan i pomimo sprzeciwu Hanka kazał Tomkowi biec do Antkowej po kaszę.

I w kilka minut potem Hanek siedział wraz ze wszystkimi na starcie. Jadł kaszę. Biegał z linami.

Nie gniewał się wcale o przezwisko, cóż to znaczyło wobec tego, że zagarnęli go serdecznie, rozmawiali z nim jak z przyjacielem, pozwalali sobie pomagać. A kiedy wreszcie instruktor skinął na niego ręką i powiedział: — No, Hanek, teraz ty, szoruj, bracie, a prosto! — serce zamarło w chłopcu, a potem wypełniła je przeogromna, pierwsza w życiu prawdziwa radość. Z błyszczącymi oczyma wpatrywał się w punkt wskazany przez Józka.

Poszorował po ziemi, czuł, że skrzydła są wyprostowane, więc chwilę przeczekał, nie spiesząc się pochylił drążek w prawo, aż skrzydło dotknęło trawy.

— Ma czucie — powiedział instruktor — trzeba będzie pomyśleć naprawdę o jego szkoleniu.

Kiedy odpoczywali, Maciej wypytywał Hanka o polskie książki. Chłopiec ze zdumieniem stwierdził, że olbrzym zna świetnie śląskich pisarzy i tytuły śląskich pism. Małgosia śpiewała piosenki te same, co Francka, i mówiła:

— Tak śpiewają u nas w Bielsku, na Śląsku Cieszyńskim. To są polskie piosenki, Hanku.

Hanek był szczęśliwy, czuł się nareszcie wśród swoich, tylko jedna myśl dokuczliwa i natrętna psuła mu radość: „Tata mi pasem narzli, jakech do hajotów chodził, a co terazki pedzom?”

ROZDZIAŁ DRUGI POMYŚLNE WIATRY

Hanek nie zdziwił się wcale, kiedy ojciec przywitał go gniewnym:

— Ty nicpotoku, kaś ty łaził, ty leniu siemianowicki!

Przygotowany pasek leżał na stołku beczynnie, a ojciec i mamuliczka wypytywali syna o mieszkańców szybowiska. Hanek powtarzał im słowa Maćka, a oni kiwali głowami potakująco i spoglądali po sobie rozjaśnionymi oczyma. Wielkie przewinienie Hanka zostało mu darowane, chociaż najcięższe cięgi dostawał niegdyś za przebywanie na starcie z hajotami. Pomimo to nie mógł latać. Nadszedł czas okopywania warzyw. Powiat prudnicki, a i pobliskie: Głubczyce, Opole, Racibórz — słynęły szeroko z hodowli jarzyn. W końcu maja i na początku czerwca wszyscy gospodarze wychodzili w pole z motykami w rękę, a na jesieni kopiałe wozy, pełne warzyw, rozjeżdżały się we wszystkich kierunkach, docierając nawet do Czech. W tym roku Kłoskowie posadzili warzywa dość daleko od domu, aż hen pod lasem, i dlatego wychodzili w pole na cały dzień zabierając ze sobą jedzenie. Do zagrody, pilnowanej wiernie przez Ćmika, przybiegała tylko Kłoskowa albo też Francka, aby dać zjeść żywinię i podgrzać obiad dla pracujących.

Wieczorami Hanek czekał na przyjście pilotów. Maciej przecież tak bardzo pragnął zobaczyć stare książki, a Małgosia chciała nauczyć się nowych piosenek od Francki. Nikt nie przychodził. We dnie, kiedy wiał wschodni wiatr, z daleka widział chłopiec, że latają. Teraz szybko posuwali się ku górze, widocznie Krzys odpadł zupełnie i już im nie przeszkadzał.

„Zapomnieli” — myślał z żalem.

Na szybowisku nie zapomniano jednak o Cumulobimbusie. W ciągu dnia Tomek i Leś biegali kilkakrotnie do zagrody Kłosków, ale opowiadali później niezmiennie, że zagroda opustoszała, że tylko Ćmik obszczekuje ich zajadle, a białe króliki umykają do ogrodu.

— Nie ma Fłancki — dodawał Leś rozkładając rączki.

— Co się dzieje z Hankiem? — trapił się Józek. — Teraz już nie będę mógł go szkolić. Nie dogoni was.

— Pewnie pracują przez cały dzień daleko od domu — domyślał się Stefan. — Musimy pójść do nich późnym wieczorem.

Każdego ranka powtarzali: „Już dziś na pewno odwiedzimy Cumulobimbusa”. Ale wieczorem ręce i nogi ciążyły jak kamienie, powieki zamykały się same. Niełatwą było rzeczą dźwigać po każdym locie szybowiec do połowy wysokości góry i biegać cały dzień z linami — o pęcaku z odrobiną mleka.

Józek stawał się bledszy z każdym dniem i Stefan spoglądał na niego z niepokojem.

— Zmęczyłeś się, Józek — mówił. — Odpocznij!

— Wciąż odpoczywam — zbywał żartem jego troskliwość młody szybownik. — Wy nosicie maszyny i naciągacie liny, a ja przyglądam się temu i jeszcze dogaduję, że to i tamto — nie tak. Musimy częściej robić przerwy na odpoczynek, bo ustaniecie któregoś dnia. Krzych! — zwracał się zaraz do niefortunnego pilota. — Nie wolno wyglądać tak mizernie na szybowisku, tradycja na to nie pozwala!

— Jaki pan, taki kram! — odpowiadała na to Maciej wyciągając ołówek z przepaścistej głębi czarnych spodenek. — Opiszę was obu w dzisiejszej gazecie.

Ale nie wykorzystywał jakoś notatek, które gromadziły się w kieszeniach. Na tablicy wciąż jeszcze widniała karykatura Krzysia i rozbitego szybowca z podpisem: *Kochany szybowiec rozplatany na krzyż, czemu, instruktorze, krzywo na mnie patrzysz?*

Krzys nie prosił o usunięcie rysunku, chociaż z ogromną przykrością spoglądał na upamiętnienie swej ostatecznej klęski. Krzys latać nie mógł. Doktor Górski stwierdził u niego brak równowagi.

— Czy chciałbyś wrócić do domu? — pytał zafrasowany Józek, kiedy sprawa wycofania Krzysia z kursu została zadecydowana. — Może ci będzie przykro patrzeć na loty?

— To nie ma znaczenia — odpowiedział chłopiec patrząc gdzieś w bok — zostanę, dopóki będę potrzebny.

— Spodziewałem się tego po tobie, przyjacielu — serdecznie powiedział Józek — i nie martw się, Krzych, będziemy latać w przyszłym roku.

Wydawało się wszystkim, że Krzysztof przyjął spokojnie wyrok doktora. Jak dawniej przychodził na start wraz ze wszystkimi i wykonywał pomocnicze prace. Tylko Józek spotykając wzrok pełen tęsknoty, którym chłopiec odprowadzał każdy startujący szybowiec, wiedział, co czuje biedny Krzys. W niczym jednak nie mógł mu już pomóc.

Któregoś dnia odpoczywali wszyscy na trawie po „wspinacze” z szybowcem. Dokoła nich kołysały się wielkie rumianki i liliowe chabry wśród pierzastych źdźbeł trawy. Małgorzatka zbierała zioła i układała w cieniu wonne ich pęczki. Chłopcy drzemali żując kwaśne listki szczawiu. Cykotanie świerszczy, brzęczenie pszczół i pieszczotliwe dotknięcie słońca usypiały ich od razu.

— Zjadłbyś, Adasiu, „witaminki”? — postyszał Adam nad sobą głos Małgosi i chłodne listki dotknęły jego twarzy.

— Bym — odpowiedział jak Leś, nie otwierając oczu.

Jak miło leżeć w pachnącej, rozdzwonionej trawie. Czas zatrzymał się dla nich na jakiejś słonecznej godzinie. Dnie mijały różne, a przecież tak do siebie podobne. Deszcz bywał witany niezmiennie piosenką: *Nie lej, deszczu, nie lej, bo nam cię nie trzeba...* a w pogodne dnie Maciek budził ich parodiując „Żeńców”: *Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego, czy widzisz ty na starcie Józika naszego.*

Spiewy, loty, wiersze, przyjacielskie pogawarki, wykłady Józka i pana Michała — wypełniały ich życie. Czasami tylko Stefan z Józkiem jeździli samochodem do wsi po nowy przydział kaszy lub też zabierali Małgosię do doktora Górskiego, który dostarczał szybowisku lekarstw i robił krótkie, treściwe wykłady z dziedziny pierwszej pomocy sanitarnej.

Wracając przywozili ze sobą nowiny ze świata, ale wszystko stało się nierealne prócz lotów, słońca, które pomagało im znosić trudy i głodowanie, oraz cykotania świerszczy polnych, usypiających podczas odpoczynku.

— Józek! — zawołał głośno Radek i Adaś ocknął się z półsnu. — Józek, więc my właściwie mamy już kategorię „A”, bo zaczynasz przerabiać z nami skręty?

— Umiecie tyle, że można wam przyznać kategorię „A”, ale ja nie mam na to prawa.

— Och, Józek — uniósł się Maciej na łokciu — jesteś takim samym „Katonem” jak Stefan.

— Jeśli już Katonem, to „Starszym” — odparł na to Józek.

— Mówcie tak, żeby i technicy mogli was zrozumieć — wtrącił Radek z niezadowoleniem. — Znam pana Edisona i pana Marconiego, i wiele innych zasłużonych osobistości, ale nie miałem dotąd okazji spotkać panów Katonów ani seniora, ani nawet juniora.

— Nic dziwnego, technicy interesują się tylko maszynami i twórcami wszelkich maszyn — zaczepnie powiedział Maciek.

Już chłopcy odpoczęli i zaczyna się wielki spór pomiędzy Maćkiem a Radkiem. Maciej stara się przekonać o wyższości nauk humanistycznych nad technicznymi. Radek zapalczywie broni techniki.

— Lubisz latać, Maćku — woła teraz w odpowiedzi — a na techników narzekasz. Wy, humaniści, umiecie tylko korzystać z odkryć!

— Trafił kulą w płot! — pogardliwie odpowiada Maciej unosząc z ziemi kędzierzawą głowę. — A kto pierwszy pomyślał o lataniu? Może technicy, a nie lud, który opowiadał baśnie o latających mnichach, co? Może nie malarz, artysta Leonardo da Vinci, kreślił pierwsze plany latających maszyn? A co robiły tymczasem powagi naukowe? Udowadniały zawile, że lot na maszynach cięższych od powietrza jest niemożliwością — i pewien, że całkowicie pograżył przeciwnika, Maciek wyciągnął się znów w trawie.

— Co on plecie, ten humanista! Lud i artyści! Dobrze sobie. Cóż oni stworzyli? Bajdy i nieudane modele. Skakali z wież jak wariaci i zabijali się. To jest właśnie poezja! A w rzeczywistości, jeśli chcesz wiedzieć, wysoki poziom techniki umożliwił dopiero prawdziwy rozwój lotnictwa. Technicy zrealizowali marzenia poetów i ludu!

Obaj porwali się z miejsc, obudzili chłopców, teraz wszyscy zaczęli wołać równocześnie:

— Zrealizowali marzenia! Nieprawda! Nawet marzenia twórców samolotów są już wykoślawione. Oni nie tworzyli maszyn latających do mordowania ludzi!

— Trzeba myśleć o nowych wynalazkach, które uszczęśliwią świat.

— Uszczęśliwią! A jakże! Zwłaszcza jeśli będą użyte znów do mordowania. Od nas zależy szczęśliwość świata, a nie od wynalazków.

— Ludzkość powinna tęsknić teraz za jednością świata.

— Też wyrwał się. Co to ma do maszyn?

— Bardzo dużo, Radku. Lotnictwo może się stać łącznikiem pomiędzy krajami, pomoże do wymiany dóbr kulturalnych, ułatwi wzajemne poznanie się.

— Poeta!

Józek wtrąca się do dyskusji. Wszyscy cichną. Spokojny Józek jest kopalnią wszelkich wiadomości. Ale on zaczyna opowiadać o „Wzlocie”, gromadzie chłopców, których spotkał w czasach wojennych, a którzy i wtedy nawet myśleli o pokojowych zadaniach lotnictwa.

Adam otworzył oczy. Nad nim płynęły po błękitnie kędzierzawe obłoki. Kiedyś, będąc dzieckiem, Adam lubił patrzeć w niebo i marzył, że zostanie badaczem, jak Piccard, jak Prokofiew.

Jakże wielki i nieznanym jest świat! Jakim szczęściem byłoby móc go badać! Cóż, kiedy burza wojenna wyrzuciła Adama poza nawias życia. Stracił dla nauki cztery długie lata, nie dogoni już nigdy swoich rówieśników. Może będzie poznawał świat — tylko jako bezdomny włóczęga?

Ale nie trzeba o tym myśleć, postanowił przecież nie martwić się niczym, powinien się radować raczej słonecznymi chwilami, które darował mu los.

Chłopiec wstał. Zmęczenie minęło, już gotów był znowu do lotu i do pracy. Koledzy jeszcze rozprawiali o przyszłości świata, ale Józek spoglądał na zegarek. Chwila odpoczynku — skończona.

— Małgosia, do maszyny! — mówi Józek wstając.

Małgorzatka wsunęła opalone nogi w długie spodnie, na których przed chwilą odpoczywała. Chłopcy podnoszą szybowiec, Stefan woła:

— Do-liniaarze *, do lin!

— No — pochylił się Józek nad dziewczynką — zrobisz skręt w prawo — i jego palce wykonały przy tym w powietrzu piękny skręt. Padają znane słowa: „po oderwaniu się leciutko oddaj” **, „wyrównaj”... a potem nowe, ważne, których trzeba się nauczyć, aby móc odruchowo wykonać prawidłowo skręt, jak dziś: „leciutkie oddanie przy starcie” i „podciągnięcie” *** przy lądowaniu.

Józek skończył. Wyprostował się i ogarnął start uważnym spojrzeniem. W zupełnej ciszy padły pierwsze słowa:

— Pilot gotów?...

U podnóża góry ścielą się pola Kłoska i Kłaka. Lekki wiatr zmarszczył kwitnące zboże, które jest górą srebrzyste jak morskie fale głaskane słońcem. Obok żyta ciemniejszą zieloną owsy, dalej równymi rzędami ciągną się przysadziste kartofle.

Jakaś mała chmura przesłoniła słońce. Biegnie do góry lekki, szybki cień. Na chwilę gasi czerwień dachówki na białych domkach, ściemnia barwę zboża, a zbita gromada owiec na tle zieleni wygląda jakby widziana przez zadymione szkło. Ale już bieleją owce, cień pomyka dalej. Szybowiec oderwał się od zbocza, spływa łagodnie w dół. Cień musnął go tylko i w słońcu nagle błysnęło pochylające się skrzydło. „SG” kładzie się w śliczny, głęboki

* Doliniarze — żartobliwa nazwa dla pilotów naciągających liny.

** „Oddać” — odsunąć od siebie drążek sterowy.

*** Podciągnięcie maszyny uzyskuje się przez ściągnięcie drążka sterowego na siebie.

skręt, leci w kierunku domu Kłoska, zaślania dachówkę, która jest znów jaskrawoczerwona. Jeszcze raz pochyła się skrzydło — drugi wiraż. Szybowiec traci na wysokości, przesuwa się niziutko nad ziemią, już w linii prostej — i siada. Biegną ku niemu chłopcy, turkoce ciągnięty wózek. A cień ucieka wyżej, ogarnia Józka i Krzysia, którzy przez sekundę czują jego przyjemny chłód, mija Tomka, mknącego od strony hangaru z linką w ręku.

— Józek! — krzyczą z całych sił. — Józek! Budrysi przyjechali!

Instruktor odrywa oczy od szybowca. Wszystko w porządku. Lot był jak złoto, lądowanie prawidłowe. Teraz można zająć się innymi sprawami.

— Co powiadasz?

— Budrysi przyjechali — mówi zasapany Tomek. — Na rowerach: wszyscy trzej, a z nimi jacyś nieznanymi chłopcy, ale też w szafirowych koszulkach. Tylko tego nie ma, co się tak lubił chwalić: Olka Bukary.

— Budrysi — cieszy się Józek. — Nareszcie!

Wszyscy mieszkańcy Góry czekali z niecierpliwością na powrót tych, którzy wraz z nimi budowali szybowisko, chociaż znajdowali się tak daleko.

— Gdzież oni są, Tomku? Niechże ich uściskam!

— Są w domu. Chcieli od razu przyjść do ciebie na start, ale wpadli w ręczki Antkowej i siedzą teraz grzecznie przy kaszy, umyć, jak się należy, a byli czarni od kurzu. I wiesz! Cieszyli się, że ich samochód chodzi „jak stary” i że się nam przydał. Wszystko już im opowiedziałem. Aha! I listy przywieźli, i pęcak. Józek, czy teraz w Polsce jest tylko pęcak i żadnej innej kaszy?

— Nie tylko! — odpowiedział Józek z roztargnieniem. — Listy, powiadasz? Do kogo?

— Do Stefana i do mnie pisała mamusia. Pyta, kiedy wrócimy, bo obie z Lusią okropnie tęsknią. Lusie nie chce dłużej czekać i też wybiera się na Górę Czterech Wiatrów.

— Tylko jeden list przyszedł..

— Ach, nie. Są listy do Radka, do Krzysia i do Małgosi, i do ciebie też, jakiś oficjalny z pieczętkami.

— Tomek, biegnij z powrotem i przynieś mi ten list, a jeśli Budrysi nie są zbyt zmęczeni, poproś ich, żeby przyszli do mnie.

— Ale właśnie pan Michał prosił, żebym tu był.

— Coś pokręciłeś, bracie, albo zapomniałeś.

— Ja teraz o niczym nie zapominam — obraził się Tomek. — Już z tego wyrosłem.

Józek z uśmiechem obrzucił go spojrzeniem. Tomek wyrósł rzeczywiście. Okrągła jego twarz wyciągnęła się nieco, nos nie był już tak ciekawie zadarty do góry.

— Wyrosłeś, wyrosłeś. Nie jesteś już „Słoniem Trąbalskim”. Ale powtórz porządnie, co mówił pan Michał.

— Pan Michał kazał mi zabrać tę linkę. Od hangaru ją tak rozwijam z kłębka i jeszcze mam w ręku cały zwitek. Co ty z nią zrobisz, Józku?

— Za chwilę zobaczysz sam. A teraz biegnij po list! Szybko! Na jednej nodze! I sprowadź Budrysów!

— Krzysiu — zwrócił się do towarzyszącego mu chłopca — zejdź do Radka i oddaj mu tę linkę. Rozwijaj ostrożnie, żeby jej nie poplątać.

Chłopcy ruszyli każdy w swoją stronę, a Józek podniósł rękę.

— Staaać! Staaać! — wołał do pilotów dźwigających pod górę maszynę. — Raadek, staaaaać!

— Co się stało? — pytali zatrzymując się piloci.

— Krzysieek, co się stało?!

— Liiinaaa! — odkrzykiwał biegnąc. — Liiinaaa! — A za nim, szeleszcząc w trawie, ciągnęła się stalowa linka.

Piloci patrzyli nic nie rozumiejąc, bo Krzys to biegł, to zatrzymywał się nagle, rozwijał

coś w rękę i biegł dalej.

Pan Michał przysyła wam linę! — krzyknął wreszcie, zbliżając się. — Józek mówi, że mam ją oddać Radkowi.

Radek mrugnął porozumiewawczo na Jaśka, obaj szybko zahaczyli przyniesioną linę o szybowiec.

— No, bracie, razem, trzymajcie Esgiega! — dyrygował rozpromieniony Samoradek. — Stefan, ty stań przy ogonie, a ty, Maciej, z boku, o tak.

Słuchali wypytując, o co chodzi, ale Radek uśmiechnął się tajemniczo i podniósł rękę. Widocznie czekano tylko na ten znak, bo natychmiast zaterkotało coś w hangarze, szybowiec drgnął i ruszył naprzód, podtrzymywany przez pilotów. Radosne: „Hoooo!” — poniosło się nad zboczem. A więc to taką niespodziankę przygotował pan Michał i jego „prawe ręce”. Naprawili wyciąg transportowy! Już nie trzeba będzie ciągnąć wózka z szybowcem własnymi rękoma. Skończyła się straszliwa udreka!

Motorek gra dobrodusznie, linki drgają. Szybowiec pełźnie powoli, kołyszac się na nierównościach gruntu.

— Coś się popsuło. Stoop! — wołał Radek.

Motorek cichnie. Pan Michał wyskakuje z hangaru, patrzy w dół z niepokojem. Ale już Radek daje znak, że wszystko w porządku. Znów terkot. Szybowiec uparcie posuwa się naprzód.

Tak dotarli do szczytu, tu wołania powitalne pomieszały się z okrzykami na cześć pana Michała, Radka, Jaśka.

— Teraz dopiero będą loty! Może uda się nawet zrobić kategorię „C”, Józku!

Józek stał obok Budrysów, zmieniony do niepoznania: radosny, promienny. Wyglądał na zdrowego człowieka.

Pismo, które otrzymał, było wprawdzie urzędowe, z Departamentu Lotnictwa Cywilnego, ale z koperty wypadła karteczka zapisana drobnymi literkami.

Józek, bracie! Rad jestem, że Ty właśnie zabezpieczasz to zagubione na Śląsku szybowisko. Poczekaj na mnie, przywiozę Twego zastępcę. Pewnie szkolisz swoją dzielną załogę, zalegalizuję więc ten kurs. Twój list wystąłem na Pomorze, do Żądźborku, gdzie są Ewa i Jacek. Cieszę się ich radością, bo szukali Cię długo i rozpaczliwie. Bądź zdrow, Józek, czekaj na mnie.

Twój instruktor

Wiktor Stefański

Te kilka słów dały Józkowi poczucie, że nie jest odcięty od reszty świata. Wiadomości o rodzinie i o Wojtku odnajdą go na dalekiej Górze Czterech Wiatrów, może więc spokojnie prowadzić dalej swą pracę.

— To tylko od was zależy, czy zrobicie „C” — dźwięcznie odpowiada otaczającym go pilotom. — Nasz kurs nie jest już „dziki”, mój instruktor ze Stokłosów, o którym wam opowiadałem, przyjedzie do nas i przyzna wszystkim zdobyte kategorie. Czekając na niego będziemy latać.

— A my? — dopytywali się Budrysi. — Józek, jeśli my tu będziemy „od macochy”, uciekamy natychmiast do Grunowa albo na górę Chełm.

— Nie wypuszczę was bez kategorii! Jakże może odjechać nasza łączność ze światem!

— Nie puścimy! — ryczała gromada.

— Stefek! — wołał Józek. — Zorganizujemy dwa kursy. Nareszcie Cumulobimbus zacznie latać. A gdyby tak pójść do niego dziś wieczór, co?

— Koniecznie. Koniecznie. Potem znów zabraknie czasu — potakiwał Stefan.

Tegoż wieczoru poszli do Kiosków, a z nimi pan Michał, zabierając ze sobą Lesia.

Mały bowiem twierdził uparcie, że musi zobaczyć „Fłanckę”.

Maciek stał przed czarną tablicą w świetlicy. Zmazał karykaturę Krzysia i zastanawiał się, co napisać w nowej gazecie. Wszystkie materiały, które gromadziły się w jego kieszeni, były już nieaktualne.

— Zdaje się, że Lech jest „piśmienny” — powiedział sobie — on mi pomoże.

Przy stole w świetlicy siedział Czesław i opowiadał Radkowi o jakimś samochodzie.

— Czesław, nie wiesz, gdzie Lech?

— Na ganku.

Maciej wyrztał przez okno. Teraz dobrze słyszał głos Lecha i pytania rzucane przez kogoś. Aha, to Jasiek i Adam.

— Hej, Lech! — zawołał. — Chodź tu!

— Nie zwracaj głowy, Maciek — odpowiedział mu Jasiek. — Lech do ciebie nie przyjdzie.

— Przyjdę, przyjdę, tylko poczekaj... — śmiał się Lech za zieloną ścianą pnącego się wina.

— A o czym gadacie?

— Odczep się, Maciej, Lech opowiada o szkołach dla zapóźnionych. Adam też chce słuchać. Nie przeszkadzaj.

— Moi wy „zapóźnieni w rozwoju” — pokpiwał Maciek — odłóżcie do jutra poważne rozmowy. Dziś jest dzień dobrych nowin. Cumulobimbus nareszcie będzie latał. Antkowa zareczyła się z Kłakiem. Przecież musimy jakoś uświetnić te zdarzenia. A może... czekajcie, mam myśl! Zrobimy kawał „starszyźnie”. To się uśmieją, kiedy wrócą. Hej, bracia, chodźcie na naradę.

— Co z nim zrobić? — pytał Adam wstając. — On nie uspokoi się, dopóki nie napisze gazetki albo nie zorganizuje czegoś wesołego. Chodźcie. Szkoda, żeśmy usiedli tak blisko domu.

— Jutro skończymy rozmowę — dodał Lech pojednawczo, widząc zagniewaną twarz Jaśka. — Chodźcie, Adam, Jasiek, Krzysiu!

Krzyś, który przysłuchiwał się rozmowie na ganku, pozostał sam. Na podwórzu Antkowa przywoływała rozdokazywane psiaki. Z pokoju dochodziły śmiechy kolegów. Krzyś poczuł się samotny wśród ogólnej radości.

— Krzysiek! — krzyczał Jaś przez okno. — Gdzie ty? Chodź, hecę robimy!

Potrząsnął przecząco głową, chociaż go nikt nie widział, i przez okno wsunął się do pokoju Małgosi, a stamtąd przeszedł cicho do sypialni chłopców. Równymi rzędami stały łóżka i prycze zasłane szarymi kocami. Krzyś rzucił się na swoją pościel i zakrył twarz rękoma. Jakież pech prześladowa go w życiu. Czemu to on właśnie nie ma poczucia równowagi i po starcie otacza go siwa mgła, tak że nie widzi nic dokoła. Nie dla niego były przygody wojenne, a teraz okazało się, że i lotnictwo jest dla niego niedostępną dziedziną.

Józek pociesza, że to nic straconego, że na przyszły rok dogoni wszystkich. Koledzy powtarzają to samo, nawet Jasiek, który lubi czasem dokuczyć. Ale Krzyś wie, że nigdy nie będzie pilotem, nie może przecież latać nie mając poczucia równowagi. Przez całe życie będzie stał na bocznym torze, patrząc, jak przelatuje obok niego radosne, rozpędzone życie. Jest połamańcem niepotrzebnym nikomu.

Przez otwarte okno wlewało się świeże, leśne powietrze. Ptaki usypiały. Podejmowały wieczorny koncert świerszcze polne. Cykotanie napływało falami. Rozpoczęły ciche, nieliczne głosy, do nich przyłączały się inne, coraz głośniejsze, o wyższych tonach. Chór wzmagął się, potężniał, głosy zlewały się w jeden akord. I nagle milkły. Chwilę trwała cisza. I znów cichutko odzywały się grania polnych muzykantów.

„To brzmi jak kanon” — myślał Krzyś.

Zdawało mu się, że wtulił się w ciemność jak w miękką poduszkę, że wciąż słucha

cykotania świerszczy.

— Krzych! — posłyszał nad sobą. Otworzył oczy. W księżycowym świetle uwijały się dokoła niego jakieś białe duchy.

— Kto to?

— To my, hecę robimy — odpowiedział Jasiek. — Wstawaj!

— Wstań — prosiła Małgosia. — Budrysi nie śpią po dalekiej podróży, a ty chrapiesz! Wstańże.

— Nie bądź taki egoista! — ciągnął go za nogę Radek. — Przecież my bez ciebie nie możemy śpiewać!

Nagabywany ze wszystkich stron i nic nie rozumiejący, Krzyś odpychał ręce kolegów.

— Odczepcie się! Czego chcecie?

— O, będę robił ceregiele! — wykrzyknął Maciej i pochwycając go na ręce postawił na podłodze. — Małgosiu — rozkazywał — zerwij tam prześcieradło dla Krzysztofa. Stójcie wszyscy. Co się kręcicie jak muchy pod żyrandolem! Tomek, nie płacz się pod nogami.

— Czego chcesz? — pytał Krzyś, okręcany bezceremonialnie w białe zwoje prześciera-
dła. — Co ty wyprawiasz, Maciej, zwariowałaś?

— Jeszcze nie — flegmatycznie odparł Maciek nie przerywając układania na nim fałd. — Zamiast się szarpać, stój spokojnie i posłuchaj, a wszystko zrozumiesz. „Starszyzna” poszła do Kłósków, a my im zrobimy „niespodziewajkę”. „Zawiesimy” pęcak jak pilota po nieudanym locie. Nie chcemy już jeść pęcaku!

— A skąd Stefan weźmie dla nas innej kaszy? Przecież nam dają pęcak „na przydział” i we wsi pęcakiem płacą za przewóz samochodem.

— Nie wiem, co robi, ale będzie wesoło.

— Co na to Antkowa? — dopytywał Krzyś, już przejęty zabawą.

— Antkowa dała nam worek i patelnię i powiedziała: „Pozbytkowałam i jo z wuma, ale ludzie powiedzu, ze zgłupiała baba na starość!”

Maciej tak świetnie naśladował głos Antkowej, że Krzyś mimo woli się roześmiał.

— Próba! Generalna próba! — krzyczeli wszyscy. — Krzysiek prowadzi chór!

*

W białej izbie Kłósków koronkowe firanki zasłaniały okna pełne kwiatów. Dokoła stołu w jasnym kręgu naftowej lampy siedzieli goście: „starszyzna” z szybowiska i Antoni Kłak, spoglądający chmurnie na gospodarza.

Nie było zgody pomiędzy dwoma domami stojącymi obok siebie u podnóża Góry Czterech Wiatrów. Trawą zarosły ścieżki łączące obie zagrody: Kłak nie chciał utrzymywać stosunków z sąsiadami twierdząc uparcie, że Niemcy powinni co rychlej wyjeżdżać do Vaterlandu ustępując miejsca bezrolnym chłopom z innych dzielnic Polski. Małoż to jest w kraju ludzi, którzy tak pragną kawałka ziemi, jak jego miły brat Kazimierz ze wsi Mieczysławki!

Po raz pierwszy, po wielu namowach, zgodził się dziś Kłak odwiedzić sąsiada i przez cały czas serdecznie żałował tego kroku. Musiał słuchać, jak ci „chłopcy z Góry” proszą Niemca, niby o wielką łaskę, żeby pozwolił rudemu Hankowi latać wraz z nimi. Na domiar złego ofiarowują mu pomoc przy robotach polnych, zapominając widocznie o pomocy dla niego, Kłaka. Chytry Niemiec niby nie rozumie, do czego Stefan prowadzi rzecz całą, niby to zwierza się, że przydałoby mu się ze czterdzieści „juterków” * więcej ornego pola i łąki, a na pewno układa sobie w planach to samo, co i Kłak, że chłopcy zbiorą dla niego plony z ponie-
mieckich, bezpieczeństwa jeszcze gospodarstw. Polskimi rękoma dorobi się ten Niemczura o gazdowskim spojrzeniu i hardej mowie.

* Juterki — morgi.

— Ręce cudze lekkie som, ale niepożyteczne — powiada właśnie zaplatając na stole spracowane dłonie.

— Prawda — przyznaje mu rację Stefan uśmiechając się ukradkiem do Hanka, którego oczy błyszczą niespokojnie z ciemnego kąta izby. — Prawda to, gospodarzu, Hanek na pewno lepiej niż my potrafi pracować w polu, ale on jest sam, a my przyjdziemy gromadą! Przybyło nam teraz rąk do pracy i nasz instruktor — tu Stefan pochylił ciemną głowę w stronę Józka — zacznie szkolić dwie grupy, które będą latały kolejno. Obliczyliśmy, że i rano, i wieczorem cztery osoby będą wolne od zajęć na szybowisku i one to właśnie pomogą obu gospodarzom. Proszę się namyślić, sąsiedzie, daję panu wprawdzie tylko dwóch ochotników za jednego specjalistę, Hanka, ale w dniu „nielotne” i przed deszczem przybiegniemy wszyscy i wtedy na pana przypadnie siedmiu, ośmiu pomocników. No cóż? Czekamy na odpowiedź pana, bo z drugim sąsiadem ubiliśmy interes od razu.

W ciągu wielu wieków przyzwyczaił się Ślązak ukrywać swoje myśli i uczucia, z nieufnością podchodzić do każdego słowa.

Długo rozważał więc Kłosek, jaką ma dać odpowiedź, a wpatrzeni w niego „chłopcy z Góry” na próżno usiłowali wyczytać decyzję na ciemnej, jakby z brązu odlanej jego twarzy. Wreszcie podniósł oczy i spojrzał przyjaźnie, niemal wesoło:

— Mój synek choruje na chorobę „leń-go-tropi” — powiedział — i nie pomoże wam przy Esgiegach tyle, co wy mi w polu. A wam ciężko będzie pracować o głodzie. Latoś zdarzyła się jarzyna — ciągnął dalej powoli i rozważnie — i z zeszłego roku zapas jeszcze mom. Za pomoc warzywami zapłaca, a szpyrka i kasek mięsa znajdzie się też...

Pan Michał słuchał rozmowy z roztargnieniem. Właściwie przyszedł tu, aby zobaczyć tę jakąś „Fłanckę”, do której wyrywał się jego, wcale nie sentymentalny, przybrany synek. Czymże ujęła go za serce ta dziewczyna, że pamiętał o niej tak długo? I teraz krok w krok chodzi Leś za córką gospodarzy, która zgrabnie i bezszelestnie porusza się po izbie. Bez wysiłku podniosła chłopaczka i pokazuje mu japoński ogródek, stojący na komodzie pod szklanym kloszem.

— A co to? — pyta malec wskazując palcem na obraz w ciemnych ramach.

— Nie wiesz? To Matka Boska Częstochowska, Lesiu.

Coś poruszyło się w łożynowym koszyku, ustawionym obok łóżka z wysoko ułożoną, czystą pościelą. Francka postawiła Lesia na podłodze i przesunęła się do koszyka, w którym spało niemowlę.

— Cichaj, cichaj. Zefliczku — uspokajała rozwijając pieluszki. — Cichaj, poleżysz trocha tak rozwiązany, a zarozki mamuliczka twoja przyjdzie.

Zeflik, rad z nieoczekiwanej swobody, zaczął kopać powietrze co siły.

— Świtaj, świtaj nóżkami — powiedziała dziewczyna dotykając malutkich stopek, podobniejszych do różowych płatków kwiatu niż do ludzkich nóg. — Patrz, Lesiu, jaki on pjikny, nasz Zeflik. To mojej siostry, Barburki, synek!

Z sąsiedniej izby wyszła młoda kobieta, a za nią nieśmiało wysunęły się głowy Marijki i Pietrka, młodszego rodzeństwa Kłosków.

— Państwo mieszkają z rodzicami? — zwrócił się do Barbary pan Michał, który nie umiał dotąd znaleźć tematu do rozmowy z Francką.

— My som z Raciborza — odpowiedziała ciemnowłosa Barburka pochylając się nad Zeflikiem. — Racibórz spalony, mało kiery tylko domek został. Stromiki zostały, drzewa nie. I terozki my byle kandy mieszkali, mój mąż nowego mieszkania szuko, a mnie u rodziców zostawił.

— Spalił się Racibórz, szkoda.

— Barburka! — zawołała Kłoskowa z kuchni — pódzi tu z Zeflikiem.

Młoda kobieta odeszła pośpiesznie, a Francka usiadła pod oknem.

— Weź se ryczko, Lesiu — pokazała małemu rzeźbiony taborecik, stojący pod piecem.

— i posiedzimy se tu.

— A powiesz bajkę — pytał mały ciągnąc stołek — a zaśpiewas?

— Teraz nie można — uspokajała go — potem ci zaśpiewom.

Oj, miłaż była ta Francka z warkoczami upiętymi nisko na jasnej głowie. Ładnie wyglądała w szerokiej, ciemnej spódnicy i obszernym kaftanie. Biały rąbek przy szyi dodawał lekkości strojowi Ślązaczek z tej okolicy.

Dziewczyna poczuła, że ktoś przygląda się jej uporczywie, i przestała przekomarzać się z Lesiem. Pan Michał z trudem oderwał od niej wzrok i powrócił do rozmowy, która dobiegała końca.

— Pomożecie mi — mówił Kłosek zadowolony — to byda gotowy na czas z sianem i może i ze żniwem. Jak wójt pozwoli, zbierzemy trocha z niczyjego pola, a na drugi rok przyjdą nowi ludzie, pola nie będą już leżeć ugiorem.

— Na przyszły rok — przerwał mu Kłak nie panując nad sobą — Niemców tu nie będzie. Sami Polacy! I wy, Kłosek, pojedziecie do swoich, do Vaterlandu!

— My nie som Niemce!

— Teraz kozdy Polaka udaje!

Kłosek wstał. Ciężkim krokiem podszedł do komody.

— Poświeć, Hanek! — rzucił gniewnie do syna, który porwał się z miejsca i podawał mu świecę i zapalki.

W blasku żółtego płomienia Kłosek pochylony nad skrzynią długo szukał czegoś w jej głębokim wnętrzu. Wrócił nareszcie z naręczem książek i pism i ostrożnie, jak coś niezmiernie cennego, położył na stole.

— My też nie poradzimy po niemiecku godoć — powiedział spoglądając surowo na Kłaka. — Niemcy nie wiedzieli, cośmy prawdziwie som. My polska mowa chowali. Naszych starzików to książki i nasze. Patrz, sąsiedzie Kłaku, brali nom Niemcy książki, polili, a książki som. Nie oddali my. To my — Niemce?!

Unikając wzroku Kłoska Antoni Kłak pochylił się nad stołem.

— Pielgrzym z Lubopolu, czyli nauki wiejskie — odczytywał na okładce maleńkiej książeczki — szczególnie dla ludu śląskiego zastosowane przez J. Lompę, nauczyciela elementarnego. W Lublińcu, nakładem wydawcy I. Plessnera. 1844 r.”

— A przeczytajcie ta książka — powiedział Kłosek. Lompa godo: „Kto więcę potrafi, niechaj i wykona” — i my tak godomy do was. My więcę nie poradzili, tylko ta mowa zachować.

Kłak przewracał poźółkłe od starości, chociaż starannie utrzymane kartki książki. Dużo ich było: inne książeczki Józefa Lompy; „Dzieje narodu polskiego” — Karola Miarki i tegoż autora książeczka o husytach na Śląsku; „Historia Polski”, wydana w Gnieźnie, a obok mnóstwo pism: „Katolik”, „Nowiny Raciborskie”, „Kocynder”, „Głos Śląski”, „Iskra”...

— Panie Kłak — powiedział Stefan z wyrzutem — w ilu domach waszych Mieczysławek znajdziecie tyle książek, co w tej jednej izbie?

— Stare — upierał się chłop. — O, „Gazety Ślunskiej” kartka druga na miesionc luty 1790 rok. Wase ojce były może jesse Polakami, ale wase dzieci już niemieckie.

— A ten katechizm — podsuwał mu Stefan cienką książeczkę — patrzcie, z 1931 roku, drukowany we Wrocławiu. Sąsiedzie Kłaku, czy Niemcy drukowaliby dla Niemców polskie katechizmy? Czy Niemiec dawałby swojemu dziecku polską książkę? Sąsiedzie Kłaku, nie krzywdźcie Ślązaków!

Kłak niepewnie dotykał katechizmu. Prawda to jest. Po polsku pisany. Niemcy go dla Ślązaków wydali. Teraz jasno widzi, że się mylił co do nich, tylko trudno pogodzić się z myślą, że sąsiadem najbliższym nie będzie brat, Kazimierz, tylko Kłosek. Już nie Niemiec, tylko swój — Polak.

W pół godziny później zadowolona „starszyzna” wracała do domu. Udało im się zała-

twić pomyślnie sprawę Hanka, pogodzili zwaśnionych sąsiadów i zdobyli żywność. Sukces nie byle jaki!

Kłóskowie żegnali wszystkich serdecznie, a Francka na zaproszenie pana Michała odrzekła spuszczać oczy: „Przyda zaś, w niedziela”.

Dom stał cichy pod rozgwieżdżonym niebem. Stefan otworzył ostrożnie drzwi, ażeby skrzypieniem nie zbudzić śpiących. Ku jego zdumieniu pośrodku pokoju ukazała się w mroku jakaś biała zjawą.

Rozległy się głucho, metaliczne dźwięki ni to dziwnego bębna, ni to uderzanej patelni.

— Co nam daje wójt Pomoooreeeek? — zawołała przeciągle biała postać.

Natychmiast z ciemnego kąta świetlicy odpowiedziało „echo”:

— Pęcaku wooreeeek...

— A co dał Meryk ze swoją Maaamą? — pytał dalej duch.

— To saaamooo — żałośnie odrzuciło „echo”.

— A co przywiozły kochane omtuuuurkiiii?

— Pęcaku jak dla srokatej kuuuurkiiiiii.

— I cóż jest naszą codzienną potraawkąąą?

— Pęcak z traaaawkąąą — załkało „echo”.

— A co my z tym pęcakiem zrobiiimyyyy?

— Zawiesiiimyyyy! — tym razem „echo” wykrzyknęło to ze stanowczością i siłą.

— A co nam da „starszyzna”, jeśli nie znajdzie lepszego sposoobuu?

— Zada nam boobuuu...

Przyzwyczajone do ciemności oczy „starszyzny” już od dłuższego czasu odróżniały w kącie świetlicy szereg białych postaci, ukrywających się za stołem. Teraz zjawy rozprostowały się i ruszyły dokoła pokoju, a na przedzie szedł długi „duch” dźwigając na plecach coś ciężkiego. „Duchy” okrążyły pokój obiecując na nutę popularnej „pulardy”, że „zawieszają” pęcak. Najpierw śpiewały tragicznie, potem rzewnie, aż wreszcie skocznie jak krakowiaka. Zakreśliły się w kółeczko — i znikły.

Stefan zapalił latarkę. Jej blask uderzył w twarzyczkę śpiącego Lesia. Mały dopiero teraz otworzył oczy i spytał ziewając:

— Co to, stał?

— Śpij, śpij — uspokajał go pan Michał, ciekawie przyglądając się temu, co wisiało na ścianie. Na haku wbitym obok tablicy zobaczył wielki, pękaty wór, a na nim przypiętą kartkę:

Pęcak zawieszony aż do odwołania!!!

Na czarnej tablicy ktoś wypisał dużymi literami:

*MENU NA SZYBOWISKU
„GÓRA CZTERECH WIATRÓW”*

śniadanie: pęcak z trawką

obiad: pęcak z mlekiem

kolacja: trawka z pęcakiem

SOS! SOS! SOS!

Ekspedycja ratunkowa

organizuje w najbliższych dniach

„Pęcak tańczący”

dochód przeznaczając

na cele kulinarne głodomorów.

W sypialni panował przykładowy spokój. Tylko wszystkie drzwi na korytarz były podejrzanie otwarte. Z pokoju Małgosi dochodził zapach ziół, a w kuchni skrzypiała podłoga. Zapewne Antkowa słuchała pilnie, przyczajona w progu.

W ciszy cykotały za oknami polne świerszcze.

— Słuchajcie, „duchy”! — zawołał Stefan głośno, wchodząc do sypialni chłopców. — Słuchajcie uważnie! Nasz Cumulobimbus wraca na start! Ale to nie koniec dobrych nowin. Od jutra jemy już nie tylko pęczak, Tata Kłosek i Kłak dają nam w zamian za pomoc w polu: kaszę jaglaną, marchew, buraki, kartofle, a nawet mięso, masło i skwarki, czyli tak zwaną „spyrkę”... Bobu to ja wam zadam: mogliście przestraszyć dziecko! A teraz powiedzcie, czy zgadzacie się pomagać tacie Kioskowi i sąsiadowi Kłakowi w polu, oczywiście w chwilach wolnych od lotów?

Huragan, jaki się zerwał po tych słowach, zagłuszył cykotanie świerszczy, głos Stefana, a nawet ciężkie kroki Antkowej, która pędziła z kuchni, aby się przekonać, czy drużynowy przypadkiem nie żartuje.

ROZDZIAŁ TRZECI TYMCZASEM...

Wąska ścieżka, którą Antkowa zeszła niegdyś do domu Kłaka, rozszerzyła się z czasem w drogę polną. Chodzili nią teraz często obaj sąsiedzi i rodzina Kłoska, a mały Leś zbiegał codziennie do swej przyjaciółki, „Fłancki”. Wydeptywały ją nogi szybowników, którzy zdążali dwa razy dziennie na roboty polne lub wciągali pod górę wózek z zapasami żywności. Tomek prowadził tędy kozę na pastwisko. Kozka skubała trawę obok owiec Kłoska, a Pietrek i Marijka bawili się razem z Tomkiem i uczyli go gier i piosenek śląskich. Na widok towarzyszy zabaw chłopiec wołał z daleka:

*Skacze wróbel po między, szternal po owsisku.
Jak się do kupy zebrali: jak się masz, braciszku...*

Z kolei Tomek wtajemniczył Pietrka i Marijkę, jak się robi „jaskółki” i „strzały” z kawałków papieru. Organizowali zawody, czyje „jaskółki” dalej polecą. A kiedy zmachani siadali na miedzy, Tomek opowiadał im o Warszawie lub o Krakowie i o własnej rodzinie, za którą tęsknił coraz bardziej. Ta właśnie tęsknota sprawiała, iż wieże krakowskie w jego opowiadaniach stawały się bardziej złote i sięgały nieba, błękitnego jak pole lnu.

Któregoś dnia pan Michał szedł dróżką na łąkę Kłosków, gdzie rozlegało się dzwonienie klepanych kos... Ścinana trawa kładła się kosiście pod szerokim zamachem ramion Kłoska i dwóch Budrysów. Lech, z którego twarzy i pleców zeszło już „siedem skór”, ostrzył kosę. Nie opodał dwaj inni omturowcy ścigali się z mamuliczką przy układaniu trawy, skoszonej już wczoraj na drugim skrawku łączki. Byli to Józef Wąsik, znany jako „Noji” (nie dlatego, by w czymkolwiek przypominał znanego polskiego szybkobiegacza, tylko dlatego, że każde zdanie zwykł zaczynać od „No i”...), z nim razem krzątał się Rybczyński, zwany po prostu „Ryba”. Imienia Ryby jakoś nikt nie mógł sobie nigdy przypomnieć. I Tomek pytał nieraz:

— Ryba, czy chociaż twoi rodzice pamiętają jeszcze, jak ciebie nazwali?

— E, pamiętają, co mają nie pamiętać — odpowiadał Ryba powoli — tylko że też na mnie wołają „Ryba”.

Powolność stanowiła charakterystyczną cechę tego chłopaka o nieco wypukłych oczach.

I teraz widocznie zwijał się nie dość szybko, zagarniając grabiami naręcze suchej i pachnącej trawy, bo Noji wrzasnął, aż się rozległo:

— Rybczyński! No i co się ty grzebiesz! Nakładaj prędeż!

Pan Michał rozglądał się wokoło, szukając Francki i Lesia, dopiero po chwili dojrzał jasne warkocze dziewczyny w cieniu polnej gruszy. Ścięta trawa głużyła kroki i pan Michał nie zauważony podszedł blisko do Francki, zajętej wyjmowaniem ciernia z paluszka Lesia.

— Nie boli? — dopytywała się zerkając na malca.

— Jak ty dłubies, to nie boli — upewniał ją Leś z powagą.

— Syneczku miły — przytuliła go serdecznie. Nagle zauważyła pana Michała i spłoszona opuściła szybko ręce. Ślężacy nigdy nie pieszczą dzieci w obecności obcych ludzi.

— Chcesz mieć takiego synka? — spytał pan Michał. — Przyjmij nas obu do rodziny, Francko...

— Możeś sobie innych nie obejrzał — odparła nie unosząc głowy. — Może są inne, szwarniejsze ode mnie.

Zanim pan Michał zdążył odpowiedzieć, Leś przysunął się do dziewczyny i objął ją za szyję.

— Fłancka najswańniejsza — oznajmił przytulając do jej twarzy swój policzek, koloru dojrzałej moreli.

— Mój syneczek — szepnęła.

Szczęśliwy i rozradowany, wracał pan Michał na górę, a za nim dreptał Leś. Na szczycie, w cieniu jabłoni, leżały cztery psiaki i ziajały wysunawszy różowe ozory. „Cztery Wiatry” wyrosły i zaokrągliły się pod baczynym okiem Antkowej. Były wciąż jeszcze do siebie podobne, ale już zarysowały się różnice usposobień. Morka, łagodna i pieszczotliwa, łaściła się do każdego, a plama na jej pysku sprawiała, iż wyglądała na uśmiechniętą od ucha do ucha. Halny szczekał na wszystkich zajadle, biegając bez pośpiechu po szczycie, biegając zaś zabawnie, trochę boczkim, merdając przy tym ogonem. Wicher hasał całymi dniami w podskokach, a Zefirek, wbrew danej mu nazwie, nieruchawy i grubiotki, lubił skrecać się w puchaty kłębek i spać o wszelkich porach dnia i nocy. Najchętniej przebywał w pobliżu kuchni, jako że stale bywał głodny.

Na widok Lesia Halny wstał, przeciągnął się i zawarczał groźnie, merdając ogonem. Wicher porwał się z miejsca, podbiegł do malca usiłując go przewrócić. Chłopczyk nie odpowiedział na przyjacielską zaczepkę. Chwilkę spoglądał zmarszczywszy brewki na dwa Bebiki krążące ponad „Wzgórzem Miniera”, potem rozłożył szeroko rączki i zaczął biegać w kółko po trawniku. Na skrętach jego drobne ramię pochylało się naśladując ruch skrzydła przy wirażu. Leś latał „na czas” nad zboczem, a za nim pędził Wicher.

Na starcie siedział Józek w towarzystwie Małgosi i Krzysia.

— Warunki „zdychają” — powiedział zbliżając się do nich pan Michał. — Bebiki będą musiały lądować za chwilę, są już tak nisko, że chłopcy mogliby kwiatki zrywać na zboczu. Oho, już jeden idzie do lądowania.

— To Stefan, Adam jeszcze się trzyma — z nutką dumy w głosie powiedziała Małgosia.

— On też zaraz wyląduje, nawet jemu uda się wyżebrać * jeszcze tylko kilka sekund. Co robisz potem, Józku?

— Wyciągniemy wszystkie maszyny na górę i pójdziemy pomagać przy sianokosach. Za jakieś pięć minut trzeba będzie powiedzieć chłopcom, żeby przygotowali szybowce do wyciągu transportowego. Pójdiesz do nich, Małgosiu.

— Wicher! — zawołała dziewczynka wstając. — Wicher, zostaw Lesia, przecież on nie na motocyklu jedzie, tylko na szybowcu leci. Nie słyszysz, gapiu, że motor nie buczy?

* Wyżebrać — powiedzonko szybowników, oznaczające, że pilot z trudem utrzymuje się w powietrzu przy bardzo słabych warunkach.

Spójrzcie tylko na Leśka. Skrety nie za głębokie. Przeszkody mija z właściwej strony. Klasa lot! To będzie kiedyś pilot!

Chłopczyk zatrzymał się, przysiadł obok jabłoni i przyglądał się w skupieniu białej korze, na której siedział wielki komar rozstawiwszy szeroko cienkie nogi.

— Małgosiu, pats — powiedział wskazując paluszkami na komara — co on je, ze taki chudy?

Małgosia na próżno usiłowała sobie przypomnieć, czy duże komarzyska też są krwio pijcami jak ich mali krewniacy.

— Nie mam czasu, Lesiu. Później powiem — rzekła z poczuciem źle spełnionego obowiązku. Jego pytania i odpowiedzi wprowadzały wszystkich w zakłopotanie. Cóż rozsądnego można mu powiedzieć, kiedy budząc się w nocy pyta przytulając rozgrzany ze snu policzek: „A cym dłapie się żmija, kiedy ją swędzi ogonek?” Lub jeśli na ostrzeżenie: „Nie jedz, Leśku, zielonych jabłek, to be, niedobre, wstrętne” — odpowie ze spokojem, nie przerywając jedzenia: „A kiedy ja lubię takie wstętne!”

Jego logika była nieodparta i całkowicie niezrozumiała. Antkowa przecinała szybko rozmowę z nim po dorosłemu, karcąc za potargane włosy lub pobrudzone ubranko. Chłopcy zaśmiewali się podrzucając go w górę i wołając:

— Leś leci na Esgiegu!

Tylko Francka znajdowała zawsze mądre wyjaśnienia, dziwnie dostępne dla dziecięcego umysłu.

I teraz Leś spojrział na Małgosię i powiedział kiwając główką:

— To ja spytam Fłancki.

— Spytaj, spytaj — ucieszyła się — a ja tymczasem pójdę do chłopców.

— Bym tes! — zawołał z ochotą i zapominając o komarze podreptał za nią.

Słońce stało wysoko na niebie. Drzewa cienkie i wydłużone pięły się wzwyż do słońca, które nasycalo ich korony ciepłym blaskiem. Zielone igły i drobne, suche gałązki u góry pnia zatrzymywały, zdawałoby się, całą jasność dnia nie dopuszczając, aby spływała w dół, gdzie panował mrok rozświetlony tylko kępkami żółtych kwiatów jak odblaskami słońca.

Minęli starą, zapomnianą drogę na dole. Ocieniona z obu stron, w środku świeciła jasno, a kwiaty: złote różgi — podkreślały jej słoneczność. „Zaminowana Kotlinka”, z której już dawno wydobyto miny, sąsiadowała z podłużnym pagórkem, zwanym na cześć Bielańskiego — „Wzgórzem Miniera”. Jako ślad po minach widniały dwa duże leje, porośnięte trawą. Stąd wyniesiono kiedyś nieprzytomną Małgosię. Jakże to było dawno! Oj, dziwić się będzie ojciec i Włodek, kiedy wrócą, że ich Małgorzatka miała tyle przygód. Nie będzie jej dokuczał Włodek, nie nazwie jej już „Pulcherią” ani „Królową Ryksą”. Już teraz nie płacze i umie sobie poradzić w trudnych okolicznościach. Gdybyż wrócili jak najprędzej ci kochani, najbliżsi! Mimo woli przytuliła rękę do kieszonki na piersi, gdzie stale nosiła ostatni list od ciotki.

Ptaszku mój — pisała dobra niewiasta — spotkałam człowieka z obozu, który widział Twego ojca, przypadkiem go spostrzegł przy pracy, więc nie rozmawiali. Było to na miesiąc przed kapitulacją Niemiec. Nasi żyją! Niedługo wrócą, już dla nich pokój przygotowałam i wszystko, czego im trzeba. I ty wracaj, Kochana, jak najprędzej.

Drzewa rozrzedziły się nieco, pomiędzy nimi prześwitywała zieleń trawy i jasne sylwetki szybowców, odpoczywających ze skrzydłem ukośnie wzniesionym ku górze. Słychać gwar głosów i śmiechy. Radek chodzi na rękach, sterczą opalone, szczupłe nogi.

— No — krzyczy wstając — kto potrafi tak długo jak ja! Czesiek! Pobitem twój rekord!

— Terazki jo! — zrywa się Hanek i podnosi ręce gotując się do pokazu.

— Nieprawda, teraz moja kolejka — odpycha go Jasiek.

Dziwne to, że Hanek i Krzysiek budzą w Jaśku chęć do zaczepki, ale Hanek jest cichy tylko z pozoru, nie poddaje się nigdy i obaj chłopcy skaczą sobie do oczu jak dwa zacietrzewione koguty. Nagle złość Jaśka mija i śmieją się obaj w najlepszej zgodzie.

— Hanek, Jasiek — woła Stefan unosząc się w trawie — startujcie obaj jednocześnie. Będę sędziował, kto dłużej! No, raz dwa...

Obaj chłopcy stanęli obok siebie, ale spod lasu rozległo się wołanie: „Stefan!”

— Czego chcesz, Małgosiu?

— Przygotujcie maszyny do wyciąguuu!

— Dooobrze!

Małgosia zawróciła do lasu, poszła ścieżką wydeptaną w poprzek łąki. Wśród trawy bielili się okrągłe główki mleczu. Leś zrywał je i dmuchając, z powagą „gasił świeczki”. Jego jasna główka podobna była do jednej z tych puszystych kul. Dokoła niego, podskakując zabawnie, cztery psiaki goniły motyle. Naraz chłopczyk znieruchomiał i począł nasłuchiwać czegoś z natężeniem.

Może dziwi się, że „Cztery Wiatry” polują nie wydając żadnego dźwięku, może zobaczył trzmiela i za chwilę spyta: „Cy on ma silniczek, ze tak bucycy?” Ale rączka Lesia, w której tkwi zgnieciona łodyżka, wznosi się w górę.

— Samolot leci! Samolot!

Już dawno na ich niebie panuje cisza, bo nie lecą na zachód bojowe maszyny. Małgosia przystaje i patrzy w niebo. Rozdmuchane przez Lesia, srebrne puszki mleczu unoszą się wysoko w powietrzu. Nic poza nimi nie widać na pogodnym błękitnie. Ale już słychać wyraźnie coraz głośniejszy huk motoru. Samolot zbliża się. Mała, ciemna kreska rośnie w oczach, rozdwa się. Nad Górą Czterech Wiatrów krąży mały dwupłatowiec.

Dziewczynka zrywa z włosów żółtą chusteczkę i wymachuje nią ponad głową. Widocznie w samolocie dostrzeżono jej znaki, bo widać wyraźnie, jak z kabiny wychyla się czyjaś ręka. Jeszcze jedno kółeczko i Kukuruźnik zniża się nad lotniskiem. Będzie lądował!

Małgosia chwytając malca „na barana” i pędzi na przełaj przez las. Wicher przerywa zabawę, spoziera niespokojnie i rzuca się za dziewczynką, a za nim wszystkie psiaki. Morka gubi drogę w krzakach paproci, piszczy rozpaczliwie, wzywając pomocy, ale Małgorzatka nie słyszy. Ogarnia ją dziwny niepokój.

Nareszcie lotnisko. Samolot stoi pośrodku łączki okrytej żółtymi kwiatami. Na dziobie maszyny jeszcze lśni srebrne koło, ale już wyłaniają się z niego dwa ramiona śmigła. Małgosia ostrożnie rozplata rączki Lesia, zaciśnięte dokoła jej szyi, i stawia malca na ziemi. Zaspapane, zziębnięte wybiegły z lasu cztery psiaki, ale przeraził je ciężki, masywny samolot, skupiły się więc trwożnie u nóg zapatrzonych Lesia.

Z kabiny lekko wyskoczył pilot, ściągnął z głowy kominiarzkę, zdjął skórzaną kurtkę. Potem wysiadł młody człowiek w mundurze żołnierza angielskiego i podał rękę trzeciemu towarzyszkowi. Był to wysoki, starszy pan. Siwa jego głowa świeciła z daleka.

Czemu Małgosia nie może oderwać wzroku od pochylonej sylwetki, czemu serce bije jej tak mocno! Czyż możliwe, żeby to był jej ojciec? Przecież on trzymał się tak prosto, a jego włosy układały się w krucz, lśniące fale. Ale to on. Na pewno on. Idzie do niej wyciągając rękę.

— Tatusiu!

Ramiona ojca tulą Małgosię jak dawniej, najdroższy głos mówi: „córeczko”. Jest znów małą Małgosią, która może schronić się na kochającej piersi.

— Tatusiu, tatusiu, jak tu do mnie trafiłeś?

I słucha, przyciskając się do ojcowskiego ramienia, opowiadania o dzielności ciotki Wisi.

— Oczywiście, dzięki lotniczym znajomościom twojej ciotki! Któregoś dnia przybiegła zgrzana, czerwona i wołała na całą ulicę, że leci na Górę Czterech Wiatrów — do ciebie. Zaraz

wyskoczyła ze sklepu Stasiowa i Zeflik przybiegł ze swojego zakładu, i w progu zaczęli rajcować. Zeflik uważa się za znawcę w sprawach lotnictwa, u niego gołą się i strzygą wszyscy piloci z Aleksandrowic. Więc powiada: „Co pani!” Tym samolotem lecą już dwie osoby: przysły kierownik szybowiska i pan inżynier Stefański. Nie wezmą za nic trzeciego pasażera na Kukuźnika”. A ciotka na niego z furią: „Pędzła pilnuj, panie Zeflik, a nie miejsc w samolocie. Dużo znów miejsca potrzebuje więzień z obozu karnego! Albo taki co zaważy! Już mi obiecano, że go zmieszczą w kabinie. Wszystko im detalicznie wytłumaczyłam!”

Małgorzatka widzi purpurową z przejęcia i gniewu twarz ciotki Wisi, jej oburzony wzrok, jakim obrzuca Zeflika, słyszy jej głos, który zawsze w chwilach podniecenia nabiera wysokich, piskliwych tonów. Zaczyna ciotka — i któż może się oprzeć jej wymowie?

— Tatusiu — śmieje się uszczęśliwiona — a Włodek nie zmieścił się obok pilota? Przecież on też mało waży...

Ojciec milczy.

— Tatusiu, gdzie Włodek?

Ojcowskie ramiona przygarnęły Małgosię mocniej, długie milczenie jest wymowniejsze od słów. Szorstki materiał ojcowskiej kurtki pod policzkiem Małgosi nasycy się gorącymi łzami. Łzy te palą oczy, napełniają goryczą serce.

Nie ma Włodka. Już nigdy nie zawoła na nią: „Pulcherio!” I nigdy się nie dowie, że Małgosia nie płacze, że potrafi nie płakać, że płacze — tylko ten jeden jedyny raz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KAŻDY W ŻYCIU JEST PRZECIEŻ PILOTEM

Przylot samolotu rozproszył wiele kłopotów i trosk. Ci, którzy pragnęli odejść — mogli powracać do własnego życia. Jak gdyby za wspólną umową, nie wspominali jednak o czekającej ich przyszłości. Woleli mówić o nowym życiu, które rozpoczynało się na Górze Czterech Wiatrów i u jej podnóża. Szybowisko obejmował Andrzej Wicherski, zdemobilizowany żołnierz, który zaledwie parę tygodni temu powrócił z zagranicy. Był to małomówny i poważny młody człowiek, bardziej skory do zadawania pytań niż do udzielania odpowiedzi (co najbardziej gniewało Adama). Mieszkańcy Góry tłumaczyli to zainteresowaniem dla spraw Śląska i nowej placówki. Zauważyli szybko, iż można wywołać uśmiech na twarzy nowego kierownika opowiadaniem o dziejach szybowiska i o wszystkich przygodach, jakie się na nim zdarzyły. Od razu też zapowiedział, że postara się zachować wszystkie dotychczasowe zwyczaje. Nie zgodzi się oddać na wieś żadnego z psiaków, chociaż Meryk i inni Ślązacy przychodzili specjalnie po nie obiecując w zamian kaszę lub nawet małego prosiaczka. Tą decyzją zyskał sobie serca wszystkich mieszkańców szybowiska i uznanie Antkowej. Kochana Antkowa miała wkrótce odejść do pięknego, murowanego domu, na którym bociany uwiły sobie gniazdo, i czekała na swój ślub z niepokojem, ale i z radością, że staje się znów gospodynią. Gospodarstwo na Górze dziedziczyła po niej Francka, przyszła żona Michała. Obie narzeczone życzyły sobie, aby na ich ślubie śpiewał Krzyś. Chłopiec zgodził się, ale niespodziewanie postawił warunek: oba śluby odbędą się równocześnie. Takiego bowiem pragnął zakończenia waśni pomiędzy domami Kłaków i Kłusków.

Kłak nie sprzeciwiał się temu życzeniu Krzysia. Dawno już pogodził się z myślą, że najbliższym sąsiadem nie będzie miły brat, Kazimierz, z Mieczysławki. Wyszukał dla niego w sąsiedztwie inne gospodarstwo poniemieckie i miał rozpocząć o nie starania zaraz po ślubie. Antkowa nie lubiła jednak zmieniać postanowień. Pomiędzy nią a Krzysiem wybuchła

więc krótkotrwała, ale gwałtowna burza, zakończona całkowitą kapitulacją Antkowej. Postanowiono, iż wywodziny odbędą się u Kłósków, jako że stary obyczaj nakazywał zachować pewien ceremoniał, jeśli z domu wychodziła dziewczyna. Z wdowami nikt ceregieli nie robił, a to, czy pan młody był wdowcem, czy też kawalerem, nie miało żadnego znaczenia. W weselnych obrzędach najważniejszą osobą jest panna młoda.

Po ślubie mieli wszyscy pojechać do Kłósków, a stamtąd dopiero na Górę Czterech Wiatrów, gdzie przygotowywała wielkie przyjęcie Antkowa, po raz ostatni w tym „swoim domu”.

Mieszkańców Góry czekała prócz podwójnego wesela jeszcze jedna uroczystość: poświęcenie szybowiska i przekazanie go nowym władzom, połączone z zakończeniem kursu i rozdaniem świadectw. Instruktor Stefański przyznał wszystkim zdobyte kategorie, a Tomek uświetnił ten fakt wystrzygając z papieru białe mewki, którymi udekorował nawet zegar wiszący w świetlicy.

Zapanowało ogólne ożywienie, tylko Krzyś chodził jak struty.

— Powiedz mi, Józek — zapytał instruktor Stefański — jak właściwie wygląda sprawa Krzysia. Czemu on nie latał?

— Latał, ale źle i lekarz stwierdził u niego brak poczucia równowagi.

— W takim razie latać nie może.

— Szkoda chłopca. Jest oddany lotnictwu całą duszą.

— Takie gorące serca są często rekompensatą braku pewnej ręki. Lotnicy z prawdziwego zdarzenia rzadko unoszą się w słowach nad lotem, mogą przecież wypowiedzieć się czynem. Pamiętam, jako młody szczeniak byłem świadkiem spotkania Giedgowda ze Żwirką. Czekałem z ciekawością: o czym to będą mówić ze sobą takie asy? — A oni popijali herbatkę rzucając od czasu do czasu: „Tak, taaak” — nieomal jak Gerwazy z Protazym po zawartej zgodzie. Wreszcie wstał Żwirko i powiada: „A my gadu, gadu, a do domu daleko”. A Giedgowd na to: „Ale tak się miło gawędziło...”

Józek roześmiał się ubawiony.

— Wracając do sprawy Krzysia... Zauważyłem, że on chodzi zasmucony. Czy pozwolisz mi pogadać z nim szczerze? Zgadzasz się? Więc przyślij mi go za parę minut.

— Przejdźmy się trochę — powiedział zbliżającemu się Krzysiu.

Poszli wolniutko ścieżką leśną. Światło słoneczne wiewało się potokami z góry, kładąc jasne plamy u ich nóg.

— Czy możesz mi powiedzieć, czemu jesteś tak przygnębiony? — spytał instruktor przyjaźnie.

— Nie będę latać — odpowiedział Krzyś z wahaniem. — Nie wierzę, żebym na przyszły rok mógł dogonić kolegów. Nie mam przecież poczucia równowagi.

— Stawiasz sprawę po męsku. I ja też sędzę, że nigdy nie będziesz lotnikiem. Więc cóż z tego. Czyż naprawdę nie widzisz dla siebie możliwości poza lotnictwem?

— Pan mnie wcale nie rozumie — wybuchnął chłopak. — Chodzi o to, że ja nigdy nie dokonam żadnego pięknego czynu.

— Już dokonałeś — łagodnie zaprotestował instruktor. — Józek mówił mi, że pozostałeś na szybowisku, aby pomagać innym latać, mimo że każdy start przypominał ci własną porażkę. Był to piękny czyn, Krzysiu. Mógł tego dokonać tylko prawdziwy mężczyzna.

— Cieszyłem się, że chociaż raz mogę na coś się przydać — odparł na to Krzyś szorstko. — Jestem zawsze nikomu niepotrzebnym połamańcem, zawalidrogą...

— Głupstwo. Widziałem, jak walczyły nasze niewiasty o to, ażebyś zaśpiewał na weselu. Józek mówił, iż dzięki twojej pomocy mógł dalej prowadzić kurs. Nie słyszałem natomiast ani razu, żebyś kiedykolwiek był „zawalidrogą”. Przesadzasz, chłopcze, histeryzujesz trochę, a to wstyd.

— Jestem połamańcem — upierał się Krzyś.

— „stajemy się” raczej, niż „jesteśmy”. Jeśli naprawdę pragniesz być pożytecznym członkiem społeczeństwa, przestań rozpaczać, że jakaś droga jest dla ciebie niemożliwa, i rozejrzyj się za własną, najlepszą...

— Ależ ja chcę latać! — wykrzyknął Krzys jak rozgniewane dziecko. — Łatwo mówić komuś: wybierz inną drogę. A ja chcę latać. Po wyjeździe nie będę już miał żadnych możliwości, przecież pan wie, jak trudno się dostać na maszyny turystyczne, nie mówiąc już o wojskowych. Dla mnie będą tylko „tramwaje” Linii Lotniczych! A tu...

— A tu, Krzysiu! Dokończ, proszę, przecież rozmawiamy szczerze.

— Tu nikt mnie na samolot nie zabrał. Z panem najczęściej lata pan Michał, a pan Andrzej zabiera Lesia i Tomka.

Instruktor zatrzymał się nagle, zapalił zgasłego papierosa i zaciągnął się dymem. Krzys nogą wiercił dziurę w srebrzystym mchu czekając na odpowiedź.

— Czy znasz dobrze pana Michała? — posłyszał nieoczekiwane pytanie.

— Ja... no tak, pewnie, że znam.

— Zdaje ci się tylko, że go znasz. Liczę na twoją dyskrecję, chłopcze, bo chcę zdradzić tajemnicę Michała.

Krzysztof nie odzywał się, zaskoczony zmianą tematu.

— Otóż — ciągnął dalej instruktor opierając się o brązowy pień sosnowy — Michał ma tylko jedno oko. Drugie stracił dawno, będąc młodym chłopcem. Wybił mu je kolega strzelając z łuku. Michał właśnie skończył teoretyczny kurs szybowcowy i wybierał się na szybowisko. Chciał latać. Był zdrow, wysportowany — nie spodziewał się przeszkód i nagle głupi żart przekreślił wszystkie jego nadzieje. Tym kolegą byłem ja, Krzysiu. Pamiętam, podtrzymałem go płacząc i krzycząc z rozpaczony Z oka płynęła krew.

Pocieszał mnie, chociaż moja głupota i lekkomyślność zrujnowały mu całe życie. W ciągu tej jednej godziny z lekkomyślnego chłopaka, który rzadko zastanawiał się nad tym, co robi, stałem się opanowanym człowiekiem. Moja rodzina zaopiekowała się Michałem, aby chociaż w części wyrównać straszliwą krzywdę, jaką mu uczyniłem. Ponieśliśmy koszty leczenia, najlepszy specjalista dobierał mu szklane oko. Czyż jednak szklane oko, choćby najlepiej dobrane, może zastąpić prawdziwe!

Michał nigdy nie wspomina o swoim kalectwie. Nikomu do tego się nie przyznaje. Pracuje jak stuprocentowo zdrowy człowiek nie żądając dla siebie żadnych ulg. Nie słyszałem, ażeby komukolwiek uskarżał się na swój los. I sam już może zauważyłeś, jak bardzo jest pogodny... Ale w głębi serca cierpiał i cierpi nad swoim kalectwem. Dawno zauważyłem, że unika kobiet. Sądził widocznie niemądrze, iż żadna nie potrafi pokochać człowieka, który ma szklane oko. Powiedział sobie, że będzie sam przez całe życie, i pogodził się z tą myślą. Potem los zdarzył, iż musiał wziąć na wychowanie Lesia. I mały Leś znalazł mu żonę.

Pewnie już domyśliłeś się, czemu opowiadam ci o Michale. Właśnie tobie. O ile jesteś szczęśliwszy, Krzysiu! Masz oczy. Jesteś zdrow. A rozpaczasz tak, jakbyś co najmniej stracił oczy i obydwie nogi.

Zauważyłeś, że najczęściej latam z Michałem. Czy dziwisz się teraz? Michał także marzył o lataniu i on właśnie umożliwia wam wszystkim bezpieczne loty, pomimo iż sam latać nie może, Rozumiesz mnie?

Krzys skinął głową.

— Tak.

— Otóż, posłuchaj, teraz wytłumaczę ci, jak się to stało, że nie latałeś dotąd. Józek myślał, że ci będzie przykro latać jako pasażerowi. Pomylił się. Mnie też nie przyszło na myśl ciebie zabrać. Bardzo cię przepraszam — to duży błąd z mojej strony. Ale na szczęście mamy jeszcze kilka dni przed sobą. Zabiorę cię ze sobą, ile razy polecę. Chcesz?

Krzys zaczerwienił się mocno i tylko kiwał głową na znak, że chce.

— Więc dobrze. Poza tym twoje przypuszczenia co do lotów w przyszłości są zbyt

pesymistyczne. Na wniosek Maćka założyliście Klub Obrońców Góry Czterech Wiatrów. Dziś jeszcze zgłoszę projekt, aby każdy członek Klubu miał prawo korzystać tu, na tej górze, z lotów nie tylko samodzielnych, ale i pasażerskich. Cóż, czy takie rozwiązanie sprawy ciebie zadowoli?

Krzyś podniósł na niego rozjaśnione spojrzenie.

— Biegnij więc do domu na obiad i...

Instruktor zmarszczył brwi, jakby sobie coś przypomniał. Krzyś zatrzymał się.

— Znam piękny wiersz przeznaczony dla ciebie, chociaż autor cię nie znał. Są tam takie słowa: „każdy w życiu jest przecież pilotem, choć nie lata razem z lotnikami...” Życzę ci więc „pięknych lotów”. Będziesz je miał z pewnością...

*

Po obiedzie wszyscy wybiegli z pośpiechem na lotnisko. Nad górami wisiała chmura jak ciemny, wysunięty ku północy język. Szarawe, ukośne pasma deszczu zasnuwały niebo za górami. Drobnymi błyskami migotały dalekie błyskawice.

— Śpieszcie się — mówił instruktor wsiadając do samolotu. — Teraz powietrze jest jak „masło” i Józek będzie mógł je trochę „pomieszać”, ale burza zbliża się, a on musi wylądować przed deszczem.

Krzysztof siedział już w drugiej kabinie, rozglądając się dokoła. Maciej i Lech trzymali skrzydło za uchwyt napierając się mocno nogami w ziemię i Kukuruźnik obracał się powoli pod wiatr. Warkotało śmigło roztrzając powietrze w świetlistą aureolę.

— Waja na start! — zawołał Andrzej.

Opalone ręce obróciły szybowiec. Adaś zaczepił linkę holowniczą, Józek wsiadł do kabiny. W słońcu lśniła przed nim celuloidowa szybka. Instruktor skinął ręką z samolotu i Andrzej skoczył na skrzydło, a pęd wiatru rozwiewał rękawy kurtki, narzuconej na ramiona.

— Poleciałbyś na Wai? — spytał Adam Lecha poprawiając firaneczkę nad głową pilota. — To wytworna maszyna, Józkowi tylko wody sodowej i lodów brakuje, żeby się czuł jak w kawiarni pierwszej klasy.

Józek spojrzał na niego i uśmiechnął się. Dopiero w tej chwili dostrzegł, jak bardzo zmienił się Adam w ciągu kilku miesięcy. Błękitne oczy śmiały się wesoło. Opalona twarz, z której znikły postarzające ją niegdyś bruzdy, i cała jego postać promieniowały radosną młodością.

— Czego Józkowi brak? — dopytywał się Andrzej podchodząc. — Niczego mu nie brak. Tylko: „złej tanecznicy i fartuszek zawadza”. Józek to stary pilot, rękę ma „nabitą”. No, Józek, instruktor przypomina, że masz pobawić się trochę na termice i schodzić. Gdybyś wszedł niechcący w chmury, otwieraj klapy i wylaż czym prędzej! Lądowanie jak zwykle: ładnie pod wiatr.

Andrzej podniósł rękę. Maciej i Jasiak puścili skrzydło i Kukuruźnik trzęsąc się ruszył naprzód. Pomiędzy płatami jego skrzydeł widać było góry przecięte liniami drutów. Trawa poruszała się pod wyprostowującą się linką holowniczą. Życie udzieliło się stojącej dotąd w bezruchu Weihe. Sunęła lekko po trawie, wlokąc za sobą wierny, długoskrzydły cień.

Obie maszyny, połączone linką holowniczą, wznosiły się zgodnym ruchem. Jedno koło nad szybowiskiem, drugie... Spojrzenia ludzi stojących na starcie podążały za nimi jakby trzymane także niewidzialnymi więzami.

Krzyś spoglądał z góry. Czuł się szczęśliwy, spełniło się największe marzenie jego życia: leciał.

Góra Czterech Wiatrów leżała teraz w dole, jakaś rozplaszczona i obca. Przypominała nieregularny krzyż harcerski na podharcemistrzowskiej podkładce, bo pola wzlotów świeciły niemal srebrnie na tle lasów spływających trójkątami ze szczytu.

Pod skrzydłem mignęły pola Kłósków. Kartofle wyglądały jak gruby, ciemnozielony welwet przy jedwabistym owsie.

Pola znikły, teraz lasy toczą się kołem, przepłynęły góry i zjawily się łąki, a na nich małe jak naparstki kopki siana. Z tyłu, na lince, podąża szybowiec. Leci równo, stale nieco powyżej samolotu. Powietrze dziś spokojne, a Józek jest świetnym pilotem. „Ma czucie — powiada o nim instruktor. — Tego w sklepie nie kupisz!”

I tego nigdy nie osiągnie Krzyś. Ale już się nie martwi. Będzie latał pomimo to i będzie miał własne „piękne loty” w życiu...

Piloci obserwujący lot dostrzegli, że dwie kreski, krążące dotąd zgodnie, rozłączyły się. Cienka i długa skrzyła naraz w bok.

— Józek odczepił się! — zawołał Andrzej przysłaniając oczy ręką. — Ale to łebski chłop! Patrzcie! Skorzystał z tego, że bociany znalazły „komin”, i też tam „kręci”.

Na rozpostartych, zdawałoby się, nieruchomych skrzydłach unosiły się w powietrzu bociany. Jeden za drugim wolno i majestatycznie zataczały koła na błękitnie. Na skrętach błyskały białą wyciągnięte szyje, wyraźna, czarna linia zarysowywały się końce potężnych skrzydeł. Wyżej ponad nimi, niby jeszcze jeden ptak, krążył jasny szybowiec powtarzając wiernie ich ruchy.

— Czemu one jak nasz Wicherek za własnym ogonem w kółeczko się wiercą? — dopytywał się ciekawie Tomek zadzierając głowę.

— Stare bociany uczą swoje małe żaglowania na prądach wznoszących się. Przepisowo kręcą w jedną stronę nad lotniskiem. „Za darmo” latają jak i my — wyjaśnił pan Andrzej.

Nad startem z szumem przeleciał samolot, za nim ciągnęła się jak długi ogon linka holownicza.

— Uwaga!

Odczepiona linka zwinęła się w powietrzu i spadła na trawę. Hanek z Radkiem pobiegli jej szukać. Samolot podchodził do lądowania.

*

— Cóż, Józku — spytał wieczorem instruktor. — Teraz już wszyscy są zadowoleni. A ty chyba najbardziej. Przeżyłeś tu wspaniałe chwile, mój chłopcze.

— Tutaj żyłem tylko „tymczasem” — odpowiedział Józek. — Wspaniałe życie pozostało poza mną. Może jest i przede mną jeszcze — dodał po chwili — o ile... zdołam odnaleźć swoją zagubioną przeszłość.

— Żyjesz przeszłością, wśród cieni, Józku. Nie lekceważ sobie dnia dzisiejszego. To się może zemścić...

ROZDZIAŁ PIĄTY GROMY Z JASNEGO NIEBA

Przed opleciony zielenią dom na szczycie zajeżdżały auta, bryczki, karetki i zwyczajne wozy. Wszyscy przyjaciele z miasteczka i wsi chcieli uczestniczyć w uroczystości oficjalnego otwarcia szybowiska i przekazania go Departamentowi Lotnictwa Cywilnego.

Instruktor wraz ze Stefanem i panem Michałem witali gości. Z bryczki wysiadł pan Pomorek, wójt wsi Maczki, i rozejrzał się dokoła, wkładając na nos okulary. Z samochodu wyskoczył pełnomocnik rządu, długonogi, ciemnowłosy, z kwadratową szczęką boksera. Ta

właśnie szczęka — jak twierdził żartobliwie — pozwoliła mu znieść wszystkie ciosy, jakie odebrał wprowadzając ład na swoim terenie. Szybkim ruchem otworzył drzwiczki auta i pomógł wysiąść starszej pani i młodej kobiecie.

— Moja matka i moja żona — przedstawił.

Witany owacyjnie, przyjechał minier Bielawski na motocyklu, potem rumor stał się jeszcze głośniejszy, bo ukazała się na skrawku karetki ze znakiem Polskiego Czerwonego Krzyża i obok szofera dojrzano lwia czuprynę i krzaczaste brwi doktora Górskiego. Od strony swojej chałupy nadszedł Kłak i przystanął obok Antkowej w tłumie Ślązaków. Oboje narzeczeni byli zadowoleni ze siebie, a oblicze Antkowej czerwieniało jak jej krasna chustka.

— Zbiórka! — zwoływał szybowników Józek.

Stanął czarno-białym szeregiem. Pan Milewski przywiózł wprawdzie córcę błękitną sukienkę, ale nie chciała jej włożyć w tym dniu. „Na wesele będzie dobra, tatuśku — powiedziała. — Skoro sądzisz, że nie powinnam gasić cudzej radości swoim smutkiem, będę drużką Francki i wtedy przyda mi się ta śliczna sukienka. Dziś jestem tylko pilotką i chcę wyglądać jak zwykle”.

— Gdzie Hanek? — pytał Józek. — Lesiu kochany, może byś zawołał Tomka, chcę go wysłać do Kłósków.

— Bym — zgodził się chętnie malec, ale zaledwie zrobił parę kroków, kiedy pochwyciły go na ręce panie, które przybyły z pełnomocnikiem.

— Malutki — rozczułały się — malutki, ty też latasz?

— Tes — odpowiadał wrywając się.

— Lesiu — skarcił go pan Michał — jakiś niegrzeczny! Przywitaj się zaraz!

— Dzień dobry — machnął w powietrzu nóżką — i do widzenia!

— Ślicznie, kochanie, ale my nie chcemy się z tobą żegnać — zaśmiewały się obie panie przytrzymując go za rączki.

— Muse iść — tłumaczył wycofując się. — Muse iść po Tomka. Józek kazał.

— Ach, to co innego. Puść go, mamó — zawołała młoda pani. — On idzie spełnić jakąś ważną misję.

Leś pomknął na poszukiwanie Tomka, kiedy jednak obaj, zdyszani, przecisnęli się przez tłum do Józka, było już za późno. Zajechała bryka i Stefan dał znać, iż pora zaczynać. Tłum gości znieruchomiał, piloci wyprostowali się i zeszytnieli. Po wysmukłym drzewcu masztu wznosiła się powoli flaga. Szybowisko zostało oficjalnie otwarte.

Na schodkach ganku, na tle zieleni pnącego się wina, stanął instruktor zwracając ku sobie wszystkie spojrzenia.

— W dniu święta, jakie obchodzimy na Górze Czterech Wiatrów — zaczął — witam miłych gości w imieniu Departamentu Lotnictwa Cywilnego i młodzieży, która przy waszej pomocy ocaliła i zabezpieczyła to szybowisko.

Dzieje naszego szybownictwa są nierozdzielnie związane z naszą młodzieżą. Jej to zapał stworzył piękne tradycje lotnicze, uTORował nowe drogi rozwoju i przyczynił się do szerzenia w społeczeństwie zrozumienia dla lotniczych spraw.

Samorzutnie rozpoczęła niegdyś młodzież badania nad nie znaną jeszcze i lekceważoną dziedziną lotów bezsilnikowych. Nie szukając zagranicznych wzorów wypracowała samodzielnie polskie typy szybowców przystosowanych do właściwości naszych terenów i naszych metod szkolenia. Pionierzy przekazywali z roku na rok własne zdobycze młodszym kolegom, którzy tłumnie garnęli się na szybowiska.

Konstruktorom i wychowawcom przyszli z pomocą uczeni. Wspólny wysiłek sprawił, że Polska osiągnęła w szybownictwie drugie miejsce na świecie.

Wojna zniszczyła nasz dorobek. Wielu pilotów zginęło na wszystkich frontach. W kraju piloci wypełniając wojenną służbę nie zapominali o lotnictwie. Starsi koledzy szkolili młodzież, która garnęła się do nich z zapałem, może nawet większym niż w czasach pokojowych.

Jeszcze trwała wojna, kiedy pozostali przy życiu piloci wraz z młodzieżą rzucili się samorzutnie do zabezpieczenia mienia lotniczego. Nie porozumiewali się ze sobą, nie wiedzieli o sobie...

Jeszcze trwała wojna, a już na szybowiskach stukały młotki, dźwięczały piły — to powstawały na nowo zabudowania. Jeszcze huczały strzały, a na zboczach rozlegały się już okrzyki: „pilot gotów!” — to rozpoczęło się szkolenie, na razie „dzikie”, nie zorganizowane, ale było. Niemcy sądzili, że nas złamią. Nie złamali. Rozbitkowie wojenni — często bezdomni, zmęczeni — wydobywali resztki sił, aby tworzyć na nowo zniszczone przez wroga szybowisko. Nie było to rzeczą łatwą i wymagało niejednokrotnie narażenia własnego życia, rezygnacji ze swych planów... Wysiłki każdego z obrońców mienia lotniczego były ustokrotnie siłą ramion i serc nie znanych mu kolegów i koleżanek, którzy, wiedzeni zdrowym instynktem samozachowawczym narodu, zabezpieczali szybowiska, warsztaty, fabryki.

I jeszcze raz nasze szybownictwo przebiegło tę samą drogę, co na początku swego istnienia: powołała je do życia energia i zapał młodzieży lotniczej.

Dzięki wspólnym wysiłkom można teraz rozpocząć normalne szkolenie. Na razie będziemy się posługiwać sprzętem ponemieckim, ale wierzę, iż na pierwsze zawody międzynarodowe staniemy już z własnym, nowym szybowcem.

Dziękuję wszystkim, którzy się przyczynili do ocalenia Góry Czterech Wiatrów, i zapraszam miłych gości na przedstawienie do świetlicy, a potem — na pokaz lotów...

Instruktor ruchem ręki zapraszał do wnętrza domu. Szereg pilotów złamał się. Goście podążyli grupkami do świetlicy.

— Stefek — szeptał Maciej — Hanek dotąd nie przyszedł. Odpada śląska, najlepsza część programu. Może posłać Tomka po Kłósków?

— Pan Michał już poszedł do nich. A ty zmień program tak, aby śląska część wypadła na zakończenie.

W świetlicy wisiała zasłona z prześcieradeł oddzielając widownię od sceny. Goście z zainteresowaniem oglądali rysunki na ścianach i modeliki szybowców, zawieszono u sufitu na długich sznurkach. Pomiędzy gośćmi kręcił się Tomek. Stefanowi wydała się podejrzana niewinna mina, z jaką chłopiec udzielał wyjaśnień wójtowi gminy Maczki. Stojący obok nich Andrzej Wicherski odwracał się dyskretnie do ściany tłumiąc śmiech. Właśnie wójt czytał gazetkę wypisaną dużymi literami na czarnej tablicy. *Komunikaty* — wyskandował z widocznym zadowoleniem, poprawiając okulary, i zagłębił się w ulubioną lekturę urzędową. W miarę czytania jednak na jego twarzy zjawił się wyraz zdumienia i niechęci. Komunikaty bowiem brzmiały niejasno i niepoważnie.

— *1. Wobec nieporozumień towarzyskich, jakie wynikły po wykładach instruktora, informuję, że:*

„naciągać” wolno tylko liny, a kolegów — nie, „ściągać” trzeba tylko drążek (i to nie zawsze), ale nigdy i niczego — nikomu...

*„przepadać” * natomiast można wszędzie i za wszystkim, ale na szybowcu nie jest to wskazane...*

— Hm — mruknął Pomorek po głębokim namyśle. — Cóż, zasady słuszne. Ktoś niewprawy tylko je zredagował.

— Mamy więcej takich słusznych — upewniał go Tomek, z łobuzerskim błyskiem w oczach. — O tu, na przykład, są „Złote myśli” naszego instruktora...

* Przepadać — tracić szybkość na szybowcu.

— *Uwaga, piloci* — odczytał wójt z wolna. — *Ponieważ nie „oddajecie” drążka po starcie, proszę od dziś oddawać drążki przed każdym lotem do kancelarii.*

— Taak, taak - przytakiwał. — Słusznie. Porządek musi być!

Andrzej Wicherski z niemałym niepokojem przyjrzał się wójtowi wsi Maczki. A Tomek zadzierając w górę nosa pokazywał właśnie gościowi zegar ozdobiony trzema mewkami * na błękitnym tle.

— To nasz zegar — opowiadał. — Przyznaliśmy mu „C”, chociaż on jest...

Tomek nie dokończył zdania, bo Stefan zdołał nareszcie przecisnąć się przez tłum, stanął obok nich i powiedział surowo, kładąc rękę na ramieniu brata:

— Tomek, jesteś n a p e w n o potrzebny Maćkowi.

Rozległ się dzwonek. Goście zaczęli zajmować miejsca. Kurtyna rozchyliła się ukazując wspaniały tron, skonstruowany chytrze ze stołków okrytych „królewską purpurą” z poszewek. Na tronie siedział Leś ze złotą koroną na puszystych włoskach, a w rękę dzierżył berło, czyli jabłko na patyku.

...Był sobie król

— śpiewał chór za sceną —

*był sobie paż...
i była też królowna,
żyli wśród róż, nie znali burz,
rzecz najzupelniej pewna...*

I wtedy właśnie zdarzyła się rzecz niespodziewana, która obudziła niepewność w sercach młodych aktorów. Król poruszył się niespokojnie, zdjął koronę z główki, położył ją obok berła i pozbywszy się insygniów królewskich zeskoczył na podłogę. Tron zachybotał rozpaczliwie. Malec spojrzał na to, marszcząc brewki.

— Nic się nie bój, mały! — krzyknął ktoś z widowni. — Trony się chwieją na całym świecie.

Leś obejrzał się:

— Załaz włacam — powiedział. — Muse iść.

Sala ryknęła śmiechem. Stropiony nieco chor śpiewał dalej, paż i królowna przystanęli w progu, witali oklaskami. Leś rzeczywiście wrócił za chwilę (biegł tylko tam, gdzie królowie zwykli chadzać na piechotę), ale „numeru” niepodobna było dokończyć. Przerywano stale śmiechem i klaskaniem. Paż-Tomek chichotał w najtragiczniejszych momentach, a królowna plątała się w długiej szacie, uszytej z firanek ściągniętych z okien u Kłósków. Rozochoceni goście bawili się wspaniale. Deklamacje Maćka wprowadziły poważny nastrój, potem zachwyty obudziły występy Budrysów i Krzysia w roli chóru „Czterech asów”. Pomimo to Maciek-reżyser niepokoił się coraz bardziej. Trzeba było zaczynać część śląską, a Hanek nie przychodził. Maciej ostrożnie wyjrzał przez szparę w kurtynie. Pełnomocnik rządu śmiał się szeroko, a jego żona klaskała. Minier Bielawski, aby lepiej widzieć, oparł się łokciami na krzesło pani pełnomocnikowej. Ślązacy cieszyli się, nawet milczący, ponury Meryk dziś rozochocony wołał coś ze swego kąta. Kłak, zdaniem Antkowej, zachowywał się widocznie nie dość poważnie, bo trącała go ramieniem z nieukontentowaniem. Kłak zasłaniał więc rozśmianą twarz granatową maciejówką-

Nagle ktoś krzyknął. Głośno. Rozpaczliwie. Wszyscy odwrócili głowy w kierunku

* Trzy mewki — odznaka szybowcowa kat. „C”.

drzwi wejściowych. Śluzacy wstawali z krzesel. Zrobił się zamęt.

Maciej wyskoczył na widownię. W progu świetlicy stał blady jak płótno Hanek.

— Maciej! — krzyknął ochryplym głosem. — Stefan! Ratujcie! Wyciepują nas!

Stefan z pełnomocnikiem rządu, przewracając krzesła, przepychali się przez tłum do wyjścia.

— Co się stało? — pytał Maciej chwytając Hanka za ramię. — Co się stało?

W oczach Hanka czaił się obłądny strach,

— Wyciepują nas — powtórzył. — Ratujcie!

— Panie Michale, co się stało? — zwrócił się Stefan do wchodzącego z pośpiechem mechanika. — Kto skrzywdził Hanka?

Pan Michał wysunął się naprzód, za nim przystanęła splotkana Francka.

— Do rodziny Kłosków przyszło zawiadomienie, iż mają wyjechać do Niemiec — rzekł wzburzony mechanik. — Muszą wyjechać jako Niemcy, a oni przecież są Polakami.

— Ratujcie! — zawołał Hanek.

— Uspokój się, chłopcze — powiedział pełnomocnik — zaraz wyjaśnimy wszystko, Gdzie jest pismo w tej sprawie?

— Mam je — i pan Michał podał papierek zaopatrzony urzędową pieczęcią.

Wśród śmiertelnej ciszy pełnomocnik uważnie sprawdził treść oraz pieczęć i podpis.

— Wysłane przez gminę Maczki — powiedział wreszcie — podpis wójta. Panie Pomorek, proszę do mnie na chwilę.

Żółta twarz wójta okryła się czerwonymi plamami. Spojrzał z niepokojem na pismo — odetchnął z ulgą.

— Pan wysłał ten papierek do Kłosków? — pytał pełnomocnik rządu, a jego bokerskie szczęki zwarły się mocno.

— Tak. Ja. Kłoskowie są Niemcami. Kazałem im przynieść kenkarty polskie — nie przynieśli. Jeszcze mi hardo odpowiedział Kłossek, że o niczym takim nie słyszał. Pytałem o volkslistę — też nie podpisywali. To są reichsdeutsche, panie pełnomocniku, a teraz udają Polaków. Wcześniej wysyłałem ich do Niemiec, bo podanie mam, żeby przydzielić jego gospodarstwo bezrolnemu chłopu z Lubelszczyzny. Ze wsi... zaraz... panie Kłak, w jakiej wsi mieszka obecnie Kazimierz Kłak?

Antoni Kłak zmieszał się okrutnie i począł obracać w palcach swoją granatową maciejówkę mamrocząc coś o tym, że podanie nieważne, bo on już nie chce tego gospodarstwa dla swego brata.

— Nie wycofane podanie jest ważne — pouczył go Pomorek surowo.

Antkowa trąciła Kłaka w łokieć.

— Oj, chłopie, chłopie, czegoś ty do ty pory tego podania nie wyciungno! On je wyciungnie z gminy zaraz jutro — obiecywała gorliwie, poprawiając z przejęciem chustkę na głowie. — Kłoski to su Poloki prowdziwe. On sie pomyłuł, ten mój chłop!

— Proszę nie osłaniać Niemców! — zgromił ją Pomorek. — Niemcy to są. Sam sprawdzałem. Francka, Johann — dzieci. Johann i Mathilda rodzice. Dopiero młodszych po polsku nazwali: Pietrek i Marijka. Polaków udają! Ale ja wynajdę wszystkich ukrywających się Niemców, wytropię wszystkie farbowane lisy w mojej gminie. Po to przyjechałem!

Pomorek grzmiał błyskając oczyma spoza okularów, a jego spiczasty palec mierzył w Hanka jakby z zamiarem przebicia chłopca na wylot. Pan Michał zasłonił sobą chłopca.

— Oczywiście, że byli reichsdeutschami — potwierdził. — Wszyscy obywatele Rzeszy Niemieckiej uważani byli za Niemców, niezależnie od pochodzenia i języka, jakim się porozumiewają. Na litość Boską — przecież tu nie jest teren Generalnej Guberni! Tu volksdeutschów nie było. Hitler zabronił po prostu mówić po polsku i stwierdził, iż Polaków nie ma.

— Pan, widzę, za adwokata u Kłosków — ironicznie zauważył Pomorek. — Cóż więc

pan powie w obronie ich nazwisk oraz imion?

Dokoła pana Michała i Pomorka utworzyło się kółeczko.

Pełnomocnik bez słowa obserwował obu przeciwników oraz wszystkich zebranych Ślązaków, którzy stoczyli się razem i słuchali w ponurym milczeniu.

— Nazwisko brzmi Kłosek, panie... prokuratorze — gniewnie odparował cios pan Michał. — Niemcy zmienili nie tylko nazwy miejscowości, ale i nazwiska mieszkańców. Kłoskowie stali się Klosskami.

— A gdyby nawet mieli nazwiska niemieckie! — wtrącił Maciek zaczepnie. — Niech pan lepiej do śląskich skrzyń zajrzy, zobaczy pan tam polskie książki i polskie pisma.

Pomorek pominął wzmiankę o książkach.

— A imiona? — wołał. — A niemieckie imiona? Czemu pomiędzy sobą dzieci po niemiecku nazywają?

— Imiona są śląskie! — krzyknęła ze sceny Małgorzatka. — Pan widocznie nigdy nie był na Śląsku Cieszyńskim. Tam też imię Franciszek spieszczą jako Francek!

— Nasza Małgosia pochodzi z Bielska — wyjaśnił półgłosem Stefan.

— Rodzina Kłoska mówi pięknie po polsku! — wołał Maciej. — Gwarą piękną, do staropolszczyzny podobną. Nie wolno ich obrażać!

— Mówisz po polsku, chłopcze? — spytał Hanka pełnomocnik rządu. — Czy zawsze mówiłeś po polsku?

— Wzdycki — odpowiedział Hanek, który już się uspokajał. Obok niego stali przyjaciele, którzy nie pozwolą go skrzywdzić. Nie wyjedzie do Niemiec — ani on, ani jego rodzina.

— A ja słyszałem tu inną mowę, co brzmiała nie po staropolsku, ale jak mieszanina polsko-niemiecka, Kto tak rozmawia?

— Czesi albo Polacy z morawskiej granicy — odrzekł Hanek już pewnym głosem. — Oni tu mają „altemycki na sprzedaż” albo „szlapticzki na myszy, na szczury, na roztomaite natury...”

— Handlarze z granicy czeskiej — domyślił się pełnomocnik. — A wy, Ślązacy, co sprzedajecie?

— My — warzywa.

— Dziękuję. Nie będę cię egzaminował. Sprawa jasna. Nie miejcie do nas żalu. — Pełnomocnik nie patrzył już na chłopca, tylko na zbity tłum Ślązaków. — Odróżnić Ślązaka od Niemca, a Polaka powracającego z obozu od metów żerujących na powojennym zamieszaniu — jest niezmiernie trudno. W komisji, która zajmuje się rehabilitacją miejscowej ludności, powinni się znaleźć miejscowi działacze, ale ci przeważnie są jeszcze na terenie Niemiec, powracają dopiero z więzień i obozów... Na razie obiecuję wam unieważnić wszystkie nakazy wyjazdu, sprawa Kłosków będzie rozpatrzona powtórnie, już w innym składzie. Zajmę się tym osobiście. Panie Pomorek, zgłosi się pan do mnie jutro rano.

Pomorek otworzył szeroko usta, zanim jednak zdążył odezwać się, przed pełnomocnikiem stanęła Francka i ukłoniwszy się pięknie, rzekła:

— Proszę was na moje wesele, pełnomocniku, jino przyjdźcie!

— Pan nie odmówi nam, panie pełnomocniku — dodał pan Michał biorąc narzeczoną za rękę.

— Winszuję, panie Michale, ślicznej żony. Czy też Ślązaczka?

— To siostra Hanka.

— I tak pięknie mówi po polsku.

— Była tu u nas polska szkoła przed wojną — wyjaśniła Francka — a podczas wojny nasz nauczyciel przyjeżdżał do nas po kryjomu z Prudnika.

— Śląski nauczyciel — zainteresował się pełnomocnik — a gdzie on teraz?

— W Prudniku i będzie na moim weselu.

— Będzie na weselu — potarł podbródek w zamyśleniu pełnomocnik — będzie na weselu, powiadacie. Hm... No tak. Oczywiście, że przyjdę. Bardzo dziękuję za miłe zaproszenie. A tymczasem, do widzenia!

Za pełnomocnikiem ruszyli wszyscy. Nikt nie pytał o loty. Mieszkańcy Góry wybiegli za najbliższymi przyjaciółmi zapraszając ich także na wesele Francki i Antkowej.

— Przyjadę! — obiecywał doktor Górski spoglądając na gęsto zapisany notesik. — Jakoś znajdę dla was chwilkę wolną. Taka uroczystość nieczęsto się zdarza. Tylko żebym nie zapomniał! Aha! Widzicie, byłbym zabrał ze sobą z powrotem list do Józka. O, proszę. Przyszedł na moje nazwisko. Pewnie to odpowiedź na listy, które Józek wysyłał ze szpitala.

— Józek — wołał Stefan — masz list!

— Ja! — Józek znalazł się w tej chwili przy Stefanie. — Od Ewy, panie doktorze — powiedział obracając w rękę małą kopertę. — Dzięki stokrotne za przywiezienie!

W parę minut później Józek wszedł do świetlicy zawadzając w progu o jakąś zieleń, opadającą z framugi drzwi. Szybkim ruchem rozerwał kopertę. Były w niej dwa listy. Poznał drobne pismo Ewy i zamaszyste — Jacka.

Kochany Józku — pisała Ewa. — Niestety słyszałam o Twojej „śmierci”. Opowiadał tę plotkę Olek Bukara. Opisał mi dokładnie, jak to w Oświęcimiu wybuchł bunt, którego on, Bukara, był przywódcą. Sprawców nie schwytano, natomiast Niemcy rozstrzelali co dziesiątego więźnia. Trafili na Ciebie... Zwymyślałam Olka wtedy za to, iż pozwolił, aby ktoś niewinny ginął zamiast niego. Byłam też pewna, że przesadził mianując siebie „przywódcą”. On zawsze lubił się chwalić... Ale do głowy nam nie przyszło, iż można zmyślić rzecz taką. Uwierzyliśmy, Józku.

Józku, wracaj do nas, do Warszawy, otoczmy Cię opieką, jaka Ci się należy po takiej męczarni. Wracaj prędko!

Pytasz mnie o swoich i o Wojtka, więc muszę Ci powiedzieć, chociaż nie chciałabym Cię niczym zranić. Nie szukaj Wojtka, Józku. Nie pisałam Ci o tym do Oświęcimia, bo mi Wojtek zabronił. Pewnie będziesz chciał mieć ostatni jego list. Ocaliłam go dla Ciebie. Na razie przepisuję dosłownie:

„Ewo! Józek ma zeznawać, że przyszedłem do niego po książkę. Ma upierać się przy tym. Nic o mojej pracy nie wie. Powiedz mu, że takim zeznaniem nam dopomoże. To nie jest kłamstwo, Ewo, bo lżej nam na myśl, że ocaleje chociaż on. Nas nie uratuje już nic. Nie rozpaczajcie po mnie. Moje odejście jest jak czysta rana, która zasklepi się dobrze. Wszystko w porządku, Ewo. Zaznałem wiele radości. Wierzę w słuszność naszej pracy i w to, że warto za nią oddać życie. Było nam dobrze razem, prawda? To jest wielkie szczęście móc ufać sobie do końca.

Wojna skończy się pewnie już niedługo. Znów będziecie pracować w lotnictwie. Wykonajcie wszystko za siebie i za nas...

Ewo, ratuj Józka. I kiedyś, kiedy go spotkasz, powiedz mu, że przyjaźń była największą radością mego życia.

Niczego nie żałuję. Odchodzę spokojny.

Wasz Wojtek”

Już po rozstrzelaniu Wojtka przyszedł do jego wuja jakiś robotnik. Chciał widzieć się z „Ewą”. Wuj zaryzykował i przywołał mnie. Robotnik, współtowarzysz Wojtka z Pawiaka, opowiadał nam wiele o nim, przekazał też różne polecenia. Najbardziej utkwiał mi w pamięci taki fakt: któregoś dnia nad więzieniem latał samolot i jego nieustanny natrętny warkot słyszeli wszyscy więźniowie. Zwykle opanowany, Wojtek stał się niespokojny. Chodził szybko po celi, to stawał przy oknie i patrzył na skrawek zadymionego nieba za kratami. Naraz, jakby nie panując już nad sobą, krzyknął: „Bicie jest niczym! Niech biją! Ale niech mi nie każą słuchać warkotu samolotu! Nie mogę! Tak chciałbym jeszcze polecieć!”

Józku, mój drogi Józku, to jeszcze nie wszystko. Pytałeś o swoją rodzinę. Nie szukaj jej także. Znalazłam w PCK nazwiska Twego Ojca i Matki. Jak zginęli, nie wiem. Nie trap się, że mogiła zaniedbana, odszukałam ją, oczyściłam, posadziłam kwiaty. Matej Jadzi nie umiałam znaleźć, ale rozmawiałam z jej kolegami. Pocisk trafił Jadwiżkę w przejściu przez Aleje Jerozolimskie. Zanim udało się zrobić przekop w poprzek tej ulicy, była to prawdziwa droga śmierci i ginęło tam wiele łączniczek.

Tego dnia miał tę niebezpieczną trasę zrobić kto inny, ale Jadwiżka uprosiła, ażeby puszczono ją właśnie.

„Mnie się nic nie stanie — powiedziała. — Ja mam takie szczęście. Wiadomo, komu ono sprzyja” — dodała wesóło.

Nie wiem, jak to było, dość że zmieniono decyzję. Poszła Jadzia. Uśmiechała się jeszcze po śmierci. Nie zdawała sobie sprawy, że walka, jaką prowadzą powstańcy, jest już beznadziejna.

Wicek został zasypany w Pasażu Simonsa. Dostać się do niego na razie niepodobna. Jego dowódca powiedział o nim i o innych najmłodszych: „Dzieci mnie nie zawiodły”.

Józku, tyle miałam dla Ciebie straszliwych wiadomości, ale pytałeś, a ja nie chciałam Cię okłamywać nigdy, nawet przez chwilę. Wolałabym powiedzieć Ci o wszystkim sama, uprzedzić. Ale świat jest mały, może zrobić to ktoś obcy i jeszcze bardziej niezręcznie niż ja. Daruj więc, Józku, że Cię muszę zranić. I błagam: wracaj prędko.

Twoja Ewa

Józek oparł się o stół. Wszystko zawirowało mu przed oczyma. Nie ma rodziny. Już nigdy nie wyjmie z rąk ojca i matki roboty, nigdy nie powie: „Odpocznijcie, teraz będę pracował dla was...”

Nie zdążył dopomóc Jadwiżce, odeszła, zanim zaczęła naprawdę żyć. Zawsze robiła wszystko za innych, zginęła też za kogoś, jego mała siostrzyczka.

A Wicek. Taki był pełen życia, pędzący jak wicher naprzód. Kamienie cię przywalały, braciszku, i już nie puściły...

Nie ma Wojtka, przyjaciela. Może czuł, że zginie?

Kiedy dotarła do nich wiadomość, że ich kochany „porucznik” Kazik Kula spłonął przy bombardowaniu Essen, Wojtek poprawił zwichrzoną zawsze czuprynę, zmrużył lekko oczy.

— Cóż — powiedział — dziś on, a może jutro my. Zginać rzecz ludzka, grunt to nie dać się złamać.

Józek machinalnie rozłożył list Jacka, jakby szukając w nim pomocy.

*Józek, bracie — pisał Jacek. — Tak długo nie otrzymywaliśmy od Ciebie żadnej wieści. Ewa była jak człowiek, któremu odcięto prawą rękę. Jak to dobrze, że Ty żyjesz, że ten bęcwał Olek wysłał z brudnego palca historię o Twojej śmierci. Przyjeżdżaj do nas do Warszawy. Mieszkamy z Ewą u mojego ojca, który pracuje w BOS-ie *.*

Nasza poczciwa gospodyni jest z tego nie wiedzieć czemu dumna i oznajmia każdemu, kto chce czy też nie chce słuchać, że: „pan inżynier u samego «Bosa» pracuje, ma mieszkanie i obiady, ooo!”

Przyjeżdżaj! I daruj mi, że piszę trochę trzy po trzy, ale jestem straszliwie zmęczony dzisiejszą całodzienną orką i trudno mi skupić myśli, chciałem odłożyć list na potem, ale Ewa mi przykazała, że mam pisać. Muszę Ci powiedzieć, że jestem o Ciebie zazdrosny, Ewa tylko o Tobie mówi, a ja się wcale nie liczę.

Serwus, bracie. Ściskam Cię serdecznie, oczekujemy na Ciebie oboje z niecierpliwością.

Twój Jacek

* BOS — Biuro Odbudowy Stolicy.

Józek nie wiedział, ile czasu minęło od chwili, kiedy wszedł Stefan i uniósł go siłą z ławki.

— My zaraz wrócimy — powiedział przerażonemu Tomkowi. — My jeszcze musimy trochę pogadać — i wyprowadził przyjaciela.

Słońce stało na wysokości lasu. Długie cienie padały od drzew. Mały zagajnik choinek krył się w ich cieniu. Ptaki nawoływały się w nim, ich cichy świergot jakby z ogromnej dali dobiegał do Józka, który szedł obojętnie za Stefanem. Za małym zagajnikiem kilka sosen świeciło na wzgórku jasnopomarańczową barwą. Józek odwrócił głowę. Blask słońca go raził. Nie chciał słońca. Pragnął ciszy ciemnej i kojącej. Stefan skrzywił posłusznie. Przeszli na stok, gdzie usiedli obaj na rozrzuconym sianie.

Mrok powoli zagarniał las i jodły w jego głębi stały ciemne jak na obrazkach starych mistrzów. W jasnej dolinie ścielącej się u ich stóp cała przestrzeń, okryta pasami złocącego się już zboża, była jeszcze zalana blaskami słońca. Tego blasku nie dostrzegł Józek, nie czuł radości, jaką płonęły dachy obu domków u podnóża góry. Tam zaczynało się nowe życie. Józkowi wydawało się, że dla niego skończyło się już wszystko.

— Józek — szepnął Stefan z głębokim współczuciem.

Józek westchnął głęboko jak obudzony z koszmarne go snu.

— Lepiej ci?

Skinął głową potakująco.

— Nikt nie wie o niczym — powiedziałem, że idziemy porozmawiać. Jeśli zechcesz, nie dowie się nikt o twoim smutku.

Ruch ręki Józka wyraził wymownie, że mu jest wszystko jedno.

— Cała rodzina zginęła — powiedział. — Wszyscy! Nie mam już nikogo.

— Masz przyjaciół.

— Wojtek zginął, a Ewa... Ewa myślała, że nie żyję, i poszła z Jackiem. Wszystko się skończyło.

— Twoja rodzina, wszyscy, którzy cię kochali, pragnęliby przecież twego szczęścia. Zresztą — cóż im dopomoże twoja rozpacz?

— Prawda — pochylił głowę Józek — ale tak pusto.

Zapadło długie milczenie. Józek patrzył w przestrzeń, jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia, była jak ograbiony, rozwany na oścież opustoszały dom.

Ptaki umilkły. Słodko pachniało siano.

— Słuchaj, Józek, nie wszystko stracone, wierz mi! Musisz przezwyciężyć rozpacz i ból. Józek!

Stefan miał wrażenie, iż woła do kogoś, kto odchodzi, i że jego wołanie nie dociera do odchodzącego. Józek siedział spokojnie ze skamieniałą twarzą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŚWIT

Wstał znów błękitnooki dzień. Od rana na zachodzie zastygło w bezruchu długie pasmo białych chmur na horyzoncie, wypiętrzonych ku górze jakby lśniących wieżyczkami. Instruktor Stefański spoglądał ku nim raz po raz, grabiąc siano.

— Halo — zawołał do Józka — czy widzisz te chmury?

Józek oparł się o grabie i przeniósł obojętny wzrok na horyzont.

— Widzę — powiedział. — Mogą być silne warunki.

— A... gdyby tak zrobić nocny lot, jak sądzisz? — W głosie instruktora zabrzmiała ukrywana nadzieja, że Józek zechce lecieć.

— Owszem, można. Leć.

Ostry profil instruktora był wciąż zwrócony na zachód, twarz jego nie zdradziła doznanego zawodu, tylko ręka opadła w dół gestem zniechęcenia.

„Zmarnuje mi się chłopaczysko — pomyślał z żalem. — Na nic nasze starania, aby oderwać jego myśli od bolesnej straty. Nic go już nie obchodzi. Drażnią go nawet rozmowy o Ewie i Jacku. Latać nie chce... Ale cóż, próbujmy dalej!”

— Proszę cię — powiedział — przygotuj wszystko do nocnego lotu.

Przez cały dzień oczekiwano na silne warunki, w przekonaniu, że leci instruktor Stefański.

— „Rękaw” się wydał! — krzyknął wreszcie Radek, który nie spuszczał oczu z dachu hangaru.

— Na start! — zawołał instruktor.

Józek wstał, bez pośpiechu podszedł do Weihe, stojącej na desce startowej. Ujął ręką za skrzydło.

— Doliniarze, do liiin! — krzyczeli chłopcy ustawiając się z linami na stoku góry. Małgorzatka przywarowała za szybowcem, trzymając w ręku drut od zaczepu. Wszystko gotowe było do lotu. Czekano w napięciu, ale instruktor nie wsiadł do Weihe. Stał jak gdyby na coś czekając.

— Józek! — odwrócił się naraz do szybownika. Józek drgnął, wyrwany z martwej ciszy, w jakiej się pogрузzył, nie słysząc nawet, co się dokoła niego dzieje. Z daleka dotarły do niego niepotrzebne słowa: — Józek, lecisz!

On? Po co? Dlaczego chcą go zmusić do latania? Po co patrzy na niego tak uporczywie instruktor wzywając: „Józek, leć!”

Chciał odmówić, ale nie znalazł w sobie dość energii na zmaganie się z tym wzrokiem, rozkazującym i błagalnym równocześnie. Może i lepiej będzie, jeśli wystartuje i chociaż przez pewien czas pozostanie nareszcie zupełnie sam.

— Dobrze — zgodził się niechętnie — lecę.

Oddał Andrzejowi skrzydło do potrzymania, a sam powoli zawrócił do kabiny. Pan Michał wciągnął na niego kurtkę, podał kominiarkę. Poprzeczna zmarszczka przecięła czoło mechanika: nie podobał mu się ten bezwolny pilot.

— Możemy startować — powiedział instruktor. — Jeśli nie wytrzymasz do rana, ląduj w każdej chwili. Światła zapalamy od razu, a litera „T” już wystawiona.

Instruktor rzucał słowa zaszępiiony, pomimo to jego suchy, rozkazujący głos elektryzował wszystkich. Nawet Józek ożywił się nieco i spojrzał uważniej w dolinę zalaną czerwienią zachodzącego słońca.

Podbity uderzeniem wiatru szybowiec jak piłka wyskoczył w górę zaraz po starcie. Weihe okrążyła las i nadlatywała nad „Zaminowaną Kotlinkę”, za którą ciągnęło się długie pasmo „Wzgórka Miniera”. Oczy bolały patrzeć na nią. Jasna sylwetka szybowca znikła w migotliwych blaskach zachodu. Wiatr ucichł, „rękaw” opadł na dachu hangaru.

— Nie przejdzie! — wśród ciszy rzekł instruktor. — Nad kotlinką silne duszenie, wiatr jeszcze zbyt słaby. Biegnijcie z wózkiem po szybowiec.

Milcząc wracali pod górę zwykle tak rozgadani chłopcy. Tylko motorek wyciągu transportowego warczał monotonnie.

Już widać maszt na szczycie z bezwładnie opuszczoną flagą. Wiatru nie ma...

I nagle w sercu Józka obudził się dojmujący żal za lotem, którego nie było, za zwycięstwem, którego nie dane mu było odnieść.

Weszli na szczyt. Instruktor stał odwrócony plecami i nie poruszył się słysząc, że się zbliżają. Chłopcy po chwilowym wahaniu ustawili Weihe znów na desce startowej.

Wtem — poszum przebiegł przez las, drzewami wstrząsnęło drzenie. Na ścieżce wiodącej do domu uniósł się tuman kurzu. Flaga zatrzepotała, wypełnił się powietrzem pasiasty „rękaw” na hangarze i jego wyciągnięte ramię wskazało północ. Wicher dał z południa, uderzając gwałtownie o szczyt, wyrwał Weihe z rąk chłopców, zmuszał drzewa do bałwochwalczych ukłonów.

— Waja na start! — krzyknął instruktor odwracając się, na chwilę zawiesił głos i dodał głośno, stanowczo:

— Józek, do maszyny!

Radość jak nikłe światełko rozbliły w smutnych oczach pilota. Teraz już sam z pośpiechem wkładał kurtkę, pomagał zapinać pasy.

Weihe wyprysnęła ponad start, ale wiatr jakby igrał z pilotem, bo przycichł znów. „Rękaw” co prawda wydymał się jeszcze, ale co chwila opadał, przełamany w połowie. Józek jest znów nad przełęczą, szybowiec traci na wysokości, opada niżej, nadlatuje nad „Wzgórze Miniera”, ale niemal muska podwoziem czubki drzew. Oczy wszystkich mieszkańców Góry towarzyszą mu, jak gdyby siłą spojrzenia chcieli podtrzymać maszynę, jak gdyby od tego lotu miała zależeć Józkowa przyszłość.

Słońce zaszło. Mała, ruchoma sylwetka Weihe jaśniała nad lesistym pasmem „Wzgórza Miniera”. Ale czy długo potrafi utrzymać się Józek przy takim wietrze?

Pilot myślał o tym samym spoglądając w dół, na zielone morze drzew, rozpościerające się pod szybowcem. Dolinę wypełnił błękit — jak daleka woda za mgłą. Tuż pod Weihe sterczą czubki jodeł jak zielone gwiazdki, niżej — szerokie gałęzie. Na horyzoncie zamigotały pierwsze żółtawe światełka w niewidocznych domach, na niebie rozbliły blade jeszcze gwiazdy. Wierzchołki drzew powoli poczęły się stapiać w jedno z kosmatą zielenią gałęzi. Zapadał mrok.

Józek z uwagą śledził zegary, z których mżyło zielonawe światło. Zapomniał już o tym, że nie chciał lecieć, że w pierwszej chwili miał zamiar odmówić instruktorowi, i tylko prośba w oczach przyjaciela zmusiła go do odpowiedzi: „dobrze, lecę...”

W tej chwili stało się ważne tylko to, żeby się utrzymać nad wzgórzem, nie pozwolić, aby warunki zmusiły do lądowania.

Jedno okrażenie tuż, tuż nad drzewami, drugie, trzecie... naraz strzałka wariometru drgnęła, poruszyła się ku górze. Szybowiec „miał wznoszenie” — 3 metry na sekundę. Wysokość poczęła wzrastać: 50... 100... 150...

Wiatr dał teraz równomiernie i jakby przewyciężony uporem pilota, pokornie podtrzymywał szybowiec, unosił go coraz wyżej na ugiętych falach powietrza.

Józek rozejrzał się. Gdzież jest niebo, a gdzie porzucona ziemia? Gwiazdy są nad nim i gwiazdy błyszczą w dole. Jest zawieszony w środku granatowej, rozgwieżdżonej kuli.

Mijały godziny. Weihe, prowadzona znakami zegarów, zataczała ósemki nad lesistym wzgórzem, gdzie błyszcząły światła latarni, wskazujące trasę lotu.

Znużenie ogarniało pilota. Wstrząs, jakiego doznał po przeczytaniu listu donoszącego, że stracił całą rodzinę, bezsenne noce — nadwąliły jego siły. Sam nie wiedział, że pochyła się nad tarczą zegarów, usypia w ciszy, której nie mać żaden głośniejszy dźwięk.

Wydawało mu się, że wyrasta przed nim jakaś potężna brama. Nie może jej minąć, musi przelecieć przez nią. Nie wie dlaczego, ale musi. Leci więc naprzeciw, ale brama zwęża się, staje się taka wąska, że nie przejdzie przez nią długoskrzydła Weihe. Pomimo to mknie naprzód i dech mu zapiera myśl, że za chwilę szybowiec roztrzaska się o mury bramy.

Obudził się jak od nagłego wstrząsu. Dokoła ciemna noc. W dole za nim pozostało ostatnie światło latarni.

Trzeba zawracać. Przyjaźnie mrugają zielone światła zegarów: wszystko w porządku — zdają się mówić — wszystko w porządku, lećmy dalej!

— Byle nie zasnąć — powtarza Józek przez zaciśnięte zęby. — Ta cisza aż dzwoni, ta

cisza tak usypia. Ale wytrzymaj! Czeka cię przecież to samo w życiu: Ciemna noc dokoła. Nikogo obok. Jesteś sam.

Zgasły dawno światła w dalekich domach. Na ziemi leżała aksamitna, przytulna ciemność. Może wylądować? Po co krążyć bez celu w tę bezksiężycową noc, po co zmuszać siebie do skupienia. Czyż nie wszystko jedno, co się z nim stanie, skoro jest tak bardzo, tak okrutnie sam. Lepiej wylądować! Byle gdzie. I mieć nareszcie spokój.

Skierował maszynę nad szczyt. Jeszcze raz, bodaj poprzez mrok, spojrzy na Górę Czterech Wiatrów tak bliską mu i kochaną, na której przeżył wiele dobrych dni wierząc, że przeszłość wróci.

Wychylił się z kabiny. Na zasnutym mrokiem lotnisku błyskały kwadratem zapalone światła. Pośrodku świeciła litera „T”, wskazując mu kierunek wiatru. Od oświetlonych okien domu kładą się na szczyt smugi światła. Jak rój świętojańskich robaczków migocą zapalone latarki. Wszyscy wybiegli przed dom i dają mu znaki.

Czuwają wraz z nim ci, o których zapomniał, przejęty własnym bólem, pochłonięty myślami o przeszłości. Przebywał z nimi „tymczasem”, szkolił ich z obowiązku. A przecież co wieczór ich ręce splatały się w „braterski krąg”, który zamykał się nie tylko nad jego samotnym sercem, ale nad całym krajem, obejmował sobą — wielki świat.

Bez słów pomagali sobie wzajemnie, bo każdy czuł przy sobie silne ramiona, czuł jedność gromady połączonej bezinteresowną, rozumiejącą miłością.

Nie jest sam! Może na zakręcie oczekuje na niego ktoś jeszcze słabszy, nieszczęśliwszy niż on. Może praca, jaką wykona, stanie się ogniwem, które zadecyduje o zwycięstwie wielkiej sprawy.

Nie jest sam, nie jest niepotrzebny i dopóki żyje, nie wolno mu wymykać się samolubnie z braterskiego kręgu.

To, co człowiek czuje, jest jego prywatną własnością, ale to, czego potrafi dokonać, może się stać sprawą narodu, a może i całej ludzkości.

Nie jest sam. Musi opanować swój ból. Musi iść naprzód.

Józek zawrócił nad wzgórze.

*

Stefan zmienił wartę przy latarniach na lotnisku i wrócił na szczyt. Ktoś stał przed gankiem, w ciemności jarzył się czerwonym blaskiem ognik papierosa.

— I cóż? — spytał instruktor. — Wystarczy nafty? Wygląda na to, że Józek pozostanie w powietrzu do rana.

— Wystarczy. Mamy spory zapas.

— Kto pilnuje teraz latarni?

— Budrysi.

— W porządku.

Stefan zatrzymał się na schodkach.

— Panie instruktorze... — zaczął i urwał nagle.

— O co chodzi?

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Męczy mnie jedna myśl.

— Mów. Może nie potrafię ci niczego wyjaśnić, ale postaram się zrozumieć

— Już dawniej spotkałem się z tym... Czemu tak często przegrywają ludzie, którzy mają rację? Przecież to oni właśnie powinni zwyciężać. I czemu tak często cierpią ludzie dobrzy, ludzie sprawiedliwi.

— Stefku. Kiedy będziesz o piętnaście lat starszy, tak jak ja, przekonasz się, że nie wystarczy mieć rację, aby zwyciężyć. Racja nie zwycięża sama przez się. Trzeba umieć wywalczyć dla niej zwycięstwo.

Instruktor zaciągnął się dymem papierosa.

— Słusznie zauważyłeś —: podjął po chwili — że często cierpią ludzie sprawiedliwi, ludzie dobrzy. Nieraz trudniej jest temu, kto szuka prawdy, a nie własnego wywyższenia się, bo nie korzysta on z krętych dróg, poświęca się dla innych... Piękne i uczciwe życie jest trudnym życiem, Stefku, ale tylko tak warto żyć.

— Ale nie mogę się zupełnie pogodzić z okrutnymi, bezmyślnymi cierpieniami, jakie są zadawane ludziom. Na przykład Józek. Czemu zabrano mu wszystko, tak bez reszty wszystko. Przecież to jest nieludzkie!

— W powstaniu zginęło wiele rodzin. Nie tylko Józek stracił najbliższych. Znam Józka, jest silny wewnętrznie, potrafi przemóc swój ból.

— Ale dlaczego los odebrał mu także Ewę? Po co skłamał ten głupiec Olek? Czyż nie wiedział, że nieostrożnym słowem można zabić jak wystrzeloną nieopatrnie kulą, że kłamstwo może potoczyć się jak lawina w górach, miażdżąc niewinnego człowieka?

— Zaraz, zaraz — instruktor zgasił papierosa. — Bardzo to ładnie wyprowadziłeś, tylko ja nie wiem, o co właściwie chodzi. O czym mówisz?

— O tym, że Józek stracił także Ewę. Wyszła za męża za Jacka sądząc, że Józek nie żyje.

— Ewa za Jacka?! To mi nowina! Kiedy zdążyła? Przed moim wyjazdem Jacek otrzymał od niej „kosza” właśnie z przyczyny Józka, o którym nie może zapomnieć. Pokpiwaliśmy nawet z niego oboje z moją żoną, bo też zawód sercowy Jacka wcale nie był tak wielki i w niczym nie zagrażał jego przyjaźni z Ewą.

— Może zdecydowała się później...

— To ciekawe: nie chciała wychodzić za Jacka wiedząc, że Józek nie żyje, i czym prędzej wyszła za męża na wieść o jego powrocie. Coś tu się nie klei... Czy ona napisała wyraźnie o swoim ślubie?

— Nie. To wynikało z treści listu. Oboje stale podkreślali: „my”, „u nas”, „z nami”.

— Dowody po prostu nadzwyczajne. Odkąd znam tę czwórkę przyjaciół, zawsze słyszę, jak o sobie nawzajem mówią: „my”. Józek z Wojtkiem, Jacek z Ewą, Ewa z Józkiem...

— Zapraszali Józka, żeby zamieszkał z nimi...

— Słusznie, bo Ewa mieszka w Warszawie u ojca Jacka, co nie jest równoznaczne z tym, że ma zamiar poślubić jego syna. Biedny Józek zupełnie stracił głowę, jeśli mógł wymyślić taką bzdurę, ale po tobie spodziewałem się więcej rozsądku. Zamiast łamać nad nim ręce i rozpaczać, że świat jest zły, trzeba było trochę się zastanowić. Ale uwaga! Hej, chłopcy, Józek leci! — zawołał nagle wstając z miejsca.

Pomiędzy srebrnymi światłami nieba poruszyły się niespokojne, kolorowe gwiazdy. To Weihe zataczała jedno po drugim koło nad szczytem. Z gwarem wybiegli z domu chłopcy, zamigotały zapalone latarki.

— Józek! — krzyczeli, choć nie mógł ich usłyszeć. — Józek, trzymaj się mocno!

— Zawraca nad wzgórze — powiedział instruktor.

Niebo pojaśniało. Gwiazdy bladły, wtapiały się w błękit. Potem ciemne obłoki przesiąkły blaskiem, stały się lekkie, przejrzyste, pokarbowane w drobne fale i świecące złotem na wschodzie. Na widnokręgu błysnął czerwony rąbek i zaczął się rozszerzać. Słońce wstawało. Józek jeszcze raz objął wzrokiem okolice: Górę Czterech Wiatrów, która była dla niego domem, dalekie pasmo gór na granicy czeskiej i wieś, której dachy błyszczały w słońcu.

Na lotnisku stoi gromada przyjaciół. Czyż to możliwe, że ich wzniesione w górę ramiona niosą mu jakąś dobrą wieść? Nie chciał się ludzić, a jednak w sercu zbudziła się nadzieja.

Szerokim łukiem podszedł do lądowania

ROZDZIAŁ SIÓDMY WESELE

W dniu wywodzin Francki mieszkańcy Góry Czterech Wiatrów wyemigrowali do Kłosków. W odświętnie przybranej izbie z trudem mieścili się wszyscy goście, wśród których znajdowali się także starzy Kłoskowie i pan Michał z Lesiem. Pełnomocnik rządu i doktor Górski mieli przyjechać dopiero po południu, a wójt Pomorek przybyć nie mógł, jako że powrócił jak niepyszny do rodzinnego Kocmyrzowa.

Drzwi od sąsiedniej izby otwały się szeroko i wszedł czarno ubrany starszy družba z pękiem zielonych wstążek na ramieniu.

— Sprzedam wam dziółszka — zaczął.

Stary Kłosek szepnął coś na ucho panu Michałowi, który wysunął się naprzód i zawołał:

— Ja bym kupił!

Starszy družba skinął głową na zgodę, cofnął się za drzwi i wyprowadził siostrzyczkę Francki. Mała Marijka opierała się nieco odwracając wstydliwie główkę.

Wesoły szmer przebiegł izbę.

— Nie ta, nie ta! — wołano. — Za mało! Powiedz ją dalej, ona kulo! My się innej spodziewamy!

Przy wybuchu śmiechu Marijka udając, że kuleje, przemierzyła pokój na jednej nóżce i ukryła twarz w szerokiej matczynej spódnicy.

Tymczasem starszy družba wyprowadził już następną „dziółszkę”. Była nią Małgorzata, w błękitnej jak ostróżki sukience.

— Też szwarno — przywitał ją pochwalny chór — ale nie ta. Tamto była jasno, a ta ciemno!

Małgosia przemknęła pomiędzy ludźmi do ojca, który wyciągał do niej rękę.

— Nie chcą cię, córuchno, chodź do mnie — powiedział wywołując tym znów śmiech w izbie.

Z komory wysunęła się młoda dziewczyna w liliowej, szerokiej, marszczonej spódnicy, kaftanie tegoż koloru, lamowanym przy szyi białą wypustką. Na głowie dziewczyny mienił się i skrzył różnobarwny wieniec ze sztucznych kwiatów. W rękę trzymała tackę z małym wianuszkiem z polnych kwiatów.

— To Barburka. Družka-stompka — rzekł Hanek po cichu otaczającym go kolegom, którym obiecał wyjaśniać ceremoniał wywodzin.

Družka-stompka, świadoma ważności swojej roli, spojrzała z godnością na wszystkich i chwilę zaczęła, aż gwar ścichnie.

— Wszystkich witam i winszuję — powiedziała. — A najprzód witam pana młodego z całym zgromadzeniem jego... Posłała mnie panna młoda do pana młodego z tym wionkiem na talerzu i spodziewam się sto talarów na nim...

*Sto talarów położycie,
pannę młodą obaczycie,
bo panna młoda nie próżniaczka,
jak ten wionek wiała:
trzy nocki nie społa,
trzy świece spoliła
i dzban wody wypila,
nim go uwiła...*

Pan Michał, któremu stary Kłosek coś szeptał do ucha, wystąpił naprzód i położył na tacy pięćdziesiąt złotych.

Drużka pokręciła głową z pogardą.

— *Ażeby to moja pani była na grzybki chodziła, toby więcej zarobiła* — powiedziała obrażonym głosem, błyszcząc wesoło czarnymi oczyma. Pan młody trzykrotnie wyciągał portfel dokładając więcej pieniędzy, a drużka wciąż mu tłumaczyła, że „jej pani więcej by zarobiła, żeby w polu była” albo „żeby na łące woniaczki * zbierała”. Wreszcie udało mu się zadowolić wymagającą drużkę, bo ukloniła się pięknie i wyprowadziła z komory pannę młodą. Francka w modrej jupce i modrej mazelonce **, przybranej falbankami i skrzącej się od świecidełek, zasłaniała twarz rękoma, nisko pochylając głowę w rucianym wieńcu. Kłoskowie na jej widok wybuchnęli płaczem.

— Terozki bydom błogosławić ónemu. i ónej — powiedział Hanek. — Tylko ryczka przyniesia.

Po błogosławieństwie starsze kobiety poszły do komory po świeże, pachnące kołaczki.

— A to po co? — dopytywał się Tomek.

— Bydymy ciepać po drodze dzieciakom — odpowiadały. — Już czekajom kożdy w swoich wrotach i dlo ciebie ciepnymy, jino stań.

Tłum wysypywał się z izby na podwórze, gdzie drużbowie, powiewając kolorowymi wstęgami, zaprzęgali konie do umajonych wozów i karet. Pęki georginii, jarzębin i wstążek zwisały przy końskich uzdach. Państwo młodzi wychodzili na końcu, bo tak kazał obyczaj, a wraz z nimi pozostali także i Antkowa z Kłakiem, jako że obie pary miały jechać do ślubu jedną kareta.

Miała ja gołombka w klatce zawartego

— śpiewały drużki —

*klatek mi się otworzył
i gołombek wyfurgnoł do pola szczyrego...
Nie furgoj, gołombku, po zielonym dombku
i nie róbże mej miłej żodnego frasunku...*

— Małgosia, do nas! — wołali chłopcy wybierając sobie największy wóz. — Małgorzata!

— Ja z dziewczętami! — odkrzyknęła błękitna drużka, zaplątana pomiędzy kolorowe mazelonki i jupki.

— Włożyła sukienkę i zaraz się odmieniła — narzekał Tomek. — Do bab ciągnie. Patrzcie, co kiecka znaczy!

Nikt nie interesował się jego spostrzeżeniami. Chłopcy słuchali Hanka, który im coś opowiadał wymachując rękoma i błyskając zielonymi oczami.

„Już pewnie coś knują — myślała patrząc na nich Małgorzata. — Szkoda, że dziś nie mogę być razem z nimi!”

A drużki śpiewały:

*Czemużeś mnie, mamuliczko,
w domu mierzala,
żech tak młodziusienko
z domu wydała.*

* Woniaczki — kwiaty.

** Mazelonka — szeroka, marszczona spódnica.

*Teroz musza gospodarzyć,
chleba napiec, jeść nawarzyć,
a jo nie umia...*

Na chórze podczas ślubu śpiewał Krzyś. Śpiewał tak pięknie, że ludzie odwracali głowy, a Jasiek opowiadał później, iż mu się zdawało, że leci wysoko, wysoko i było mu lekko i przyjemnie jak na „ciut, ciut przeciągniętym Bebiku”...

Wracali wesoło z muzyką i śpiewaniem. Wstażki fruwały przy uzdach wystrojonych koni. Gładko toczyły się pięknie wyczyszczone karety i ukwiecone wozy.

Kiedy skręcali szosą ku Górze Czterech Wiatrów, kareta państwa młodych, jadąca teraz na przedzie, zatrzymała się nagle. Woźnice hamowali rozpedzone konie wołając poza siebie: „Stać! staaać!” Z wozów wychylały się zaniepokojone twarze. Pośrodku szosy stali szeregiem chłopcy z szybowiska, od Macieja i „trzech Budrysów”, aż do małego Tomka. Ruda głowa Hanka migąła w pobliskich krzakach.

— Wykupu chcą — domyślił się starszy družba. — Zarozki wom domy gorzołki i kołocy.

— Nie chcemy wódki! — krzyknął Maciej. — Chcemy, żeby nas panny młode i družki ucałowały!

— Nie ma takiego zwyczaju — bronił się starszy družba. — Wzdycki dajemy gorzołkę i kołoce!

— A my nie puścimy wesela dalej — śmiał się Adam trzymając konia za uzdę — i co będzie?

— Za mało nos — piszczały družki chichocząc. — Vos więcy!

— Nie szkodzi. Każda pocałuje wszystkich zaczynając od tego, kto jej najmilszy, tak będzie sprawiedliwie! — krzyczeli chłopcy.

— Nie, nie, nie! — wołały dziewczęta.

Pan Michał rozstrzygnął spór otwierając drzwiczki karety i wyprowadzając Antkową i Franckę.

— Po kolei nadstawiojta pyski, kiedy taki zwycoj! — rzekła Antkowa. — Niech się jesce na starość z młodemy wycaluje! — I bez ceremonii ucałowała wszystkich.

— No — powiedział pan Michał — teraz ty, Francko, przynajmniej od razu będę wiedział, kto może być moim rywalem!

Francka podbiegła do Tomka i uściskała go serdecznie.

— A ty już podoj dalij! — zawołała wesoło. — Żebych nie musiała wszystkich tych smarkoczy obłapiać!

Wozy zatrzęsły się od śmiechu, chłopcy spoglądali na siebie zaskoczeni, a Francka pogroziła palcem w kierunku lasu.

— Ty, Hanek! — krzyknęła. — Ty ich nauczył.

Hanek krył się w krzakach udając, że się boi gniewu siostry, a družki wyskakiwały z wozu i wśród żartów i śmiechu wypychały jedna drugą naprzód, cofając się ciągle i chichocząc. Tak krok za krokiem zbliżyły się do szeregu chłopców. Barbarka pierwsza ucałowała Tomka.

— A ty podoj dalij! — pisnęła uciekając.

Za nią to samo zrobiła wysoka Matylda i poważna Anka, i nawet malutka Marijka.

Małgorzatka nie namyślając się podbiegła do Adama i zarzuciła mu na szyję opalone ramiona.

— Ja ciebie wybrałam, Adasiu — szepnęła.

Chłopiec zmieszał się trochę, ale równie cicho odpowiedział:

— A ja ciebie.

— Małgosiu, Małgosiu — wołali chłopcy otaczając ich dokoła — czy i ty powiesz jak

inne: „podaj dalej”, i ty razem z dziewczętami przeciwko nam. Tylko Antkowa nas się nie wyrzekła.

— Ależ nie, ja nigdy nie będę „przeciwko wam” — upewniała ubawiona dziewczynka.
— W szeregu zbiórka! W prawo patrz! Wszystkich ucałuję po kolei!

— A ja! A ja! — wyskoczył z lasu Hanek.

— Jakżebyś mogła ciebie pominąć, Cumulobimbusie — wyciągnęła do niego ręce siostrzanym ruchem.

*

Wieczorem biały dom na Górze Czterech Wiatrów trząśł się od muzyki, śpiewania i tupotu młodych, roztańczonych nóg.

— Barburko, Barburko — zastępował drogę tańczącej drużynie-stompce Maciek.

— A co? — pytała kryjąc głowę za ramieniem Witka.

— Chodź ze mną na chwilkę!

— Mądryś — oburzył się Witek. — Odbijasz mi tancerkę, która woli tańczyć ze mną. Prawda, Barburko?

— Ja tylko o coś zapytam. Barburka mi podyktuje, co mówiła, kiedy na tacy wynosiła wianek, i zaraz ci ją oddam.

— Też znalazłeś chwilę do zapisywania obyczajów ludowych. Tańcz, Barburka jutro ci podyktuje!

— Jutro wyjeżdżam, nie mogę zostać, z wami! Puść ją, Witek, nie bądź taki!

Witek z westchnieniem wypuścił dziewczynę.

— Chodź, Barburko — ciągnął Maciej opierającą się drużkę-stompkę i dużymi krokami przemierzał pokój kierując się pod okno, gdzie na ławach siedzieli starsi: kobiety w ciemnych mazelonkach i jupkach, czarno ubrani mężczyźni. Patrzyli oni na bawiącą się młodzież przysłuchując się rozmowie pełnomocnika rządu z nauczycielem ludowym.

Szczupły, siwowłosy człowiek, który od wielu lat przebywał wśród Ślązaków, mówił właśnie:

— Dawniej mieliśmy trzy szkoły w naszym powiecie prudnickim. Młodzież mogła uczęszczać do nich, ale chłopiec czy dziewczyna, którzy ukończyli polską szkołę, mieli zamkniętą drogę do dalszej nauki i do jakiegokolwiek kariery...

— Wobec tego liczba uczniów było znikoma.

— Nie, panie pełnomocniku, szkoły były pełne. Ślązacy kochają swoją mowę ponad wszystko.

Maciej przystanął zapominając zupełnie o Barburce. Skorzystała z tego dziewczyna, wysunęła dłoń z jego ręki i zmieszała się z tłumem. Po chwili zobaczył ją wśród kolorowych sukienek, wirujących po sali. Tańczyła znów z Witkiem. Witek, zwycięski i roześmiany, pokiwał Maćkowi dłonią, co oznaczało: „przegrałeś swoją szansę, fujaro!”

— Odbijany! — zawołał instruktor, posuwając się do Francki. — Michale! Porywam ci żonę!

— W tańcu pozwalam! — odkrzyknął promienny pan Michał i zawrócił do siedzących w kącie obojga Kłaków, którzy rozmawiali z Józkiem. — Kochana Antkovo — zakrzyknął — ze mną kóleczo! Zabieram panią mężowi! Odbijany!

Maciej nie umiał sobie zdobyć tancerki. Fruwały dokoła niego śmiejąc się, przechodziły od tancerza do tancerza wesołe i zwodnicze.

W drzwiach świetlicy stanął Józek i uważnym spojrzeniem ogarnął tańczących.

— Nie daj się, Maciek! — zawołał, a jego bladą twarz rozjaśnił zyczliwy uśmiech.

— Małgorzatka nie tańczy, dziewczęta mnie nie chcą. Z kimże zatańczę, sierota? Poradź mi, Józek.

— Nie daj się, powiadam ci. Zdobądź sobie tancerkę! Pamiętaj, że będziesz musiał tańczyć na moim weselu. Wprawiaj się.

— Tomek! — zawołał Maciej do chłopca, który wywijał na środku sali jakieś dziwne „pas” z małą Marijką Kłósków, wpadając co chwila pod nogi tancerzom. — Tomek! Odbijam ci pannę!

— A odbij! — odpowiedział chłopiec rezolutnie. — Będiesz ją na ramieniu nosił. — Na wszelki wypadek jednak wolał się przenieść w inny kąt sali, dalej od Maćka, i zrobił długi krok.

— No i co się pchasz! — zbeształ go Noji potykając się o dziurawe buty chłopca. — O, widzisz, całą podeszew ci urwałem.

— O tam! Będę tańczył boso. Marijka, chodź!

W kącie świetlicy błękitniała sukienka Małgosi obok siwej głowy pana Milewskiego. Maciej ruszył do nich.

— A gdzie Adam? — zapytał.

— Chciał obejść Górę, żeby się z nią pożegnać. Adam wyjeżdża jutro — odpowiedziała ze smutkiem — ale on wróci... — dodała szybko. — Wróci na pewno. I wiesz, Maciej, co: zorganizuje wtedy wielką polską wyprawę do stratosfery.

— A ciebie też zabierze na tę wyprawę?

— Cóż to ja jestem wariometr czy barograf, żeby mnie „zabierano” — fuknęła na niego. — Sama pojedę z nim jako lekarz wyprawy.

Słowa córki przypomniały panu Milewskiemu pierwsze spotkanie z Adamem. Tyle bezsennych nocy myślał o zacnym opiece córki, wyobrażając sobie, że jest nim jakiś poważny, dorosły człowiek, który ma wiele kłopotów z płacziwą Małgosią. Dziwili się oboje z ciotką, że pozwala smarkatej mówić sobie po imieniu. Po wielokroć odczytywali każde słowo o nim. Imię Adam powtarzało się na każdej stroniczce listów do ciotki. „Adam zdobył pierwszą lokatę w starszej grupie pilotów”, „Adam rozumie mnie najlepiej”, „Adam mnie uratował”, „Adam ugasił płonące ubranie na Stefanie i Jaśku”, Adam, Adam, Adam...

Jakież było zdumienie pana Milewskiego, kiedy Małgorzatka wskazała mu jasnookiego chłopca i powiedziała serdecznie:

— To jest Adaś, tatusiu.

Postarał się nie okazać zdziwienia, uściśnął mocno rękę chłopca.

— Dziękuję panu za opiekę nad moją córką.

— Opiekowaliśmy się sobą nawzajem — odparł na to Adam. — Małgorzata jest osobą samodzielną i zawsze robi to, co uważa za słuszne...

Pomyślał wtedy, że Adam żartuje lub chce sprawić przyjemność ojcu. Szybko jednak spostrzegł, że chłopiec ma rację. Jego niegdyś płacziwa Małgosia stała się samodzielnie myślącym, dzielnym człowiekiem. Z radością stwierdził ojciec, że cenili ją i lubili wszyscy mieszkańcy szybowiska traktując jako równorzędnego i wartościowego partnera w pracy.

I teraz Maciej spogląda na nią przyjaźnie.

— Morowa byłaś — mówi. — Szkoda, że się już rozstajemy.

— Nawet jeśli się nigdy nie spotkamy, Maćku, zawsze dobrze będzie pomyśleć, że „jesteś”, że „jesteście” wszyscy. Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem — odparł olbrzym wzruszony. — Zostaniemy wiernymi przyjaciółmi, nawet jeśli nas rozdzieli siedem mórz i wiele lat.

Adam wysunął się ze świetlicy. Po stopniach ganeczka zszedł na widne jeszcze podwórko. Podnóże góry wypełniał mrok. Pomiędzy przezroczystym granatem nieba a miękkim, siwym błękitem ziemi leżała zamglona linia horyzontu. Mrugały rozrzucone światła dalekich domów.

— Czy to pan, panie Adasiu? — spytał ktoś cicho.

Pod drzewem majaczyła niewyraźnie sylwetka Andrzeja Wicherskiego.

— Mgielka na horyzoncie — powiedział Adam przystając przy nim. — Jutro będzie wiatr.

— W Anglii mgła jest codziennym nieomal towarzyszem.

Po raz pierwszy przybysz zaczął mówić o swojej przeszłości. Jak dotąd, wypytywał ich o wszystko ciesząc się każdą wiadomością, ale sam skąpił słowa o sobie.

— Pan wraca z Anglii?

— Wracam obecnie z Francji, ale zwiedziłem nieomal cały świat w ciągu długich lat wojny.

— Szczęściarz z pana. Dlaczego pan przyjechał? Przecież mógł pan podróżować dalej...

— Zwiedzać świat jest miło mając dom, do którego można powrócić. Mogę kochać cały świat, ale muszę mieć skrawek ziemi, z którym będę zrośnięty.

Człowiek — jak roślina — usycha wyrwany z gruntu. Jestem szczęśliwy, że od razu trafiłem do was, i życzę wszystkim rozbitkom, aby na swojej drodze spotkali swoją Górę Czterech Wiatrów. Darujcie mi, nudziłem was zapewne... Ale cieszyłem się każdą chwilką, cieszyłem się waszym życiem, odradzałem patrząc na was...

Adam milczał zaskoczony. Andrzej ujął go za rękę.

— Idę spać — rzekł. — Będę zapewne jedynym, który dziś usnie w tym roztańczonym domu. Będę miał lekki sen, bo tu powietrze inne. Swoje.

Na niebo wysypały się gwiazdy. Mleczna Droga skręcała białe zwoje na tle ciemnego granatu.

Gdzieś daleko były inne światy. Ku nim wyciągał ręce chłopiec, któremu pierwszą młodość zabrała wojna. Myślał, że wyrwie się z krainy ruin i odnajdzie swoją zagubioną młodość pomiędzy nie zniszczonymi domami, pomiędzy ludźmi, którzy nie cierpieli tak, jak on, że odrodzi się w krajach spokojnych, gdzie może nie ma tylu sprzeczności i bolesnych spraw.

Gdzieś pomiędzy drzewami obudził się ciepły wiatr. Miękki jego powiew dotknął twarzy Adama przynosząc zapach łąbinu.

Pachnie ziemia. Pachnie tak samo jak na pobliskim Śląsku Cieszyńskim, inaczej niż w dalekich, obcych krajach...

Ziemie Zachodnie, Ziemie Odzyskane. Ziemie, które wracały po tylu wiekach, a brakowało rąk, żeby je od razu przygarnąć, Tej ziemi bronił przez kilka miesięcy wraz z garstką przyjaciół.

Czy naprawdę chce ją porzucić? Czy pragnie stąd odejść?

Żegnamy przeszłość i witamy to, co nadchodzi w każdej nieomal chwili. Adam zrozumiał nagle, że jego plany i chęć odejścia odsunęły się od niego, że pozostanie, aby pracować dalej, że najbardziej pragnie się uczyć jak sztubak, którego wakacje trwały zbyt długo.

„Co się stało?” — pytał siebie zdumiony. Głęboko wciągnął w płuca łąbinowy wiatr.

„Przecież jestem młody — pomyślał z radością. — Znów naprawdę młody!”

*

— Adam! — posłyszał głosy przyjaciół. Ich kroki zaszeleściły na piasku ścieżki. — Gdzie jesteś, chodź do nas!

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.	Załoga	002
II.	Tajemnice Góry Czterech Wiatrów	014
III.	Huczy woda po kamieniach	024
IV.	Burza nad szczytem	034
V.	Na czym świat stoi	046
VI.	Znaj sposoby	055
VII.	Powrót Józka	063
VIII.	Pożar	066
IX.	Sezamie, otwórz się	071
X.	Koniec wojny	077

CZĘŚĆ DRUGA

I.	Ryszawy Hanek	087
II.	Pomyślne wiatry	093
III.	Tymczasem...	104
IV.	Każdy w życiu jest przecież pilotem	108
V.	Gromy z jasnego nieba	112
VI.	Świt	120
VII.	Wesele	125